MOC CZYTANIA MAPA POLITYKI NA WYBORY | CO ZMIENIA ZMIANA CZASU
POLSKA W LUSTRZE „WIELKIEJ WODY” | JA, CYRKOWIEC | PIEŚŃ IRAŃSKIEGO
BUNTU | ŻYCIE CODZIENNE UPIORÓW | LECĄ CIETRZEWIE **NA DNI ZADUSZNE**

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 30 października 2022 | nr 44 (3825)
cena 12 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Czas odnaleźć bliskich

DODATEK
KSIĄŻKI W TYGODNIKU

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.

Rezerwacja +48 22 128 48 81

albatros.pl

Rejs po Renie i kwitnące tulipany w Holandii

Podziwiaj kwitnące tulipany podczas 6 wiosennych dni w Holandii.

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Przejazd do Kolonii. Zwiedzanie katedry. Zaokrętowanie. **Dz. 2** Amsterdam. Wycieczka do parku tulipanów Keukenhof i zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Spacer po Amsterdamie i rejs po kanałach (wycieczki dodatkowo płatne). **Dz. 3** Amsterdam/Enkhuizen. Rejs po Markermeer i Ijsselmeer. Piesza wędrówka po Enkhuizen z opcją zwiedzenia Zuiderzeemuseum (dodatkowo płatne). **Dz. 4** Rotterdam. Zwiedzanie miasta. **Dz. 5** Nijmegen. Spacer po hanzeatyckim mieście Nijmegen. **Dz. 6** Powrót do Kolonii. Wylot z Frankfurtu do Warszawy.

6 dni | Wyloty z Warszawy 23/03, 02/04 2023

od **4.998,-**

Gejsze, szoguni i samuraje

Duchowy mistycyzm, górskie krajobrazy, wspaniałe ogrody, artyści mangi, drapacze chmur, neony oraz wielkie katastrofy - poznaj z nami wszystkie oblicza Japonii!

Program wycieczki obejmuje wszystkie najważniejsze zabytki Tokio, Kioto i Hiroszimy, ale także ekscytujące wyprawy do rzadko odwiedzanych rejonów. Pojedziemy na miejsce tsunami z 2011 roku i dowiemy się więcej o tym wydarzeniu od bezpośrednich świadków. Odwiedzimy herbaciarną wioskę w górach i wyjątkowe Muzeum Miho ze zbiorami sztuki japońskiej i starożytnych cywilizacji. Wśród dzikiej przyrody odnajdziemy świątynię Shinto Izumo-Taisha - jedną z najważniejszych w Japonii. Na koniec dla odprężenia zażyjemy kąpieli w gorących źródłach onsen i odwiedzimy najwspanialszy ogród Japonii położony przy Muzeum Sztuki Adachi.

15 dni | Wylot z Warszawy 10/03 2023

16.998,-

USA – Wschodnie Wybrzeże

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa - Nowy Jork - Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia - Baltimore - Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **Dz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport – Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Framingham – Boston – Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy 21/04, 08/09 2023

13.498,-

Indie - Klejnot Imperium

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do New Delhi. **Dz. 2** Przylot do New Delhi. Brama Indii (India Gate) oraz zwiedzanie Starego Delhi. **Dz. 3** New Delhi – Jaipur. Pałac Miejski (City Palace). **Dz. 4** Jaipur. Pałac Wiatrów i Fort Amber. **Dz. 5** Ranthambore. Rezerwat Tygrysów. **Dz. 6** Ranthambore. Safari w godzinach porannych i popołudniowych. **Dz. 7** Ranthambore – Agra. Opuszczone miasto (Miasto Duchów) Fatehpur Sikri. **Dz. 8** Agra. Fort i Taj Mahal. **Dz. 9** Agra – New Delhi. Dzień wolny w New Delhi. **Dz. 10** Wylot z New Delhi. Powrót do Warszawy lub przedłużenie pobytu.

10 dni | Wyloty z Warszawy 14/02, 24/10 2023

7.498,-

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP02

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki:

Wszystkich Świętych 2022: żywi w potrzebie

Pisanie tekstów na Wszystkich Świętych, czyli w bezpośrednim sąsiedztwie Dnia Zadusznego, jest dziś ryzykowne bardziej niż kiedykolwiek. Bo giną ludzie. Giną obrońcy Ukrainy, giną ich przeciwnicy, ci przekonani lub nieprzekonani (ostatecznie co za różnica, jeśli giną niepotrzebnie). Ale nie o tym miałem pisać. Wszystkich Świętych jest świętem ludzi zbawionych, ale nie kanonizowanych. Jest ich oczywiście więcej i są nie mniej ważni, a może czasem ważniejsi od tych publicznie uznanych i ogłoszonych. Święci ludzie, których życie było po myśli Stwórcy. Więc niekoniecznie rzymscy czy nierzymscy katolicy. Niewiele wiemy o sposobie myślenia Boga, o tym, kto ostatecznie zostaje zbawiony. Restrykcyjne koncepcje ustępują miejsca coraz bardziej powściągliwym hipotezom. Jedno jest niezmienne: kryterium świętości jest miłość (z którą zresztą też kombinujemy, jak tylko można, zostawiam jednak to wszystko, by napisać o tym, co nie budzi wątpliwości).

Ta miłość wierzy w człowieka, nawet jeśli ma słuszne powody do niewiary. Nie chodzi o naiwność czy łatwowierność, ale o surową miłość, która potrafi odmówić spełnienia oczekiwań, a jednocześnie spełnia oczekiwania mogące się wydawać wygórowanymi.

Obecność ludzi w potrzebie każe nam zweryfikować własne potrzeby. To już nie jest etap pozbywania się rzeczy zbędnych, zawalających miejsce w szafie, ale refleksji, co rzeczywiście jest nam potrzebne, i podzielenia się z potrzebującymi. Sprawa jeszcze poważniejsza jest z pieniędzmi. Kiedy tym, co się posiada, można się dzielić, a kiedy nie? Kiedy dopuszczalne jest szaleństwo, ogołocenie, a kiedy nie? Kiedy i czego mogę pozbawić tych, którzy liczą na mnie? Jak dalece wolno mi nie zachować materialnej rezerwy na sytuacje niespodziewane? Bałbym się tu uniwersalnych odpowiedzi, dobrych na każdą sytuację.

Albo czas... ile można go darować ludziom w potrzebie? Oczywiście, jedni mają go więcej, drudzy mniej. „Teraz dziś" może nie być podobne do „teraz jutro". Dlatego do pomagania potrzeba wielu ludzi. Było wiadomo, że ich pierwszy nabór się wyczerpie, że taka powszechna mobilizacja, jaka pojawiła się na początku, po agresji na Ukrainę, na dłuższą metę się nie utrzyma. Dlatego ci, którzy wciąż ofiarowują swój czas, są tak ważni.

Pomoc okazana Ukrainie przez Polaków jest niezwykła, wręcz niespodziewana. Być może dzięki niej problemy w gruncie rzeczy nie do rozwiązania zostają wreszcie jakoś rozwiązane. Nie pozwólmy tego popsuć. Cokolwiek się stanie, niech pozostaje faktem, nowym fundamentem.

Jednak dobiegnie końca okres „gratisowego" pobytu uchodźców. Co z tymi, którzy nie znaleźli zatrudnienia? A problem szkół, który jest zaledwie w pierwszym stadium rozwiązania? Postępująca drożyzna czyni to wszystko jeszcze bardziej skomplikowanym, a przecież nie da się w tym momencie rozłożyć rąk w geście bezradności i powiedzieć, że zrobiliśmy, co się dało, i teraz już koniec z pomocą, musicie sobie dawać radę sami.

Weszliśmy w sytuację śmiertelnie poważną i zamknąć jej zarządzeniami (może i koniecznymi) się nie da. Ciąg dalszy nastąpi i zadecyduje, czyśmy jej sprostali. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wracam do siebie

Ks. Adam Boniecki: „Wiara to wiara. Nie da się jej do końca obronić albo udowodnić. Patrząc na to, jak byłem formowany w seminarium i jak myślę dzisiaj, widzę, że pewne sprawy wcale nie są takie łatwe i oczywiste. Proste sformułowania, które wypowiadałem, już się nie sprawdzają. Stara teologia była bardzo rygorystyczna i pewna siebie. A przecież właściwie wszystko to, o czym rozmawiamy, sprowadza się do rzeczy bardzo ludzkiej: jak najlepiej odpowiedzieć na oczekiwania Pana Boga".

Na powszech.net/wracam rozmowa z naszym Redaktorem Seniorem po ponad półrocznej nieobecności na łamach pisma.

weź, czytaj!

32 Kto głośniej ryknie
MAREK KĘSKRAWIEC
Na rok przed wyborami polska polityka utknęła w emocjach, które uśmiercają resztki dyskusji na argumenty.

44 Dopóki oni przychodzą
MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA I DONBASU
Jak ukraińscy rodzice radzą sobie ze stratą swoich dzieci? Oto dwie historie.

64 Nieżywi, nieumarli
ŁUKASZ LAMŻA
94-letnia mniszka buddyjska Gongga 11 kwietnia 1997 r. siadła po raz ostatni w pozycji medytacyjnej w swojej ulubionej świątyni w Tainan. I wciąż tam siedzi.

90 Kwestia gustu
PIOTR KOSIEWSKI
Tamara Łempicka starannie kreowała siebie jako kobietę wysublimowaną, piękną, modną i bogatą. Jej sztuka szybko stała się stylem biznesowych i kulturalnych elit.

100 Z zębami i w czepku
ROZMOWA Z ŁUKASZEM KOZAKIEM, HISTORYKIEM:
Gadanie do siebie jest cechą charakterystyczną żywego upiora – znak, że ma dwie dusze, które muszą się ze sobą skonsultować.

69 Sprawdź, co czytać jesienią
Najnowsza polska proza science fiction, powieści detektywistyczne i kryminały retro. A także ekranizacje komiksów oraz najciekawsi debiutanci wśród muzyków.

MAREK LASYK / REPORTER // MONIKA ANDRUSZEWSKA // TAMARA ŁEMPICKA / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WEINSTEIN GALLERY; SAN FRANCISCO // ANNA PRUSIEWICZ, RENATA SUROWIEC / DO LASU // ANNA REZULAK / KFP // DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

6 Najdroższa kampania w dziejach Polski
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

30-31 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

63 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

32 Kto głośniej ryknie
MAREK KĘSKRAWIEC

36 Godzina, której nie ma
MAREK RABIJ:
Co zmienia zmiana czasu

39 Ostatnia trasa Lonka Krawczyka
DARIUSZ KAŁAN:
Opowieści starego cyrkowca

■ ■ ŚWIAT

44 Dopóki oni przychodzą
MONIKA ANDRUSZEWSKA

49 Ostpolitik do zmiany
ŁUKASZ GRAJEWSKI:
Część niemieckich socjaldemokratów chce zerwać z prorosyjską tradycją swojego ugrupowania

52 Ten kraj ma cię wchłonąć
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU:
Dla polskich Żydów to nie jest zwyczajna emigracja

55 Kołysanka buntu
WOJCIECH JAGIELSKI
o pieśni irańskiej młodzieży

■ ■ HISTORIA

58 Cmentarz do czytania
RAFAŁ MATYJA:
Krakowska nekropolia Rakowice jest jak księga z opowieściami

GRAŻYNA MAKARA

DNI ZADUSZNE

12 Chustka, scyzoryk, korzeń
ROZMOWA Z SABINĄ JAKUBOWSKĄ, PISARKĄ I BADACZKĄ HISTORII LOKALNEJ

18 Domowe wypominki
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

22 Biały rower
BEATA SZADY

25 Chwytaj dzień. I pamiętaj o śmierci
PIOTR SIKORA

■ DODATKI ■

69 KSIĄŻKI W TYGODNIKU

■ FELIETONY ■

28 ZUZANNA RADZIK
43 TOMASZ STAWISZYŃSKI
104 OLGA DRENDA
105 PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: GRAŻYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

■ ■ NAUKA

64 Nieżywi, nieumarli
ŁUKASZ LAMŻA

■ ■ KULTURA

86 Co widzi okręt
ROZMOWA Z JACKIEM BŁAWUTEM, REŻYSEREM:
Czułem, że są miejsca, do których nie powinienem wchodzić. Świat moich bohaterów mnie pożerał i opanowywał wyobraźnię

90 Kwestia gustu
PIOTR KOSIEWSKI

93 My to nasz bohater
JAKUB MAJMUREK:
Polska w lustrze „Wielkiej wody”

96 W piekle milczenia
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Zdarzyło się” Audrey Diwan

97 Redaktor, poeta i jego żona
LEKTOR
o listach Mieczysława Grydzewskiego i Kazimierza i Haliny Wierzyńskich

98 Konkurs Wieniawskiego

■ ■ ROZMOWA

100 Z zębami i w czepku
ROZMOWA Z ŁUKASZEM KOZAKIEM

■ ■ ZMYSŁY

106 Na tropie koguta
ROZMOWA Z MICHAŁEM ADAMOWICZEM, ORNITOLOGIEM:
Wcale nie było tak, że jako naukowiec wybrałem sobie cietrzewia na obiekt badań. Ja po to zostałem naukowcem, by się tym ptakiem zająć

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co obejrzeć w weekend
W nowym odcinku swojego internetowego cyklu „Tygodnika” **ANITA PIOTROWSKA** poleca filmy i seriale. Tym razem recenzuje „W drogę!” w reżyserii Panaha Panahiego na HBO Max | **powszech.net/vod-weekend**

Zabili go i uciekł [Podkast Powszechny]
Średniowieczne żywoty świętych obfitują w fantastyczne epizody – opowiada **MAGDALENA ŁANUSZKA** w cyklu „Sztuka Powszechnie Nieznana” | **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NAJDROŻSZA KAMPANIA W DZIEJACH POLSKI

By utrzymać władzę, rząd PiS nie może sobie pozwolić na ograniczenie hojnej polityki socjalnej. Dla jej sfinansowania musi jednak zaciągać coraz więcej długów. Na coraz wyższy procent.

MAREK RABIJ

Bank Gospodarstwa Krajowego ruszył właśnie ze sprzedażą pięcio- i dziesięcioletnich obligacji na rzecz Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych, z którego Ministerstwo Obrony Narodowej sfinansuje część zakupów uzbrojenia dla polskiej armii. Do 2035 r. Polska chce wydać na ten cel ponad 500 mld zł, z czego część pochodzić będzie z budżetu, w którym wydatki na obronność mają wzrosnąć do 3 proc. PKB, a część – właśnie z pozabudżetowego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Do tego, że coraz więcej państwowych pieniędzy trafia poza budżet – a więc również poza zasięg kontroli parlamentu i konstytucyjnych „bezpieczników" zadłużenia – rząd PiS zdążył już nas przyzwyczaić. W podobny sposób finansowano m.in. tarcze antykryzysowe w czasie pandemii. Od tamtej pory polski dług publiczny wzrósł realnie o ok. 400 mld zł. Przepaść zionie również między rentownością (czyli oprocentowaniem) obligacji Skarbu Państwa, która od kwietnia 2020 r. wzrosła z 1,5 proc. do ponad 9 proc. Wspomniane obligacje Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych mają stałe oprocentowanie 8,25 proc. rocznie. W całej Unii drożej od nas pożyczają pieniądze jedynie Węgry, których ryzykowną politykę balansowania na krawę-

Prezes PiS Jarosław Kaczyński podczas zamkniętego spotkania z mieszkańcami miasta. Kraśnik, 23 października 2022 r.

dzi UE rynki finansowe wyceniają na 13 proc., oraz Rumunia (9,6 proc.).

Deficyt polskiego sektora instytucji rządowych i samorządowych wzrośnie w tym roku do 141,4 mld zł z 48,1 mld zł w 2021 r. – oszacował właśnie Eurostat. Wedle tej prognozy sam wykup obligacji i wypłata odsetek pochłoną 52,7 mld zł, czyli 1,75 proc. PKB, i nic nie przemawia za tym, by w przyszłym roku państwo polskie miało płacić za swoje długi mniej niż teraz.

Rynek obligacji pod pewnymi względami przypomina bowiem chwilówki. I tu, i tam najdrożej za kredyt płacą ci, którzy muszą się zadłużyć za wszelką cenę. PiS, które już ustawia się w blokach startowych do przyszłorocznych wyborów, nie może zaś ograniczyć hojnej polityki socjalnej, jeśli myśli o wygranej – i rynki kapitałowe to wiedzą. Dwuletnie obligacje Skarbu Państwa w październikowej transzy osiągnęły oprocentowanie aż 8,91 proc. rocznie. We wrześniu wystarczyło 7,03 proc. Na początku roku – 3,5 proc.

Wysoka inflacja i problemy z wygórowanymi cenami energii wymagają od państwa aktywnej polityki socjalnej wobec tych, w których rosnące szybko koszty życia biją najmocniej. Rząd PiS przyzwyczaił jednak wyborców do hojności, za którą idzie hałaśliwa narracja o tym, że dzięki niemu „Polskę wreszcie stać" – i za wszelką cenę chce utrzymać sprawdzoną strategię. W projekcie budżetu na przyszły rok nie ma wprawdzie tarczy antyinflacyjnej, ale jej koszty przejmie zapewne któryś z rządowych funduszy celowych. Ogłoszono też rekordową waloryzację emerytur o 13,8 proc. Nic nie wróży również wyhamowania dynamiki gigantycznych zakupów dla armii, które są świetnym paliwem politycznym, bo opozycja może najwyżej krytykować sposób, w jaki się odbywają. Minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg zdementowała wprawdzie plotki o planowanej rewaloryzacji programu 500 plus do 800 zł na dziecko (tajemnicą poliszynela jest to, że chce tego część polityków PiS), ale od razu zaznaczyła, że nie ma mowy o likwidacji programów Dobry Start, Maluch plus i Mama 4 plus.

Mamy zatem uwierzyć, że czeka nas wspaniały rok 2023 i państwu pieniędzy wystarczy na wszystko – i to mimo że tempo wzrostu PKB wyhamuje z tegorocznych 4 do 1,6 proc. Uwierzymy? ©℗

Kakofonia oskarżeń, czyli jak pracujemy dla Moskwy

MAREK KĘSKRAWIEC

Włodzi fanatycy ŁKS i Widzewa wyzywają się nawzajem od Żydów. Robią to od lat. Niewielu z nich ma pojęcie o historii swojego miasta i klubu, ale to nie jest żadna przeszkoda. Przecież nie o prawdę tu chodzi, tylko o emocjonalny efekt.

Niestety, ślady podobnej mentalności można znaleźć również w naszej rzeczywistości polityczno-medialnej, zwłaszcza w mnożonych w nieskończoność oskarżeniach kolejnych osób o odgrywanie roli rosyjskiej agentury w Polsce. To już właściwie przemysł, a opisy wydarzeń przypominają scenariusze tanich filmów szpiegowskich. W jednym z nich Marek Falenta jedzie, według zeznań jego wspólnika Marcina W., do rosyjskiego hotelu i przekazuje GRU (na imprezie w saunie z prostytutkami) kompromitujące dla polityków PO nagrania ich rozmów z dwóch warszawskich knajp. I to w czasie, gdy o taśmach było już głośno pośród warszawskich dziennikarzy... Oczywiście ktoś może sobie wierzyć w ten opis oraz w to, że miesiąc później do akcji skompromitowania rządu Donalda Tuska wykorzystano dziennikarzy „Wprost", a akcja ABW w redakcji po jej publikacjach żenujących dialogów elity PO (przy okazji nagrano też wywody Mateusza Morawieckiego) nie była spektakularnym atakiem na wolność dziennikarską, ale walką z rosyjską siatką. Proszę bardzo. Dziś można wierzyć we wszystko. Wybory polityczne w Polsce opierają się przecież nie na wiedzy, ale na wyznaniu wiary.

Zeznania Marcina W. są „do wyboru, do koloru". Wy nam spiskiem zawiązanym w ruskiej bani, to my wam reklamówką z 600 tys. euro łapówki dla młodego Tuska. A że cała ta historia kupy się nie trzyma? Że gdyby Zbigniew Ziobro naprawdę wierzył w te brednie, to syn byłego premiera już dawno miałby „wjazd" ABW do domu o szóstej rano i sprawę karną w sądzie? Prawda, nieprawda, przy okazji najbliższego sondażu zobaczy się, czy warto było zużywać energię na durne oskarżenia.

Faktem jest, że Falenta kontaktował się z politykami PiS w sprawie nagrań, a taśmy uderzające w rząd PO pojawiły się po aneksji Krymu przez Rosję, gdy Tusk stracił złudzenia wobec Putina. Tyle że chyba żaden szef rosyjskiego wywiadu nie zdecydowałby się na obalenie koalicji PO-PSL, wiedząc że alternatywą dla niej było już wówczas obsesyjnie antyrosyjskie (po ataku na Gruzję i katastrofie w Smoleńsku) PiS. No chyba że uwierzymy, iż partia ta jest rzeczywiście zinfiltrowana przez Moskwę, a szefem siatki jest Antoni Macierewicz. I pewnie dlatego rząd PiS przyjmuje miliony Ukraińców, wysyła do Kijowa tony broni i domaga się drastycznych sankcji na Rosję. Widzą Państwo w tej konstrukcji jakąś logikę? Bo ja widzę w niej tyle prawdy, co w opowieści o torbie z łapówką dla Tuska czy w materiałach TVP o Radosławie Sikorskim.

Nie mam wątpliwości, że w Polsce działa rosyjska agentura. Mam jednak wrażenie, że ta ciągła kakofonia oskarżeń tworzy świetny klimat dla skutecznej i zarazem cichej pracy prawdziwych szpiegów Rosji. ©

Marek Falenta w czasie rozprawy w sprawie afery podsłuchowej przed Sądem Okręgowym w Warszawie. 19 września 2016 r.

MARIUSZ GRZELAK / REPORTER

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bezsiła nabywcza

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Za nami tylko nauczyciele z Węgier i Słowacji, przed Polską m.in. Grecja, Bułgaria i Rumunia. Tak wygląda ogon tabeli państw europejskich, jeśli chodzi o siłę nabywczą nauczycielskich pensji, których zestawienie zaprezentowano w zeszłym tygodniu we wspólnym raporcie fundacji Evidence Institute i Związku Nauczycielstwa Polskiego. Z czołówką klasyfikacji nawet nie mamy się co równać: siła nabywcza poborów nauczyciela niemieckiego to ponad trzykrotność, a szwedzkiego, belgijskiego czy norweskiego mniej więcej dwukrotność tego, co za swoją wypłatę może kupić pedagog znad Wisły.

A gdyby te europejskie dane nie wszystkim przemawiały do wyobraźni, autorzy raportu służą zestawieniem pensji nauczycieli na tle poborów osób o porównywalnych kwalifikacjach w Polsce. Są wyraźnie niższe niż średnie w tzw. drugiej grupie zawodów (specjaliści), a do tego znacznie wolniej w ostatnim czasie rosną. O ile w roku 2010 różnica wynosiła kilkaset złotych, o tyle już w 2018 „pedagodzy, decydując się na zmianę zawodu na inny z grupy drugiej, mogliby oczekiwać wzrostu pensji o około 1200-1400 zł miesięcznie (20-30 proc. średniej pensji nauczycieli)".

Rząd na każdym kroku chwali się kilkuprocentową podwyżką dla nauczycieli od maja tego roku, a także wrześniowymi wzrostami dla pedagogów wchodzących do zawodu. Tyle że tych ostatnich będzie coraz mniej, bo polski belfer – także za sprawą szalejącej inflacji – z miesiąca na miesiąc biednieje. ©℗

NBP swoje, banki swoje

W PAŹDZIERNIKU Narodowy Bank Polski po raz pierwszy od miesięcy nie podniósł stóp procentowych, które w międzyczasie dotarły do poziomu 6,75 proc. Tego – chwilowego, jak wiele wskazuje – przestoju nie widać jednak w oprocentowaniu kredytów, które nadal rośnie. Banki wykorzystują w tym celu WIBOR, w teorii stawkę oprocentowania, po której pożyczają sobie nawzajem pieniądze. W praktyce – oderwany od realnej gospodarki wskaźnik, który kształtują samodzielnie na podstawie stóp procentowych, ustalając między sobą, na jaki procent udzielałyby sobie kredytów. Udzielałyby, bo od dawna tego nie robią. Branża cierpi dziś wręcz na nadmiar kapitału.

W efekcie WIBOR już o kilkadziesiąt punktów bazowych przewyższa stopy NBP. W przypadku WIBOR-u dla pożyczek trzymiesięcznych to 7,40 proc. Dla półrocznych – już 7,57 proc. WIBOR roczny, odzwierciedlający prognozy kosztu pieniądza za 12 miesięcy, to aż 7,66 proc. W ten sposób bankowcy wysyłają Radzie Polityki Pieniężnej sygnał, że chcą dalszych podwyżek stóp, które pozwolą podnieść oprocentowanie kredytów jeszcze wyżej. ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

NAJWYŻSZY

„Przyjacielu, byłem u Najwyższego, oczywiście na ziemi, spędziłem tam około godziny, przekonałem go do linii rozumowania" – to fragment maila Daniela Obajtka do Mateusza Morawieckiego, ujawnionego przez portal Poufna Rozmowa. Nie będzie nagrody za prawidłową odpowiedź, kim jest „Najwyższy".

NAJNIŻSZY

Tymczasem prezes PiS kontynuuje objazd po Polsce, a wśród tematów pogadanek znalazł się kompleks niższości „tzw. celebrytów". „Ten Stuhr. To, że on tam wypił i jechał... no... – mówił Jarosław Kaczyński, nawiązując do zatrzymania znanego aktora za jazdę pod wpływem alkoholu. – Ale to, że on opowiada, że on się po polsku wstydzi mówić, bo to wstyd na Zachodzie. No to jest skandal".

LEŻĄCY

À propos alkoholu: noc w warszawskiej izbie wytrzeźwień spędził poseł PiS Przemysław Czarnecki po tym, jak stołeczne służby znalazły go nieprzytomnego na jednym ze skrzyżowań Wilanowa.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

NIEWINNY

Prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie torturowania więźniów w tajnym więzieniu CIA w Starych Kiejkutach. Decyzja śledczych, uwalniająca od odpowiedzialności m.in. Aleksandra Kwaśniewskiego, pochodzi z listopada 2020 r. – „GW" dotarła do niej dopiero teraz.

Lwowskie pomniki pod ochronną siatką

IHOR ZACZYNA DZIEŃ od smartfona. Nie byłoby to niezwykłe, gdyby nie fakt, że ten wolontariusz, krążący między Lwowem a frontem i wożący to, czego żołnierze potrzebują – zaczyna dzień nie od pogody i newsów. Aplikacja, którą otwiera najpierw, należy do najczęściej dziś używanych: pokazuje, w jakich regionach trwa alarm przeciwlotniczy. Pozwala też przywołać statystyki, gdzie i jak często był alarm. Wychodzi na to, że w obwodzie ługańskim trwa on non stop od 24 lutego.

We Lwowie pod tym względem długo było dość spokojnie, syreny wyły raz na parę dni. Ale teraz, w październikowy poranek, w smartfonie Ihora czerwonym kolorem płonie cała mapa Ukrainy. – Uderzyli po sąsiedzku w Łuck. Ale rakietę lecącą na Lwów zestrzeliła PPO! – Ihor zerka na ekran, gdy ładujemy do jego busa śpiwory, termobieliznę i wiele innych rzeczy, które czytelnicy „TP" podarowali w odpowiedzi na nasz apel, i których pierwszy transport właśnie zawieźliśmy na Ukrainę; pozwoli zaopatrzyć kilkudziesięciu żołnierzy w ciepłe rzeczy (mamy nadzieję, że będą kolejne).

PPO to skrót, który dziś, gdy rakiety i drony niszczą elektrownie w całym kraju, wypowiadany jest z podobną estymą, co w marcu TRO. Wtedy Obrona Terytorialna wsparła regularną armię w odparciu ataków na Kijów i Charków. Dziś PPO, Obrona Przeciwlotnicza, dwoi się i troi, by ocalić infrastrukturę społeczną.

Nie zawsze się udaje. Gdy wcześniej Rosjanie trafili stacje przesyłowe, przez parę dni Lwów nie miał prądu. Ale kawiarnie się nie poddały: serwowały, co tylko było możliwe. „Pracujemy aż do zwycięstwa" – obiecuje kartka na wejściu do Czarnego Miodu przy placu Halickim. Pośrodku placu król Daniel, XIII-wieczny władca Rusi, patrzy na miasto, które założył. Czy to celowy gest, że nie zakryła go siatka przeciwodłamkowa, która chroni inne miejsca, w tym pobliski pomnik Mickiewicza i kaplicę Boimów? Gdy je zakładano przed 24 lutego, mogło się to wydać na wyrost. Dziś już się takim nie wydaje.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK ze Lwowa

LINTAO ZHANG / GETTY IMAGES

MAMY NOWEGO CESARZA – tak pewna zachodnia korespondentka podsumowała efekt zakończonego właśnie zjazdu Komunistycznej Partii Chin. Stary-nowy lider partii i zarazem prezydent państwa, 69-letni Xi Jinping (na zdjęciu w środku), uzyskał bowiem taką władzę, jakiej nie miał tu nikt od czasu Mao Zedonga, ojca-założyciela ChRL. Usunął wszystkich, którzy uchodzili za zwolenników zmniejszania roli partii w gospodarce i społeczeństwie, i którzy byli przeciwni jego drastycznej strategii „zero covid". Możliwe, że Xi rządzić będzie dożywotnio. ©℗ WP / FAZ

Londyn: (nie)spodziewana zamiana miejsc

PATRYCJA BUKALSKA

Wielka Brytania znowu czeka, aż Partia Konserwatywna wybierze kolejnego przywódcę i tym samym nowego premiera. Na fali jest były minister finansów Rishi Sunak.

Rządy Liz Truss, która zaledwie na początku września zastąpiła na stanowisku Borisa Johnsona, zostaną zapamiętane jako czas bezprecedensowego chaosu, gdy każdy dzień okazywał się gorszy od poprzedniego. Po kilku tygodniach pozycja pani premier była już tak słaba, że jeden z brytyjskich tabloidów zastanawiał się, kto przetrwa dłużej: Liz Truss czy sfotografowana przez gazetę sałata. W czwartek 20 października okazało się, że sałata wygrała, bo premier podała się do dymisji.

Lista wyzwań przed Wielką Brytanią jest długa: rosnące koszty utrzymania, kryzys energetyczny, inflacja, wojna w Ukrainie. By nie wspomnieć o innych, jak zatory w kolejkach do lekarzy czy na planowane zabiegi w szpitalach. Tymczasem Partia Konserwatywna zajęta jest głównie problemami we własnych szeregach – najpierw skandalami w ostatnich miesiącach rządów Johnsona (podał się do wymuszonej dymisji w lipcu), potem wyborami nowego szefostwa. Wybrano Liz Truss, która pogłębiła kryzys gospodarczy w kraju. Szybki wybór kolejnego szefa partii i zarazem premiera jest więc teraz kluczowy i ma do niego dojść już w tym tygodniu.

W skróconej obecnie procedurze kandydat musi mieć poparcie co najmniej stu konserwatywnych posłów. Jako pierwszemu – i do chwili zamknięcia tego numeru „TP" jedynemu – udało się to Sunakowi. O głosy kolegów zabiega jeszcze przewodnicząca Izby Gmin Penny Mordaunt. Jeśli się jej to nie uda, do popołudnia 24 października premierem – trzecim w ciągu dwóch miesięcy – zostanie Sunak.

Przez chwilę wydawało się, że o powrót na Downing Street zawalczy też Johnson, który po dymisji Truss błyskawicznie wrócił do Londynu z wakacji na Dominikanie. Ostatecznie zdecydował się nie kandydować – może zrozumiał, że nadal wzbudza mnóstwo kontrowersji. „To po prostu nie byłoby właściwe" – stwierdził sam oględnie. Akurat z tym wielu torysów i zwykłych Brytyjczyków z pewnością się zgodzi. ©℗

Święte prawo do bagietki

KOSZTOWAŁA JEDNO EURO, teraz jej cena rośnie. W paryskiej piekarni, którą odwiedziła dziennikarka telewizji ARD, wprawdzie tylko o 5 eurocentów, ale jej właściciel Jean-Yves Bouiller obawia się, iż to początek podwyżek. Gdy cena mąki wzrosła o 25-30 proc., soli i cukru o 80 proc., a masła o połowę, paryżanie mogą wkrótce płacić za bagietkę nawet półtora euro. Tymczasem tutaj jest to kwestia niemal polityczna. „Bagietka ma we Francji ogromną symbolikę. Musi być dostępna dla wszystkich, obojętne, czy ktoś jest bogaty, czy biedny. Każdy ma prawo do swojej bagietki" – mówił Bouiller.

Wprawdzie inflacja należy tu do najniższych w Europie – wynosi 6,2 proc., gdy średnia strefy euro to prawie 10 proc.; Francuzi zawdzięczają to interwencji rządu prezydenta Macrona, który m.in. od kilku miesięcy dotuje cenę benzyny (30 centów do litra) – ale sytuacja społeczna jest napięta. Główną przyczyną są strajki w branży paliwowej, które zaczęły się pod koniec września. Żądający podwyżek pracownicy rafinerii doprowadzili do tego, że w pewnym momencie brak paliwa notowała jedna trzecia stacji benzynowych, a przed pozostałymi stały kolejki. W międzyczasie – po tym, jak część firm doszła do ugody ze strajkującymi, a innych rząd zmusił do podjęcia pracy (prawo na to pozwala) – sytuacja trochę się uspokoiła, ale w minionym tygodniu paliw wciąż brakowało na jednej piątej stacji.

Rząd wydaje łącznie 100 mld na działania pomocowe, mające chronić obywateli przed drożyzną; m.in. odgórnie ograniczono wzrost cen prądu i gazu do maksymalnie 15 proc. do końca 2023 r. Wydatki te pokrywane są zwiększonym długiem publicznym.

Wprawdzie w minionych dniach w całym kraju miały miejsce strajki i demonstracje przeciw drożyźnie i planowanemu przez rząd podniesieniu wieku emerytalnego z 62 do 65 lat; wzywała do nich opozycyjna lewica (na zdjęciu: protest w Paryżu). Ich skala nie była wielka, Macron obawia się jednak, że jeśli sytuacja się nie poprawi, może dojść do tak wielkich protestów jak w latach 2018-19, które nazwano wówczas Ruchem Żółtych Kamizelek. ©℗ WP / ARD, AFP, FAZ

SAMUEL BOIVIN / NURPHOTO / / AFP / EAST NEWS

Wiele tożsamości

MARCIN ŻYŁA

„Prawosławny, nie ruski” – to hasło kampanii społecznej prowadzonej od ponad tygodnia w Białymstoku. W stolicy Podlasia, najbardziej niejednorodnego etnicznie i religijnie regionu Polski, umieszczono kilkanaście billboardów z cytatami, które mają walczyć z utożsamianiem prawosławnych z postawami proputinowskimi. Ich stygmatyzacja, jak twierdzą organizatorzy, nasiliła się po agresji Rosji na Ukrainę. „Nasza rodzina mieszka tu od pokoleń. Jesteśmy prawosławni. Jesteśmy Polakami” – zapewnia z plakatów Patryk Panasiuk, prezes fundacji Hagia Marina, organizatora akcji.

Ogólnopolskie media podchwyciły hasło. Za słuszną ideą ogólną – że żadna identyfikacja religijna nie musi być sztywno związana z określonymi poglądami politycznymi – kryją się jednak szczegóły, które im dalej od Podlasia, tym trudniej dostrzec. Działacze mniejszości białoruskiej zarzucili kampanii, że promuje fałszywy, narodowo-polski, obraz prawosławnych. „Jestem ruski, tak jak ruskim był Konstanty Ostrogski, jestem też litewski, tak jak litewskim był Adam Mickiewicz, jestem politycznie polski jak polskim był król István Báthory. Rozumiem stygmatyzację jako walec historii, ale nie mam z tego powodu zamiaru wyrzekać się własnych, niepolskich korzeni” – napisał na Facebooku Tomasz Sulima, dziennikarz i działacz białoruski. Zarzucił też Panasiukowi, że dostrzegając źródła prawosławia w Polsce wyłącznie w tradycji bizantyjskiej, celowo ignoruje on „litewsko-ruską spuściznę Podlasia jako części (do Unii Lubelskiej) Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz 250 lat panowania dynastii Romanowów”.

Ten spór wykracza oczywiście poza granice regionu. Przypomina o tym, o czym większość mieszkańców terenów pogranicznych i bogatych w więcej niż jedną, z góry określoną identyfikację – od Śląska przez Spisz po Podlasie – wie od małego: że granice tożsamościowe przenikają się nawzajem. Wszelkie próby rysowania ich grubą linią prowadzą zwykle do złych skutków, w najlepszym razie – do zakłamywania własnych korzeni. Kusi więc, by poprawiać hasło na białostockich plakatach: „Prawosławny, czasem ruski, czasem Polak, czasem ktoś zupełnie inny. Jak każdy z nas”. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POROZUMIENIE

Watykan potwierdził, że umowa z Chińską Republiką Ludową dotycząca mianowania biskupów została przedłużona drugi raz z rzędu na dwa lata. Krytycy wskazują, że od czasu jej podpisania we wrześniu 2018 r. w Chinach ustanowiono jedynie sześciu biskupów.

NIEZALEŻNOŚĆ

Sobór Łotewskiego Kościoła Prawosławnego prawie jednogłośnie (przy sprzeciwie jednej osoby) postanowił ogłosić autokefalię, czyli pełną niezależność od Patriarchatu Moskiewskiego. W tym celu wezwał patriarchę Moskwy i całej Rusi Cyryla do udzielenia Kościołowi prawosławnemu na Łotwie statusu Kościoła autokefalicznego.

POSTULATY

Powołanie przez polski episkopat rzecznika praw osób świeckich oraz niezależnej komisji do zbadania archiwów kościelnych pod kątem przestępstw seksualnych – takie m.in. postulaty sformułował Kongres Katoliczek i Katolików podczas Forum „Obecni w Kościele”.

WYRÓŻNIENIE

Tegoroczną Nagrodę Tischnera za pisarstwo, które stanowi kontynuację Tischnerowskiego „myślenia według wartości”, otrzyma redaktor naczelny „Więzi” Zbigniew Nosowski, natomiast za zaangażowanie społeczne Grupa Granica wraz z warszawskim Klubem Inteligencji Katolickiej. Gala odbędzie się 24 listopada.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Siedlce 103,4 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM

Tajemnice ojca Petera Kurta Gumpla

O SWOJEJ HISTORII mówił niewiele. Tyle, że urodził się w 1924 r. w Hannowerze, w „rodzinie bogatej i szanowanej”, po dojściu do władzy Hitlera wyjechał z matką do Francji, a potem wysłano go do szkół w Holandii. I że jako dziecko „był przedstawiany wielu wpływowym ludziom”, w tym nuncjuszowi w Berlinie, kard. Pacellemu, późniejszemu papieżowi Piusowi XII, który w 1944 r. osobiście prosił jego ojca o zgodę na wstąpienie syna do jezuitów.

Jego biografowie przypuszczali, że miał korzenie żydowskie – dziadkowie po mieczu mieli być bankierami i przemysłowcami, związanymi z ekonomiczną i polityczną elitą niemieckiego cesarstwa. Chrzest w wieku niemowlęcym świadczy jednak o rodowodzie katolickim – być może matki, która jest postacią równie tajemniczą: mówiono, że była nieślubną córką Wilhelma II.

Sam zainteresowany informacji o swoim rodowodzie – czy to żydowskim, czy z Hohenzollernów – nie komentował: „Obiecałem jezuitom, że nikt nigdy nie dowie się o moim pochodzeniu”.

O. Peter Kurt Gumpel, wybitny historyk Kościoła, profesor Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, najsłynniejszy obrońca Piusa XII, doradca Pawła VI podczas Soboru Watykańskiego II i – być może – ostatni potomek ostatniego króla i cesarza Niemiec, zmarł 12 października w rzymskim szpitalu. Pochowano go na cmentarzu Teutońskim w Watykanie.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Ostatnie tabu Kościoła

CO PIĄTA SIOSTRA ZAKONNA w Ameryce Południowej przyznała, że doświadczyła wykorzystania seksualnego, a ponad połowa – nadużyć władzy. Tak wynika z anonimowej ankiety przeprowadzonej przez komisję ds. ochrony dzieci, młodzieży i bezbronnych dorosłych przy Latynoamerykańskiej Konfederacji Zakonników i Zakonnic (CLAR). Sprawcami byli przełożeni, formatorzy, księża, biskupi, świeccy, a także – inne siostry zakonne. W badaniu wzięło udział 1417 sióstr z 23 krajów Ameryki Łacińskiej i Karaibów. Pomoc terapeutyczną otrzymały tylko nieliczne pokrzywdzone.

Zgłoszenia o sprawcach-kobietach i przemocy sióstr wobec sióstr wciąż są nieczęste. – Usłyszałam już kilka historii o tym, że przemocy seksualnej wobec młodej siostry dopuściła się przełożona albo tzw. formatorka, czyli ta, która towarzyszy siostrom na wstępnym etapie. Dziewczyny, które o tym opowiadały, zwykle nigdzie tego nie zgłaszały – mówiła dwa miesiące temu w wywiadzie dla „TP” Izabela Mościcka, była zakonnica, założycielka Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym. ©℗ ANNA GOC / KAI

KULTURA W SKRÓCIE

40 RYCIN

Jeszcze przez miesiąc w krakowskim Instytucie Cervantesa prezentowane będą ryciny należące do najbardziej znanych cyklów dzieł graficznych Francisca Goi: „Kaprysy", „Okropności wojny" i „Szaleństwa" wzbogacone o rysunki ilustrujące traktaty fizjonomiczne.

64 RAZY JAZZ

W warszawskim Klubie Stodoła rusza kolejna odsłona Jazz Jamboree, jednego z najstarszych festiwali jazzowych w Europie. Zagrają m.in. Krzysztof Ścierański i Goście, Enzo Favata, Ruby Rushton, Ben LaMar Gay Quintet, Kassa Overall Quartet oraz Lizz Wright. Pierwsza edycja odbyła się pod nazwą Jazz 1958 – przez następne 60 lat festiwal gościł prawie wszystkich najwybitniejszych muzyków jazzowych z całego świata: Milesa Davisa, Theloniousa Monka, Dizzy'ego Gillespiego, Duke'a Ellingtona, Chicka Coreę, Herbiego Hancocka, Keitha Jarretta i in.

1000 ZDJĘĆ

W stołecznym Muzeum Warszawy trwa przekrojowa wystawa fotografii z lat 90. Zobaczymy tu zarówno zdjęcia z domowych archiwów, stare reklamy, jak i zapis najważniejszych wydarzeń w obiektywach znanych artystów. Podczas trwania wystawy premierę będzie miał poświęcony ekspozycji 10-odcinkowy podkast przygotowany przez Kamila Bałuka.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 97,7 FM Poznań
97,4 FM Łódź | 95,8 FM Wrocław
97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole
www.tokfm.pl

JACEK TARAN

PRACOWNIE DO WGLĄDU – raz w roku krakowscy artyści otwierają zwiedzającym drzwi swoich pracowni. To kontynuacja projektu Agnieszki Jankowskiej-Marzec, Martyny Nowickiej i Anny Stankiewicz. Wśród zapraszających jest m.in. Filip Rybkowski (na zdjęciu). Jego prace eksponowane były na zakończonej właśnie wystawie „Niepokój przychodzi o zmierzchu" w warszawskiej Zachęcie. W czasie spotkań artyści opowiadali o inspiracjach i możliwych kierunkach interpretacji ich dzieł, o coraz większych trudnościach w pozyskaniu przestrzeni do pracy i braku pomysłu miasta na wykorzystanie ich potencjału. ©℗ JT

Na wojnie owadów z gadami

ŻEBY ZABIĆ JASZCZURKĘ, wystarczy ugryzienie dwunastu mrówek ognistych (*Solenopsis invicta*). Kiedyś żyjące w USA gady z gatunku *Sceloporus undulatus* nie miały się czego obawiać, bo wrogie owady nie występowały na ich terytorium. Teraz jednak te ostatnie stały się w wielu miejscach gatunkiem inwazyjnym i wyzwaniem dla lokalnej fauny, nieprzygotowanej na nowe zagrożenie. Jej przedstawiciele nie pozostają dłużni – jaszczurki włączyły nowo przybyłe mrówki do swojego jadłospisu.

Wojna między tymi gatunkami zainteresowała badaczy, którzy zauważyli, że poszczególne populacje jaszczurek różnią się pod kątem odporności. Te, które dzielą tereny z mrówkami, są lepiej chronione przed ich jadem niż grupy, na których tereny jadowite owady jeszcze się nie wdarły.

Jak do tego doszło? Jad mrówek dostaje się do organizmów gadów na dwa sposoby: w wyniku ugryzienia przez mrówkę albo poprzez jej połknięcie. Catherine Tylan ze współpracownikami przeprowadzili eksperyment, z którego wynika, że to ten drugi sposób doprowadza do podwyższenia wskaźników immunologicznych. Okazuje się więc, że zjadanie wrogów ułatwia przetrwanie.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Spisek za sto milionów

AFERA SZACHOWA, która wywołała zainteresowanie porównywalne chyba tylko z serialem „Gambit królowej", znajdzie finał w sądzie. Przypomnijmy: we wrześniu mistrz świata, 31-letni Magnus Carlsen przegrał sensacyjnie w wielogodzinnej, klasycznej partii z 19-latkiem Hansem Niemannem i oskarżył rywala o korzystanie z podpowiedzi komputera. Ale nie przedstawił żadnych dowodów. Chess.com, największy szachowy portal i biznesowy partner Carlsena, poparł te oskarżenia analizami statystycznymi, wedle których Niemann przeszło sto razy oszukiwał w szybkich rozgrywkach sieciowych. Również Hikaru Nakamura, najpopularniejszy szachowy streamer, oszustwa wyraźnie sugerował.

Niemann przyznał się tylko do dwóch oszustw w nieistotnych partiach internetowych, a w zeszłym tygodniu złożył przed sądem federalnym USA pozew, w którym zarzucił Carlsenowi, Chess.com i Nakamurze pomówienie, zniesławienie, nieuczciwe praktyki biznesowe oraz zmowę, której celem jest zniszczenie mu reputacji i uniemożliwienie uprawiania zawodu. Domaga się minimum 100 milionów dolarów. Straty już ponosi – trzech organizatorów wycofało dla niego zaproszenia do prestiżowych turniejów – ale udowodnić będzie musiał także to, że Carlsen zawiązał bezprecedensowy spisek, bo bał się, że w przyszłości Niemann znów go ogra i upokorzy, co zagroziłoby wpływom i zarobkom wszystkich pozwanych. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

CHUSTKA, SCYZORYK, KORZEŃ

SABINA JAKUBOWSKA, PISARKA, BADACZKA HISTORII LOKALNEJ:

Jesteśmy potomkami tych, którzy przeżyli pańszczyznę i cholerę, wizytacje biskupów i przemarsze wojsk, wojny i kometę na niebie. Niektórych to nie zabiło, tylko wzmocniło.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

SABINA JAKUBOWSKA: Poprosiliście, żebym przyniosła zeszyt prababki, a ja pomyślałam, że wezmę jeszcze tę chustę.

AGATA I MICHAŁ OKOŃSCY: Poznajemy wzór z okładki Twoich „Akuszerek". Nosiła ją główna bohaterka powieści, Franciszka.

Tak naprawdę to chustka mojej babci, która opowiedziała mi wiele historii o naszej rodzinie i o naszej wsi. Pamiętam, jak mnie dziwiło, że kolorowe kwiaty są wyhaftowane tylko na jednej połowie czarnego materiału. Wytłumaczyła, że w czasach, kiedy ludzie nie mieli zbyt wielu pieniędzy, składało się chustkę na pół i na pogrzeb chodziło się tak, żeby nie było widać kwiatów, a znowuż na „parady" – kolorowo. Dała ją wyszyć jednej z dwóch sióstr hafciarek z Jadownik – wiedziałam o nich tyle, że mieszkały w starym domku i były niezamężne, ale potem wspomniałam o tym na spotkaniu we wsi i natychmiast dowiedziałam się, że nazywały się Albina i Adela Kusiak – w Jadownikach mówiło się na nie „Kusiaconki". Po paru dniach pokazano mi ich grób, a parę tygodni później ktoś sobie przypomniał, że ta młodsza opowiadała, jak mieszkała przez lata w Krakowie, jak tam się uczyła fachu i jak haftowała kołnierzyki, a jeden z nich nosiła Rozalia Celakówna – mistyczka i kandydatka na ołtarze. Zobaczcie: niedawno miałam tylko chustkę po babci i może jeszcze inspirację dla motywu miłosnego w książce, a teraz znam jej twórczynię z imienia, nazwiska, miejsca pochówku i mam informacje, które splatają jej życie z innymi.

„Wszyscy jesteśmy nićmi”, to zdanie z wiersza, który Franciszka bardzo lubiła. Chcieliśmy rozmawiać o niciach łączących nas z tymi, których nie ma.

Według wielu psychologów i terapeutów nasi przodkowie przekazują nam więcej, niż tego jesteśmy świadomi. Są w nas, bo mamy epigenetyczną pamięć ich przeżyć. Czasem dziedziczymy ich choroby, czasem – świadomie i podświadomie – dziedziczymy ich przekonania. Nawet nasze zdolności mogą być śladem ich obecności: jestem doulą i gdy wyszłam z pierwszego porodu, w którym towarzyszyłam, czułam, jakbym to robiła „od zawsze” – a z czasem odkryłam, że położną była nie tylko prababka ze strony mamy, ale i praprababka ze strony ojca.

Jest jednak jeszcze coś: sposób, w jaki oddziałuje na nas przestrzeń. W moim doktoracie cytuję zdanie Marqueza, że „człowiek nie należy do żadnej ziemi, póki nie ma w niej nikogo ze swoich zmarłych”, a w książce Władysława Okasa „Osiem wieków Jadownik” trafiłam na frazę, że cmentarz jest kroniką każdej miejscowości. Rzeczywiście: kiedy idziecie przez wiejski cmentarz, widzicie powtarzające się nazwiska, charakterystyczne imiona. Zaczynacie rozumieć szczególność tego miejsca.

Kiedy się trzyma w rękach ten ciemnogranatowy przedmiot, z wykaligrafowanym czarnym atramentem podpisem: „Zeszyt Anna Czernecka Szkoła Położnych”, naprawdę się czuje obecność Twojej prababki.

Moja prababka była twardą, charakterną kobietą, która nie stroniła od alkoholu – niekoniecznie materiałem na romantyczną bohaterkę. Babcia była jej synową – nie miały dobrych relacji. Moja ↦

SABINA JAKUBOWSKA jest pisarką, doktorem nauk humanistycznych, archeolożką i nauczycielką historii. Jako doula towarzyszy kobietom przy porodach. Jej pierwsza powieść, „Dom na Wschodniej”, otrzymała Nagrodę Główną w konkursie Promotorzy Debiutów, zorganizowanym przez Fundację Tygodnika Powszechnego i Instytut Książki. W tym roku ukazały się „Akuszerki”.

↦ mama miała miesiąc, gdy prababka zmarła. Nie miałam więc o niej żadnych osobistych wspomnień. Ale kiedy zaczęłam pracę nad doktoratem i analizowałam księgi metrykalne mojej wsi, natrafiłam na jej nazwisko 2132 razy. Tyle istnień w Jadownikach przyjęła na swoje ręce. Była aktywną położną do 80. roku życia.

O księgach metrykalnych nie pozwólcie mi mówić zbyt wiele, bo to moja pasja: wydawałoby się, że to tylko rzędy nazwisk i dat, ale przesuwając nad nimi palce, czuję, jakbym dotykała żywych istnień. Analizując te dane, zaczęłam myślami towarzyszyć prababce podczas porodów, kojarzyć daty: że akurat wtedy była powódź, albo pożar, albo wojna, która – zwłaszcza w 1914 r. – ciężko okolicę doświadczyła. Jak ona się czuła, wezwana do kolejnej rodzącej, patrząc na to wszystko i wychodząc z domu, w którym zostawiła swoje dzieci? Jak ona się czuła, idąc do porodu, sama będąc tuż przed rozwiązaniem, albo tuż po porodzie, albo tuż po stracie dziecka, bo z ośmiorga jej dzieci umarło sześcioro?

Trudno to sobie dzisiaj wyobrazić. Jak można żyć, pracować, być konstruktywnym w takiej sytuacji.

A ona to robiła. I jak zaczęłam o tym myśleć, zobaczyłam kogoś więcej niż kobietę ostrą, ironiczną i trochę pijącą. Pomogły mi w tym zresztą starsze panie z okolicy, które odwiedzałam, żeby wysłuchać ich opowieści o porodach, a potem opublikować je na blogu. One pamiętały prababkę jako dzieci: odtwarzały jej mimikę, gestykulację czy sposób chodzenia – zawsze trzymała się bardzo prosto. Wspominały, jak biegały za nią z wołaniem „Chrzestna matko, chrzestna matko, przyniesiesz nam dzidziusia?". Opisywały jej loczki (kto wtedy na wsi, do wiejskiej chusty, robił sobie loczki?!) i jej kuferek akuszerski. Mówiły, że była piękna, co trudno sobie wyobrazić, patrząc na fotografię na porcelance.

Odzyskałaś ją.

One mi pomogły. A potem ja z kolei towarzyszyłam wielu innym osobom odzyskującym swoich przodków, jako zajmująca się genealogią członkini Towarzystwa Miłośników Ziemi Jadownickiej. Ale w trakcie takich spotkań odkryłam, że przeszłość może mieć na nas wpływ tylko wtedy, kiedy wyciągniemy rękę w jej kierunku. Znaki, symbole wciąż pojawiają się na naszej drodze, tylko możemy ich nie zauważyć.

A możemy sobie jakoś pomóc?

Gdy mój tata umarł, to chodziłam w jego swetrach i koszulach – w niektórych chodzę do dziś. Włożyłam też jego scyzoryk do torebki i wciąż go tam trzymam. O jadowniczanach mówi się „Jadowniki-nożowniki", ale pomijając dumę z tożsamości, to przydatne narzędzie, a przede wszystkim coś, co mogę wziąć do ręki i poczuć tę jego obecność.

Od pół roku myślę o tych, którzy muszą opuszczać swoje domy uciekając przed wojną w Ukrainie, i którzy zapewne dobrze liczą wszystko, co ze sobą zabierają. Raczej nie są to pamiątki rodzinne, bo życie ma pierwszeństwo. Myślę wtedy o tym, jaka jestem uprzywilejowana, mając tyle rzeczy po przodkach.

Także w Polsce to nie jest częste.

Mam więc poczucie, że to uprzywilejowanie zobowiązuje do dzielenia się z innymi wiedzą o korzeniach. Ale głównie chodzi o moją własną potrzebę posiadania tożsamości, poczucia sensu, źródła mocy. I widzę, że ta potrzeba towarzyszyła mi zawsze. Skończyłam archeologię – w dzieciństwie zafascynowało mnie „Gdy słońce było bogiem" – ale jakoś mnie nie zniosło w kierunku starożytnego Ur, tylko górującego nad Jadownikami starożytnego Bocheńca.

Czy to jest jakoś pokoleniowe? Jesteśmy rówieśnikami i znamy tę potrzebę, w ostatnich latach ukazało się wiele książek 40- czy 50-latków o poszukiwaniu swoich korzeni. Ale kiedy rozmawiamy z przedstawicielami pokolenia naszych rodziców, mamy czasem poczucie, że oni od tych korzeni próbowali się odciąć – albo że odcięła ich historia.

Często nie docenia się rodzinnej tradycji, póki ma się świadków na wyciągnięcie ręki, ale jak zaczynają znikać z horyzontu, potrzeba rośnie. Są rodziny, w których rolę strażnika pamięci pełni jedna osoba, dając pozostałym poczucie bezpieczeństwa. Gorzej, jak jej braknie.

Moja babcia oczekiwała, że będę słuchała i zapamiętywała jej opowieści, a dla mnie to była przyjemność i urozmaicenie, zwłaszcza w nudnych pracach typu plewienie buraków albo zbieranie porzeczek (zdarzyło się też darcie pierza). Mijały lata, aż pewnego dnia, ze 20 lat temu, odprowadzałam syna do przedszkola i minęłam po drodze daleką krewną. Ukłoniłam się grzecznie, niepewna, czy mnie pamięta, a ona zapytała: „Czy wy nie wiecie, jak miał na imię ten wujek Kostrzewa, co go wzięli do Kazachstanu, bo on zapisał pole mojej rodzinie i póki mamusia żyła, to dawałyśmy za niego na mszę, ale teraz mamusia umarła i nie wiem?". Pamiętam, że wyprostowałam się i uroczyście powiedziałam: „Józef".

Czyli już dawno weszłaś w rolę rodzinnej strażniczki.

Tak. Ale wracając do pytania: ludzie szukają wiedzy o swoich korzeniach, kiedy chcą się zmierzyć z jakimś wewnętrznym konfliktem, np. w trakcie terapii. Chcą ustalić, czy to na pewno ich doświadczenie, czy ktoś za tym nie stoi. Żeby dać przykład: coraz powszechniejszy w naszych czasach problem z zaburzeniami odżywiania może być zdaniem psychologów uwarunkowany klęskami żywiołowymi i wojnami, które dotknęły naszych przodków. Okazuje się, że łańcuch pokoleniowych traum jest nierozerwalny, nawet jeśli ktoś dawno temu uciekł ze wsi do miasta i pozornie odnalazł tam ulgę, bo zyskał anonimowość w miejsce poczucia, że sąsiedzi wiedzą o nim wszystko, oceniają po pozorach i biorą na języki.

Co stracił?

Poczucie wsparcia i połączenia. Ja je mam. Chodząc po mojej ziemi, czerpię z niej moc. Widząc z daleka Bocheniec, czuję się silniejsza. Żeby było jasne: nie kocham Jadownik miłością bezwarunkową, czasami ich wręcz nie lubię, ale nie potrafiłabym żyć gdzie indziej.

Dałaś przykład z zaburzeniami odżywiania, ale są i inne traumy. Możemy dziedziczyć po przodkach doświadczenia przemocy i gwałtu. Chyba także stąd ta próba odcięcia się od korzeni: z lęku przed tym, że jest się naznaczonym.

Tylko że odciąć się chyba nie da. Pozornie można, ale w jakimś momencie to i tak wraca. Mój pradziadek, Wawrzyniec Jakubowski, zaginął w trakcie wojny bolszewickiej. Jego syn, mój dziadek Staszek, nigdy go nie poznał. Prababka miała ogromny problem z ustaleniem nie

tylko daty, ale samego faktu jego zgonu – i miało to wielki wpływ na ich dalsze życie i relacje z innymi.

Osobna kategoria to ludzie adoptowani, którzy nie dowiadują się niczego o swoich biologicznych rodzicach, a przecież czasem mierzą się w snach z ich doświadczeniami...

Sny to w ogóle wielki temat, kiedy mówimy o przodkach.

Nasi bliscy pojawiają się w nich, niosąc radę, pociechę, ostrzeżenie – i wydaje mi się nieważne, czy naprawdę duchowo są z nami, czy to po prostu ślad ich DNA w naszym krwiobiegu, manifestujący się w śpiącym umyśle. Do mnie jest „oddelegowany" dziadek.

Opowiesz?

Dziadek Stanisław był człowiekiem silnym fizycznie i psychicznie. Jego obecność w moich snach zawsze jest ciepła i krzepiąca. Przyniósł mi ulgę w żałobie, dał nadzieję, ale też powiedział mocne słowa prawdy w najtrudniejszym momencie mojego życia. Czuję, że czuwa nade mną.

Ale kiedy mówimy o tym odcięciu od korzeni – dużo lepszym sposobem wydaje mi się przepracowanie. Wiadomo, że chodzi tu o traumy – nie tylko bycia potomkiem ofiary, ale także kata. Przyjechała kiedyś do Jadownik z Austrii pewna psychoterapeutka, szukała wiedzy o przodkach. Pomogłam jej, a potem się zaprzyjaźniłyśmy. Jeden z jej krewnych, Polak, zginął w obozie koncentracyjnym, a inny, z linii czesko-austriackiej, służył w wojsku III Rzeszy. To doświadczenie epigenetycznego dziedziczenia od sprawców i ofiar jest udziałem wielu z nas – ale od nas zależy, co sami wybieramy.

Czyli oni nas nie determinują? Np. ci sprawcy wśród naszych przodków?

Jeśli przyjmiemy, że mamy i takie dziedzictwo, jakoś łatwiej sobie z nim poradzić. A potem dla siebie i swoich następców wybrać coś innego.

Dużo o tym myślałam, pisząc „x". Badałam źródła, rozmawiałam z ludźmi, chodziłam po wsi i próbowałam sobie wyobrazić, jak oni sobie radzili np. z tym pokłosiem procesów o czary. Zarastający z powodu zmian klimatycznych staw za cmentarzem, zwany Czarcieniec, faktycznie był miejscem, w którym oskarżane kobiety poddawano tzw. próbie wody. Przecież to się nie działo na drugim końcu świata, tylko tutaj, a wśród oskarżycieli i oskarżanych byli nasi krewni.

Przeszłość może mieć na nas wpływ tylko wtedy, kiedy wyciągniemy rękę w jej kierunku. Znaki, symbole wciąż pojawiają się na naszej drodze, tylko możemy ich nie zauważyć.

Z chustą babci i powieścią „Akuszerki", czerwiec 2022 r.

Przodkowie przekazują nam więcej, niż tego jesteśmy świadomi. Mamy w sobie pamięć ich przeżyć. Czasem dziedziczymy ich choroby, czasem przekonania. Nawet nasze zdolności mogą być śladem ich obecności.

Z pewnością można wyciągnąć z „Akuszerek" takie nici, które dominują np. w „Chamstwie" Kacpra Pobłockiego, ale też w niejednej książce na temat Zagłady. To opowieść o polskiej wsi jako przestrzeni horroru.

Tylko że to doświadczenie nie było wyłącznie czarne lub białe, moi bohaterowie doświadczali i chwil szczęścia, i chwil straszliwych, i szarej rezygnacji, i zwykłej codzienności.

Jest takie przysłowie, „co cię nie zabije, to cię wzmocni". Różnie je można interpretować, ale moim zdaniem jest w nim przede wszystkim nadzieja. Pomyślmy: jeszcze w połowie XIX wieku nasi przodkowie musieli odrabiać pańszczyznę. Nie mieli nic swojego. Z perspektywy panów byli rzeczami. A równocześnie te „rzeczy" nie były pozbawione uczuć i aspiracji, talentów i marzeń. Jesteśmy potomkami tych, którzy przeżyli pańszczyznę i cholerę, pożary i powodzie, wizytacje biskupów i przemarsze wojsk, wojny i kometę na niebie. Niektórych to nie zabiło, tylko wzmocniło.

Niektórych jednak zabiło.

W kronice parafialnej jest mrożący krew w żyłach zapis pewnego proboszcza. Zanim zmarł, opisał, że w gorący, lipcowy dzień wrócił z odpustu w Dębnie, zastał bardzo wzburzonego ekonoma w podartej kamizelce, a ten ekonom mu opowiedział, jak to się rzuciła na niego z sierpem „wszeteczna dziewka Kaśka Niedźwiedzionka, córka gróbarza", i to „bez nijakiego powodu". Tylko na podstawie tego, co powiedział ów ekonom, bez dania jej możliwości obrony, Kaśkę „powynoszono". Wiadomo, że żyła jeszcze potem, błąkając się po okolicy, i że przepowiedziała pożar plebanii, gdzie faktycznie niedługo później spłonęła stodoła.

Opisujesz tę historię w książce.

Bo nie dawała mi spokoju.

W pewnym momencie czułam, że na jednym ramieniu siedzi mi moja prababka, a na drugim Kaśka Niedźwiedzionka. Po tamtej historii przez sto lat nie chciano dawać we wsi dziewczynom na imię Katarzyna. Jeszcze w moim roczniku koleżanka nie została Kasią, bo jej ↦

babcia mówiła, że była we wsi taka czarownica i że nie można.

Dla nas istotne jest to, że nie uciekasz od opisu strasznych wydarzeń, ale jakoś pomagasz sobie z nimi radzić. Można by powiedzieć – nie tylko dlatego, że tyle w niej opisów porodów – że napisałaś książkę „pro life".

Bo ona jest ku życiu. Jedna z moich bohaterek, kolejna wiejska akuszerka Regina Perkowa, powiedziała w pewnym momencie, że jej już nic nie jest dziwne. Tym ludziom na wsi, którzy wystarczająco długo żyli, również nic nie było dziwne. Rozmawiałam kiedyś z panią, której życie wydawało się naprawdę tragiczne, na zakończenie coś mnie podkusiło, żeby zapytać: „co było najtrudniejsze, pani Aniu?". Roześmiała się jak młoda dziewczyna i powiedziała: „Nic. Da się przezwyciężyć wszystko". Jak dostajesz taką puentę, to wychodzisz silniejszym człowiekiem.

Niektóre z tych pań powierzyły Ci bardzo intymne historie.

Miały do mnie zaufanie, bo byłam prawnuczką tej Czerneckiej, co je przyjęła na świat. I byłam wnuczką mojej babci, osoby powszechnie lubianej. Wystarczy, że się przedstawiałam, że jestem od Czerneckiej, od Walkowej.

Moja przyjaciółka, położna Basia Baranowska, mówiła kiedyś na konferencji Fundacji Rodzić po Ludzku, że bardzo ją interesuje, co przeważa po latach we wspomnieniach porodowych.

Co pamięta kobieta rodząca przed laty podczas okupacji, co w niej zostało: stres i adrenalina czy oksytocyna i wyrzut szczęścia? Szukałam odpowiedzi na to pytanie i pamiętam, jak jedna sąsiadka opowiedziała mi, że w czasie wojny lekarz bardzo jej pomógł, ale rzucił też bardzo przykre zdanie: „To nie tyś urodziła, to ja za ciebie urodziłem". Być może uratował życie i jej, i jej dziecku, ale żal do niego trwał, nawet kiedy miała 90 lat. A przy drugim porodzie była u niej położna, której parę ciepłych słów również pamiętała całe życie. Słowa mają moc i one zostają w ludziach dłużej, niż my zostajemy.

„Tyle mamy w życiu, ile się dobrze zapiszemy w czyimś sercu", mówi jedna z bohaterek Twojej powieści.

> Różaniec wygląda jak nieodcięta pępowina. Noworodek często zaciska na niej rączki, podobnie jak odchodzący na różańcu. „Miej się czego złapać, kiedy wracasz do matki".

Próbowałam odtworzyć stan wiedzy położnych z końca XIX wieku i kupiłam w internecie książkę z epoki, „Nauka położnictwa dla położnych" prof. Stanisława Dobrowolskiego. Była podpisana: „Należy do Skowron Stanisławy", znalazłam w niej notatki właścicielki i kartkę z jej kalendarza. Poczułam, jakby mnie wołała, więc odnalazłam jej potomków i jej 90-letni zięć mi o niej opowiedział. Żyła w Strzemieszycach Wielkich i przyjęła tam na świat setki istnień. Kiedy zmarła, w 1960 r., rodzina wynajęła wóz, żeby zawieźć jej trumnę na cmentarz, ale okazał się niepotrzebny, bo całą kilkukilometrową drogę nieśli ją na ramionach mężczyźni, których przyjęła na świat, albo mężowie kobiet, które przy niej rodziły.

Chcieliśmy zapytać o Jej Łaskawość Śmierć, o której piszesz przy okazji niejednego porodu. O połączenie między życiem a śmiercią, bo trochę nad grobami rozmawiamy.

Jako doula wiele razy widziałam, jak się rodzi dziecko. Byłam przy rodzącej, wspierałam ją i koncentrowałam się na niej, zawsze przychodził jednak moment, w którym świat się jakby zatrzymywał; pojawiał się nowy człowiek, życie, dusza. Trudno się nie zastanawiać, jak to jest w procesie odwrotnym: gdy człowiek odchodzi z tego świata, i wierzę, że idzie dalej. W naszej kulturze, przesyconej potrzebą happy endu, śmierć jest postrzegana jako trudność i nieszczęście, ale to przecież punkt widzenia tych, którzy zostają. Wierzę, że niejeden odchodzący czuje ulgę, bo zrzuca bagaż życia i idzie ku światłu.

Pisząc „Akuszerki" inspirowałam się legendą o doktorze, który widział śmierć i umówił się z nią, że jak będzie stała przy nogach chorego, to chory wyzdrowieje, a jak przy głowie – umrze. Kiedy jako dziecko czytałam tę mroczną baśń, nie rozumiałam, jak doktor mógł realnie widzieć śmierć. Ale dzisiaj wiem, że są wśród nas ludzie bardziej wrażliwi. Myślę, że położne, o których pisałam, również miały taką umiejętność.

Przebywając przy rodzących i przy umierających, stały się świetnymi psycholożkami.

Moja główna bohaterka, Franciszka, należała już do nowego pokolenia, skończyła Cesarsko-Królewską Szkołę Położnych, ale przed nią były pokolenia „bab", które mogły polegać tylko na tym, co wyczytają z oczu człowieka, któremu przyszły pomóc. Jako doula też to znam: liczę częstotliwość skurczy, ale często o wiele lepiej sprawdza się patrzenie w oczy. Ciekawe: całe życie myślałam o sobie, że jestem racjonalistką...

Słowa są mniej ważne, gdy się czyta z ludzkiego spojrzenia?

No a „baby" nie tylko przyjmowały życie, ale i je odprowadzały. Umiały przewidzieć potrzeby rodzących i umierających. I były wspierane przez tradycję. Zwyczaje, które opisuję, często uznawano za zabobony; w niejednej pracy etnograficznej przedstawiano je z pozycji męskiej i wyższościowej. Ale mogłabym wskazać mnóstwo racjonalnych powodów, dla których były stosowane.

Dasz przykład?

Etnografowie wyśmiewali np. prowadzenie rodzącej do kapliczki. Dziś wiemy, że pozycja pionowa i ruch sprzyjają rozwojowi akcji porodowej, a bycie otoczoną przez wspierające, bliskie kobiety przyczynia się do wyrzutu oksytocyny. A jeśli jeszcze dodamy do tego wiarę rodzącej w siłę modlitwy, poczucie bezpieczeństwa i bycia wspartą wzrasta wielokrotnie. Dziś kobiety zapisują się na kurs hipnoporodu, żeby się nie bać rodzenia – wtedy szły do figurki.

Podobnie jest z gestami towarzyszącymi odchodzeniu. Człowiek na progu śmierci, często nieprzytomny, mógł słyszeć to, co dzieje się dookoła, i dźwięk

Przy źródle świętej Anny na Bocheńcu, czerwiec 2022 r.

głosów bliskich odmawiających modlitwy działał na niego kojąco. Świeca oświetlała drogę. Różaniec był znakiem bliskości, wsparcia i drogowskazem wyznaczającym kierunek. Różaniec zresztą wygląda zupełnie jak nieodcięta pępowina. Noworodek często zaciska na niej rączki, podobnie jak odchodzący na różańcu. „Miej się czego złapać, kiedy wracasz do matki”...

Może to, co mówię, jest drastyczne? Często słyszę, że „Akuszerki” są drastyczne.

Naszym zdaniem nie są. Powiedzielibyśmy raczej, że napisałaś bardzo religijną książkę.

Ludzie w XIX wieku byli bardzo religijni, a ja przyjęłam ich punkt widzenia. Dla mnie religijność ma zresztą koloryt, dźwięk i zapach Jadownik, np. w święto Bożego Ciała, które opisałam tak, jak je zapamiętałam, kiedy jako 5-letnia dziewczynka towarzyszyłam babci podczas procesji. Wtedy, w późnych latach 70. XX wieku, wszystko było bardziej intensywne: kolor gorsetów w strojach krakowskich czy zapach sypanych kwiatów, zbieranych wcześniej na łąkach albo na krzewach czarnego bzu.

Pamiętam też, jak w stanie wojennym wujek zabrał mnie na pasterkę do kościoła w Jadownikach. Jak mnie podniósł, na wpół śpiącą, w kierunku świecznika i pokazał napis, z którego wynikało, że ufundowali go Jan i Anna Kostrzewowie, moi pradziadkowie. Dowiedziałam się później, że po wojnie bolszewickiej, kiedy była plaga tyfusu i cała rodzina pradziadka zachorowała, on ślubował, że jeśli przeżyją, ufunduje świecznik do kościoła, przy którym pracował jako majster. Zrobił to, choć wydał tyle, co na nową chałupę i do końca życia mieszkał w starej chatynce z klepiskiem zamiast podłogi – i choć z pięciorga jego dzieci jeden synek nie przeżył. Pomimo tej straty potrafił być wdzięczny za tych, co zostali. I zawierzyć.

Pradziadek i prababka mieli też tabliczki na ławkach w kościele. Jak mnie babcia prowadziła w ich stronę, mówiła zawsze: „Tu masz siadać, bo tu jest twoje miejsce”.

Tylko co my mamy, biedni, robić – ci, którzy nie mamy tabliczek w żadnych kościołach?

Robić to, co wybierzemy. Choć niewykluczone, że na końcu się okaże, że to też było po stronie przodków.

©℗ Rozmawiali
AGATA i MICHAŁ OKOŃSCY

Domowe wypominki

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Dzięki digitalizacji i tysiącom wolontariuszy można bez ruszania się z miejsca zacząć poszukiwania rodzinnej historii. I przywracać pamięć o dalekich bliskich.

Gdy karczmarz Mikołaj się rodził, dogorywało Księstwo Warszawskie. 15 lat byli z Julianną małżeństwem. Pobrali się w 1839 r. – ona miała lat 18, on 25. Zamieszkali w nieistniejącej już wsi Motyka, pośród lasów między Brodnicą a Golubiem, potem w Lisewskim Młynie. Mieli przynajmniej czworo dzieci. Jedna z ich córek, Marianna, zmarła w wieku dwóch lat. Starszy syn, Ludwik August, gdy podrośnie, zostanie krawcem, młodszy, Józef, przeniesie się na rosyjską stronę Drwęcy, gdzie będzie a to młynarzem, a to rolnikiem. Mikołaj zmarł w wieku 39 lat – średnia wieku w Europie wynosiła wtedy 36 lat – jako poddany Fryderyka Wilhelma IV, gdy jeszcze nie było lamp naftowych. Julianna nie wyszła drugi raz za mąż, miała nieślubną córkę, później ślad po niej się urywa.

Julianna i Mikołaj byli moimi praprapradziadkami. Jeszcze dwa lata temu nie miałem o nich pojęcia. Ich historię zacząłem odkrywać w lockdownie. Nie wychodząc z domu.

Bez herbu

Kto ma szlacheckie korzenie, zwykle wie, kim byli jego przodkowie, albo przynajmniej może zajrzeć do herbarza lub wykupić dostęp do Wielkiej Genealogii Jerzego Marka Minakowskiego (wielcy.pl), który dostępną wiedzę o rodowodach polskiej szlachty zamienił w olbrzymią bazę danych pozwalającą nielicznym Polakom prześledzić swoje pochodzenie czasem aż do Mieszka I.

Ale większość z nas to potomkowie chłopów, a chłopska pamięć sięgała najwyżej do pradziadków. Historii rodzinnych nie spisywano, choćby dlatego, że jeszcze w 1914 r. co drugi mieszkaniec dzisiejszej Polski był niepiśmienny. Czasem nie chciało się pamiętać, bo przeszłość oznaczała biedę, uwikłania, trwogę. Dziś jednak połączone siły techniki i informatyki, archiwistów, popularyzatorów i wolontariuszy ułatwiają wgląd w rodzinne korzenie.

W przypadku Małgorzaty Nowaczyk zaczęło się od sprzątania w zbiorach rodzinnych zdjęć. Mieszkająca w kanadyjskim Hamilton pediatra i genetyk, profesor Uniwersytetu McMaster, szybko się zorientowała, że nie wie, kto jest na większości z nich. Zaczęła szukać. Do dziś udokumentowała ponad 1,4 tys. osób w drzewie genealogicznym i napisała książkę „Poszukiwanie przodków. Genealogia dla każdego".

Radzi, żeby poszukiwania zacząć od tego, na co we Wszystkich Świętych jest idealny moment: – Od rozmowy z poprzednimi pokoleniami: gdzie i kiedy urodzili się rodzice i dziadkowie, jakie nazwiska panieńskie nosiły babcie – wylicza. – Z pomocą krewnych musimy się cofnąć o pierwsze sto lat.

„Zaczęło się od sprzątania w zbiorach zdjęć". Fotografie z kilku rodzinnych archiwów, pierwsza połowa XX wieku.

JACEK TARAN // ARCHIWA PRYWATNE

Bo sto lat to czas, po którym urzędy stanu cywilnego i parafie przekazują akta metrykalne do archiwów, gdzie stają się one ogólnodostępne. Metryki i wszelkie rodzinne dokumenty będą ważne, bo zwykle szybko się okazuje, jak niekompletna – lub przeciwnie: podkoloryzowana – jest pamięć poprzednich pokoleń. A we Wszystkich Świętych warto zrobić jeszcze jedno: sfotografować groby bliskich lub poprosić o to rodzinę. Bo na nagrobkach są daty.

Później przyjdzie czas na prawdziwą podróż w przeszłość. Pamięć o przodkach czeka zapisana w aktach metrykalnych.

Szukaj w archiwach

– Problemy wielu genealogów-amatorów biorą się z niewiedzy, że w archiwach obowiązuje zasada przynależności terytorialnej – tłumaczy dr Marek Szczepaniak, kierownik gnieźnieńskiego Oddziału Archiwum Państwowego w Poznaniu. – To znaczy, że akta są w archiwum, które działa na terenie, gdzie te materiały powstały. Bez znajomości miejsca narodzin czy ślubu nie będziemy mogli pomóc. Druga kluczowa informacja to okres, z którego dany dokument ma pochodzić, bo zależy od tego aktotwórca.

Tu zaczynają się komplikacje, bo nasi przodkowie przez przeszło wiek żyli w czterech różnych systemach administracyjnych i prawnych. Archiwista wyjaśnia, że w zaborze austriackim księgi metrykalne prowadziły parafie katolickie, początkowo dla wszystkich wyznań, później każde miało osobną rejestrację. W zaborze pruskim duchowni różnych wyznań prowadzili podwójną ewidencję dla celów kościelnych i państwowych, a w 1874 r. wprowadzono państwowe urzędy stanu cywilnego. W zaborze rosyjskim proboszczowie do 1825 r. prowadzili podwójne spisy, następnie stali się urzędnikami stanu cywilnego. Na kresach wschodnich prowadzono wyłącznie rejestrację wyznaniową. Jednolite urzędy stanu cywilnego powstały na terenie Polski w 1946 r.

Teoretycznie więc, w zależności od miejsca i okresu, trzeba szukać akt przodków w archiwum państwowym bądź diecezjalnym. Niemniej dr Szczepaniak zaleca zawsze sprawdzić w państwowym.

– Bo zwykle proboszczowie mieli obowiązek prowadzić księgi w dwóch egzemplarzach, dla urzędów i dla własnych potrzeb – wyjaśnia.

Jeśli szukamy dokumentu młodszego niż sto lat, warto napisać do odpowiedniej parafii lub USC. W tym drugim mamy prawo do odpisu aktu metrykalnego swoich krewnych, trzeba tylko udokumentować pokrewieństwo (tu pomogą metryki: własna, rodziców, dziadków). Dzięki Profilowi Zaufanemu można wniosek złożyć przez internet.

Starsze dokumenty będą w archiwum. W ustaleniu, w którym, pomoże wyszukiwarka szukajwarchiwach.gov.pl (zakładka „wyszukiwanie akt metrykalnych"). Oczywiście nie wpisuje się tu nazwiska, lecz miejscowość pochodzenia.

– A jeżeli dane akta zostały zdigitalizowane, można tu wręcz dotrzeć do skanów poszczególnych dokumentów – mówi dr Szczepaniak.

Wśród skanów są już np. niektóre akta z województw lubelskiego, małopolskiego, podlaskiego, wielkopolskiego czy mazowieckiego. Działa też kilka innych serwisów ze skanami (adresy – patrz ramka). Przeglądać je trzeba jeden po drugim, bo to pliki graficzne, niedające się przeszukiwać tekstowo. Ale warto: znalazłem w ten sposób wielu zapomnianych członków rodziny.

Jeśli skanów nie ma, trzeba napisać maila do odpowiedniego oddziału archiwum, podać jak najwięcej danych o poszukiwanej osobie, zlecić poszukiwania – czyli kwerendę i zamówić skan. Opłacić tę usługę można przelewem, a archiwiści są pomocni i życzliwi. – Kilkadziesiąt lat temu na genealogów-amatorów czasem patrzono z góry – mówi dr Szczepaniak. – Te czasy już minęły. W naszym Oddziale przynajmniej połowa interesantów to właśnie oni.

I dodaje: – Akta metrykalne to nie wszystko, w Poznaniu np. digitalizujemy księgi meldunkowe, które dla genealogów mają może nawet większą wartość, bo zawierają spis wszystkich mieszkańców danej nieruchomości, pozwalając uchwycić całą rodzinę. Są też w archiwach dawne księgi wieczyste czy spisy wyborców. ↦

Pomaga sztuczna inteligencja

↦ Jak przez metryki podróżować w przeszłość? Orientując się na imiona rodziców, nazwisko panieńskie matki, miejsca pochodzenia i logiczne daty (pierwsze dziecko rodziło się zwykle rok po ślubie, dzieci nie rodzą się częściej niż co dziewięć miesięcy, wiek małżonka sugeruje rocznik, w którym trzeba szukać aktu chrztu – itd.).

– W rodzinach chłopskich wszystko z reguły działo się przez kilka pokoleń w tej samej parafii. Gdy już ustaliłam miejsce urodzenia babci, następne sześć pokoleń znalazłam w tamtejszych księgach – opowiada Małgorzata Nowaczyk.

Akta metrykalne to kopalnia okruchów informacji, wśród których trafiają się diamenty. Wpisywano tu zawody rodziców czy małżonków, legalność potomstwa, przyczynę śmierci. W Galicji notowano też numery domostw. Pojawią się kolejne postacie – świadkowie ślubu czy zgłaszający narodziny bądź zgon, którzy czasem okazują się brakującym elementem układanki.

Nowaczyk: – Aktu chrztu prapradziadka nie mogłam znaleźć przez cztery lata, nie wiedziałam, gdzie się urodził. Na trop trafiłam w akcie chrztu jego syna, po miejscu pochodzenia chrzestnego.

Ale czytania skanów akt trzeba się nauczyć: w zaborze rosyjskim metryki były elaboratami, często pisanymi cyrylicą. Późniejsze akta są tabelaryczne, wiele kościelnych prowadzono po łacinie, pruskie księgi cywilne to formularze wypełniane Kurrentschriftem – pismem z kresek i zawijasów. Najpiękniej nauczyć się je odcyfrowywać samemu, ale na forum Polskiego Towarzystwa Genealogicznego jest cała sekcja, gdzie życzliwi eksperci pomogą rozszyfrować skan. Konsorcjum powstałe wokół Uniwersytetu w Innsbrucku trenuje nawet w czytaniu starych niemieckich pism sztuczną inteligencję – jeszcze często duka, ale bywa nieoceniona. Słowniczki genealogiczne można znaleźć w sieci i w książce Małgorzaty Nowaczyk.

– Mnóstwo się nauczyłam w trakcie poszukiwań: geografii historycznej, paleografii i neografii – mówi jej autorka. – Z kolei fakt, że jestem lekarzem, pomaga mi zinterpretować zawarte w aktach przyczyny zgonu.

To oczywiście nie są medyczne epikryzy, lecz przyczyny w pojęciu ówczesnych: jak „zęby", „słabość". Karczmarz Mikołaj zmarł na „kolkę". – To musiała być obstrukcja jelit – ocenia pani profesor. – Mogła być spowodowana wieloma stanami chorobowymi, np. rakiem.

Bywa, że takie jedno słowo uruchamia całą opowieść o ludzkim losie. Któraś z przodkiń Małgorzaty Nowaczyk umarła *ex nimio labore*: z nadmiaru pracy. Inny przodek miał wpisane *grasantes* – zbójcy.

Bo w tej podróży w przeszłość będzie dużo radości, ale też poczucia utraty. Dopiero przy wertowaniu pruskich metryk okazało się, że mój pradziadek, wnuk karczmarza Mikołaja, miał nie dwie siostry – jak pamiętano w rodzinie – lecz dziewięcioro rodzeństwa. Siedmioro umarło w dzieciństwie. Wtedy, w drugiej połowie XIX wieku, 40 do 60 proc. zgonów w Europie było zgonami niemowląt. Dzięki skanom akt można było o tym siedmiorgu przywrócić pamięć.

Cyfrowy niezbędnik

▪▪▪ SKANY I ZDJĘCIA AKT METRYKALNYCH:

szukajwarchiwach.gov.pl/wyszukiwanie-akt-metrykalnych – wyniki z wszystkich archiwów państwowych; jeśli nie ma skanów, a akta istnieją, dowiemy się, w którym są oddziale

genealogiawarchiwach.pl – akta pruskich Standesamtów z archiwów toruńskiego i bydgoskiego (trwa indeksacja)

metryki.genealodzy.pl – serwis Polskiego Towarzystwa Genealogicznego, akta z wielu parafii

metryki.genbaza.pl – fotografie akt z części archiwów państwowych i diecezjalnych

▪▪▪ INDEKSY AKT:

geneteka.genealodzy.pl – Geneteka, przeszło 44,6 mln wpisów z 4263 parafii

poznan-project.psnc.pl – Poznań Project, indeksy małżeństw z lat 1800-1899 r., z historycznej Wielkopolski

basia.famula.pl – BaSIA (Baza Systemu Indeksacji Archiwalnej), akta z Wielkopolski

ptg.gda.pl – PomGenBaza, 5,9 mln wpisów z Pomorza

familysearch.org/search/location/europa-kontynentalna/polska – polskie zbiory z Biblioteki Historii Rodziny

▪▪▪ ODCZYTYWANIE RĘKOPISÓW:

archivfuehrer-kolonialzeit.de/font-tool – Kurrentschrift litera po literze

readcoop.eu/transkribus – sztuczna inteligencja uczona w starym niemieckim piśmie (częściowo płatne)

genealodzy.pl/forum.phtml – w dziale „Tłumaczenia" czekają wolontariusze (zapoznaj się najpierw z instrukcjami)

▪▪▪ SERWISY GENEALOGICZNE

FamilySearch.com – portal Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich

MyHeritage.com – płatny serwis ze 104 mln użytkowników, 18,5 mld metryk i 88 mln drzew genealogicznych, możliwością budowania własnego drzewa, badań DNA, wsparciem AI i dostępem do dokumentów

Ancestry.com – analogiczny płatny serwis z 30 mld metryk i 100 mln drzew genealogicznych

JewishGen.org – zasoby dla poszukiwań żydowskich przodków

▪▪▪ BIBLIOTEKI CYFROWE

polona.pl – zbiory Biblioteki Narodowej i instytucji partnerskich, od starodruków po pocztówki

fbc.pionier.net.pl – Federacja Bibliotek Cyfrowych: 8,7 mln obiektów

▪▪▪ STARE MAPY

igrek.amzp.pl – Mapster: archiwalne mapy Polski i Europy

Chartae-Antiquae.cz – czeski serwis z tysiącami historycznych map

Indeksy zamiast świeczki

– Wciąż nie jest tak, jak sobie czasem wyobrażają przychodzący do archiwum, że wpiszę nazwisko w komputer i wyskoczy mi odpowiedni akt – mówi dr Szczepaniak.

Ale owszem, zaczyna to być możliwe. Dzięki magicznemu słowu: „indeksowanie".

Żeby zbiór graficznych skanów akt dało się przeszukać według nazwisk i filtrować po miejscowościach czy zakresach dat, ktoś musi najpierw te informacje, akt po akcie, pieczołowicie wprowadzić do bazy danych. Taka baza staje się potężnym narzędziem. Przy odrobinie wprawy i śledczego zmysłu, kilkoma kliknięciami można nie tylko odnaleźć rok urodzenia, ślubu czy śmierci przodka, ale też np. wygenerować listę jego rodzeństwa czy prześledzić parę pokoleń.

Akta indeksują wolontariusze w ramach kilku sieciowych projektów. Np. nad Geneteką rozwijaną przez Polskie Towarzystwo Genealogiczne pracuje prawie 2,2 tys. entuzjastów. Jak sami o sobie piszą, robią to dla satysfakcji, z poczucia misji, dla zabawy bądź żeby zapalić komuś wirtualną świeczkę.

W tropieniu losów przodków pomocne okazują się też cyfrowe zbiory bibliotek. Są wśród nich stare gazety zeskanowane z rozpoznawaniem tekstu, da się je więc przeszukiwać. A nasi przodkowie zamieszczali przecież nekrologi czy ogłoszenia drobne.

Na wysokie obroty poszukiwania wkraczają wraz z założeniem konta na jednej z internetowych platform dla genealogów-amatorów. Te najpopularniejsze są płatne – i to płatne jak za woły. Ale dostaje się w zamian znakomite narzędzia.

Poza wszystkim, taki system przyda się do katalogowania swoich odkryć i rysowania drzewa genealogicznego. Istnieje też wiele darmowych programów, które do tego służą, a tradycjonaliści stawiają na metody analogowe (wzorce dla domowych kartotek i niezliczone porady też można znaleźć w sieci).

Ale w płatnej wersji platform dostajemy coś jeszcze: wsparcie sztucznej inteligencji i archiwalnych zasobów. System podpowie fragmenty drzew innych użytkowników, które pasują do naszego. Oraz dokumenty, w których pojawiają się nasi przodkowie – zwłaszcza jeśli emigrowali do USA. Bo tamtejsze zasoby danych publicznych zawierają m.in. zindeksowane karty spisów powszechnych, spisy pasażerów statków, akta poborowe, a nawet wycinki z gazet. Dzięki tym ostatnim okazało się, że praprawnuk karczmarza Mikołaja kontynuuje rodzinne tradycje i prowadzi restaurację w Seattle, gdzie wcześniej gotował w lokalu „Dahlia Lounge", w którym kręcono sceny do pewnego filmu z Meg Ryan i Tomem Hanksem.

> Akta metrykalne to kopalnia okruchów informacji, wśród których trafiają się diamenty. Wpisywano tu zawody, legalność dzieci, przyczynę śmierci, numery domów...

Ale podpowiedziami algorytmów łatwo się zachłysnąć, zapominając, że fragmenty drzew, które podsuwa, tworzą inni użytkownicy. Tak samo omylni, jak my.

– Fundamentalne jest rozróżnianie źródeł pierwotnych od wtórnych – przestrzega Małgorzata Nowaczyk. – Pierwotne, najbardziej wiarygodne, to te sporządzone w chwili zdarzenia, np. akt chrztu. Ale jeśli np. datę narodzin czerpiemy z aktu zgonu albo wpisu w czyimś drzewie, mamy do czynienia ze źródłem wtórnym, wobec którego trzeba być ostrożnym.

Zawsze rób przypisy, podziękujesz sobie później.

Biblioteka rodziny

Istnieje przedsięwzięcie, które łączy genealogię, cyfryzację i ściśle religijną pamięć o przodkach. To Centra Historii Rodziny i związany z nimi portal FamilySearch, stworzone przez Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (jego członków zwykle nazywa się mormonami, choć sami tak o sobie nie mówią). To miliardy utrwalonych na mikrofilmach metryk z całego świata, w znacznej mierze już zeskanowanych. I udostępnianych wszystkim chętnym.

– Dzięki nim skompletowałam swoją polską genealogię, nie ruszając się z Hamilton – uśmiecha się Nowaczyk.

– To dla nas środek do głębszego celu – tłumaczy Dariusz Dresler, prezydent warszawskiej gminy Kościoła. – Wierzymy, że rodziny mogą być wieczne, dosłownie. Czyli że relacje rodzinne możemy zachować poza tym życiem. Wymaga to wykonania za własnych przodków obrzędu zapieczętowania, a do niego potrzebne są ich imiona i nazwiska. Tym, którzy nie mogli sami poznać Ewangelii i przyjąć chrztu przez zanurzenie, umożliwiamy to w zastępstwie, bo sami nie mają już ciał. Ale oczywiście wciąż mają wolną wolę – dodaje – i to oni decydują, czy ten obrzęd przyjmą.

Żeby odnajdywać przodków i ich imiona, Święci w Dniach Ostatnich stworzyli Bibliotekę Historii Rodziny, która zgromadziła do dziś 1,386 mln mikrofilmów i 197 tys. mikrofisz. Centra są jej oddziałami, kiedyś przesyłano do nich zamawiane materiały. Dziś można tam przeglądać ich skany, których katalog jest dostępny w serwisie FamilySearch.

– Nie wszystkie akta możemy udostępniać w sieci, wynika to z obostrzeń nałożonych przez właścicieli tych akt – wyjaśnia Dresler. – Jeśli zbiór z danej miejscowości ma w katalogu ikonkę aparatu, można go przeglądać online. Jeśli aparatu z kluczykiem, trzeba się umówić w jednym z Centrów. W Polsce są one w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Bydgoszczy i Gdańsku. W razie trudności udzielamy pomocy, a wszystko to jest bezpłatne.

Część zbiorów, m.in. z diecezji tarnowskiej, jest zindeksowana i choć indeksy zawierają tylko rok i imiona osoby oraz rodziców, już one same pozwalają się bardzo posunąć w poszukiwaniach.

I jest to inspirujące – żeby trochę bardziej uszczegółowić Zaduszki.

Rozmowa

– Czułam, że muszę to zrobić – opowiada Małgorzata Nowaczyk. – Z szacunku. Oni żyli, żebyśmy ja i moi synowie mogli żyć. Czasem myślałam nawet, że może oni tam, gdzieś na górze, cieszą się, że ich znalazłam.

Wspomina swojego zmarłego ojca. – Wiernie mi kibicował, bardzo się cieszył z nowych odkryć. Raz podpisał się: „Józef, syn Wojciecha, wnuk Jakuba, prawnuk Jana". Żałuję, że nigdy go nie spytałam, dlaczego tak się tymi poszukiwaniami zainteresował. I to jest chyba z tego wszystkiego najważniejsze: żeby jak najwięcej rozmawiać z tymi, którzy jeszcze są.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Biały rower

BEATA SZADY

Czy powinniśmy korzystać z przestrzeni publicznej dla wyrażenia osobistego żalu? Takie pytanie prowokują przydrożne miejsca upamiętnienia nagłej śmierci.

Łączy je wiele elementów: krzyż, kask, kamienna tablica, sztuczne kwiaty, znicze, lokalizacja, no i wielkość. Różni – zmarły i data śmierci. Stoją blisko siebie, przy drodze krajowej nr 5, w pobliżu Ruska na Dolnym Śląsku. Do wypadków śmiertelnych dochodzi najczęściej właśnie na drogach krajowych (według wyliczeń prof. Lucyny Przybylskiej: 7 osób zabitych na 100 km dróg krajowych, 3 – wojewódzkich i 0,4 – gminnych i powiatowych; dane z 2012 r.).

Przypominają nagrobki na cmentarzu. Ten z wcześniejszą datą stoi z dala od drogi. Jego centralna część to wysoki kamień stanowiący tablicę pamiątkową, na której wyryto: „Dawid, lat 24, zginął 21.05.2014". Poniżej napisu kamienny wizerunek uśmiechniętego chłopaka na motorze. Z kamienia „wyrasta" metalowy, biały krzyż, na którym zawieszono kask i sztuczne kwiaty.

Kilka metrów dalej drugi pomnik – tuż przy drodze, częściowo otoczony siatką, może stanowić zagrożenie dla ruchu (pewnie dlatego obok postawiono słupek odblaskowy). Pozioma płyta, na niej krzyż, imię i nazwisko: „Marek Wisko", data urodzenia i śmierci (16.04.1986, 26.05.2017) i informacja: „Zginął tragicznie". Za nią metalowy, szary krzyż z wyblakłą już tabliczką i z kaskiem na samej górze (identycznie jak u Dawida), w którym umieszczono dwa elektryczne znicze. Wokół tablicy figury aniołków i zielona Maryja pod plastikowym kloszem.

Różne daty śmierci na tych pomnikach podważają najpowszechniejszy argument ich stawiania – „ku przestrodze". Niestety Dawid nie uchronił Marka przed śmiercią.

Upamiętnienie

W międzynarodowym obiegu funkcjonują najczęściej jako *roadside memorials* – przydrożne upamiętnienia. Ten termin jako najbardziej pojemny i neutralny lubi Lucyna Przybylska, profesor Uniwersytetu Gdańskiego zajmująca się tą tematyką. W polskiej literaturze przedmiotu używane są też inne określenia: „miejsce pamięci (przy drogach)", „spontaniczne upamiętnienie (nagłej) śmierci", „miejsce (nagłej) śmierci". Upamiętnienia te przyjmują różnoraką formę: krzyża drewnianego lub metalowego, znicza, sztucznych kwiatów, tablic pamiątkowych. W przypadku śmierci motocyklistów pojawia się kask. Kiedy umiera rowerzysta, stawiany jest biały rower.

W ostatnich 15-20 latach zjawisko to – niezależne od przynależności religijnej czy kościelnej – stało się powszechne w Australii, Nowej Zelandii, Japonii, obu Amerykach oraz Europie. Za początek uważa się rok 1953, kiedy to w Stanach Zjednoczonych zainicjowano program oznaczania miejsc śmierci przy autostradach (American Legion Highway Fatality Marker Program). W Polsce ważna data to transformacja z 1989 r. Jak pisze prof. Przybylska, „liczne przydrożne miejsca pamięci niewątpliwie są wynikiem odzyskania wolności publicznej ekspresji w różnych sferach życia (np. ekonomicznej, politycznej, religijnej czy edukacyjnej)".

Wzdłuż polskich dróg zwykle stoją krzyże. Coraz częściej jednak znajdziemy obiekty rozbudowane, wieloelementowe. Są niczym alternatywny grób w świeckiej przestrzeni. Pewien obcokrajowiec na widok takiego miejsca zapytał: „Dlaczego w Polsce chowa się ludzi przy drogach?".

Stąd pierwsze pytanie: dlaczego dla upamiętnienia nagłej śmierci przestały nam wystarczać krzyże?

Wizerunek

Elementy tego „nagrobka" ułożono w jednym rzędzie. Najwyższy jest kamienny krzyż (z tyłu ma jeszcze słup od monitoringu), w dolnej jego części doklejono wizerunek przystojnego, uśmiechniętego mężczyzny z lekkim zarostem – wygrawerowany na kamiennej płytce. W donicy tuż przed nim kwiaty, teraz to białe bratki z granatowymi środkami. Jeszcze znicze. Najczęściej stoi jeden i ma sztuczne światło. Wszystko zlokalizowane w pasie trawy pomiędzy chodnikiem a ścieżką rowerową na skrzyżowaniu ulic Marcelińskiej i Świerzawskiej w Poznaniu.

Miejsce wyróżnia się wyjątkową estetyką i jest zadbane, nie komponuje się jednak z przestrzenią wokół. Czy powinniśmy korzystać z miejsc publicznych

ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI / REPORTER

Południowa obwodnica Warszawy, węzeł Wał Miedzeszyński. 27 grudnia 2020 r.

dla wyrażenia osobistego żalu? Mijam je zawsze w drodze do Lasku Marcelińskiego i nic o nim nie wiem, choć od początku mnie intryguje. Ktoś wyjątkowo o nie dba, stąd moje domniemanie, że jest nowe (z badań wynika, że im bardziej zadbane miejsce, tym nowsze).

Z artykułu „Miejsca nagłej śmierci w Poznaniu – ich typologia i formy upamiętnienia" Katarzyny Kulczyńskiej i Natalii Marciniak, które przeprowadziły ich inwentaryzację w latach 2016-2017, dowiaduję się jednak, że to miejsce pochodzi z czerwca 2016 r. i w przeciągu lat przeszło metamorfozę. Na początku wyglądało tak: dwa drewniane krzyże, duże, czarno-białe zdjęcie w białej ramce oparte o słup od monitoringu, trzy białe doniczki z kwiatami, dodatkowo kwiaty cięte, zabawki (mały helikopter, samochodzik), znicze, a także kask motocyklowy.

Kulczyńska i Marciniak udokumentowały 59 takich miejsc w Poznaniu. Porównały swoje badania z przeprowadzonymi w 2015 r. i wskazały widoczny wzrost liczby miejsc pamięci – z 34. Najczęstszą formą upamiętnienia są znicze (38 miejsc), sztuczne kwiaty (27) oraz drewniane krzyże (23). Rzadszą – krzyże metalowe (14). Do najrzadszych sposobów upamiętnienia należą tablice pamiątkowe, zabawki, łańcuchy motocyklowe, klepsydry (1).

Kto zajmuje się miejscem przy Lasku Marcelińskim? To mama zmarłego tu Przemka (nie chce ujawniać swojego imienia i nazwiska). Kiedy wreszcie uda mi się z nią porozmawiać, mówi, że przychodzi tu średnio raz w tygodniu, podobnie jak na cmentarz. Tyle że tu ma blisko i kiedy jest jej źle, idzie właśnie tutaj.

Miejsce nazywa pomnikiem. Postawiono go w 2020 r. Okazuje się, że przeszedł już kilka metamorfoz. Mamie Przemka najbardziej podobała się wcześniejsza wersja: to kamień w kształcie serca, znaleziony na skalniku zbudowanym przez Przemka. Na serce naklejono jego zdjęcie, zaimpregnowano przed deszczem. Niestety zdjęcie zaczęło przeciekać. – Mnie taki kamień w zupełności by wystarczył. Gdybym miała sama decydować, zostałabym przy nim – przyznaje.

Pomnik ulega też przeobrażeniom z innych powodów. Kiedyś ukradziono kask czy świąteczne lampki choinkowe. Znaczenie mają również uwagi mieszkańców. – Staramy się ograniczać elementy, które mogą kogoś drażnić – mówi mama Przemka. – Przekazano nam informację, że znicz z żywym płomieniem rozprasza kierowców. Od tej pory stawiamy lampkę elektryczną, która ma delikatniejsze światło. Żywy płomień pojawia się tylko w rocznicę śmierci czy urodzin syna.

Co rzadkie przy takich miejscach pamięci, nie ma na nim żadnych napisów. Rodzina zastanawiała się, czy podać imię, nazwisko, datę urodzenia, śmierci, ale ostatecznie ograniczono się do wizerunku Przemka. Jego twarz ma symbolizować wszystkich młodych, którzy zginęli w takich wypadkach.

I mam wrażenie, że najistotniejszym dla rodziny elementem pomnika jest właśnie jego wizerunek.

– Człowiekowi robi się lżej, jak na niego patrzy – mówi siostra Przemka, która dołącza do nas w trakcie rozmowy.

– Głaszczemy to zdjęcie, jakbyśmy głaskali Przemka po twarzy – mówi jego mama.

Obydwie kobiety nie wiedziały, że taki pomnik trzeba zgłosić w odpowiednim urzędzie i opłacać.

Opłata

W artykułach naukowych na temat miejsc nagłej śmierci w Polsce badacze wspominają o ich powstawaniu wbrew prawu. Pada zdanie: „Zazwyczaj są nielegalne", a ja zastanawiam się, czy słowo „zazwyczaj" można zamienić na „zawsze". Dlatego umawiam się na rozmowę z Krzysztofem Olejniczakiem, dyrektorem Zarządu Dróg Miejskich (ZDM) w Poznaniu, i Agatą Kaniewską, rzeczniczką prasową Zarządu.

– Można upamiętnić nagłą śmierć w przestrzeni publicznej, ale trzeba złożyć w tym celu wniosek o zgodę na zajęcie pasa drogowego – mówi dyrektor. – Szczególny charakter tej przestrzeni reguluje ustawa o drogach publicznych z 1985 r., która mówi, że za zajęcie pasa drogowego należy się opłata. Stawka ta wynosi 10 zł za metr kwadratowy na dzień. Z tym że ustawodawca daje możliwość regulacji wysokości tej opłaty samorządom. W Poznaniu mamy oddzielną uchwałę Rady Miasta z 2004 r.

Dzięki niej opłata w Poznaniu jest mniejsza i wynosi 3 zł/m2 na dzień.

Nie wszędzie jednak istnieją uchwały. Nie ma jej chociażby w Gdańsku. Dlatego legalne miejsce upamiętnienia nagłej śmierci w tym mieście jest dużo droższe niż w Poznaniu. Sęk w tym, że w Gdańsku nie ma legalnych miejsc upamiętnienia (taką otrzymuję informację od Magdaleny Kiljan, rzeczniczki prasowej Gdańskiego Zarządu Dróg i Zieleni), w Poznaniu natomiast, mimo niższych stawek, jest tylko jedno.

– Ludzie nie składają wniosków, bo nie wiedzą, że zajęcie pasa drogowego wymaga zgody i opłaty – mówi Olejniczak. – Traktujemy przestrzeń publiczną jak własną, na której możemy robić, co chcemy. A tak nie jest. Powiem więcej: za nielegalne zajęcie pasa drogowego jest opłata karna.

– W grę wchodzą emocje – dodaje Agata Kaniewska, rzeczniczka prasowa Zarządu. – Ktoś z rodziny przyniesie znicz, inny kwiaty, jeszcze inny wbije krzyż. Nikt wtedy nie myśli o zawładnięciu przestrzeni, o tym, żeby iść do urzędu i pisać jakiś wniosek. Po prostu chce się upamiętnić to miejsce.

Co ZDM robi z tymi nielegalnymi pomnikami? Dyrektor mówi, że nic. Nie wymaga od swoich pracowników ani ich usuwania, ani zostawiania. Jednak uważa, że byłby duży opór z ich strony, żeby likwidować tego typu miejsca, mimo że nie posiadają prawnej zgody.

Tak więc prawo jest martwe. ↦

– Gdybyśmy chcieli postępować zgodnie z prawem, powinniśmy znaleźć osobę, która zajęła pas drogowy, i wezwać ją do usunięcia danych elementów. Jednak w przypadku miejsc nagłej śmierci pojawia się u urzędników psychiczna bariera – w momencie, kiedy jest żałoba, świeże sprawy, ludzie jeszcze przeżywają tę nagłą śmierć, urzędnik nie ma serca przyjść do nich z wezwaniem o usunięcie. To jest nieludzkie. Nie robimy tego. Trudno też znaleźć osobę, która krzyż czy znicz postawiła.

– A gdyby te wnioski wpływały?

– Podstawowe kryterium to bezpieczeństwo ruchu drogowego. Jeżeli obiekt upamiętniający nagłą śmierć by mu nie zagrażał, to w mojej ocenie nie mielibyśmy nic przeciwko. Trzeba pamiętać, że jeżeli odmawiamy, to musimy podać powód. Jeżeli obiekt jest bezpieczny, nie mamy podstaw.

I na koniec stwierdza: – To, o czym tutaj mówimy, nie jest dla Zarządu Dróg Miejskich problemem. Niech te miejsca istnieją. Upamiętnienia nagłej śmierci są sprawą marginalną.

– Nie docierają do nas sygnały od mieszkańców, rad osiedli czy społeczników, że jest to problem, że przeszkadzają, że to duże budowle – mówi Kaniewska.

– To też jest istotne. Jeżeli mielibyśmy lawinę pism, żeby coś z tym zrobić, to byłaby inna sytuacja – dodaje dyrektor Olejniczak. – Mielibyśmy wówczas przyzwolenie społeczne na usuwanie tych miejsc. Dziś go nie mamy.

Ankieta

W 2011 r. na portalu Trójmiasto.pl pojawił się artykuł „Czy Gdańsk będzie walczył z przydrożnymi krzyżami?". Chciano poznać opinię mieszkańców. Według cytowanej w artykule urzędniczki z biura prasowego krzyże stały się „problemem", a w ich sprawie przychodziło dużo listów, raczej od przeciwników. W artykule umieszczono też wypowiedzi szefa pomorskiej „drogówki", księdza z redakcji „Gościa Niedzielnego" i mieszkanki Gdańska. Pierwszy oświadczył, że obecność krzyży „nie pomaga w zakresie prewencji", natomiast drugi zastanawiał się nad dwiema kwestiami: czy w niektórych przypadkach „nie są one również – obok symbolu wiary – znakiem ludzkiej głupoty, grzechu i nieprzestrzegania przepisów drogowych", a także czy rzeczywiście ostrzegają one młodych ludzi przed brawurą. Gdańszczanka o krzyżach przydrożnych wypowiedziała się pozytywnie: są „sygnałem ostrzegawczym" dla kierowców.

BEATA SZADY

Mama Przemka przychodzi tu średnio raz w tygodniu, podobnie jak na cmentarz. Przychodzi zwłaszcza wtedy, kiedy jest jej źle.

Postawiono zatem internautom pytanie: czy krzyże pamięci w pasie drogowym należy usuwać? Można było wybrać jedną z czterech odpowiedzi: 1. tak, bo rozpraszają kierowców i stoją bezprawnie; 2. raczej tak, pas drogowy nie jest godnym miejscem dla krzyża; 3. nie, są mocnym sygnałem ostrzegawczym dla kierowców; 4. raczej nie, bo i tak spowszedniały. W przeciągu mniej więcej tygodnia zebrano aż 3790 opinii. Pierwszą odpowiedź wybrało 29 proc. respondentów; drugą – 19 proc.; trzecią – 44 proc.; czwartą – 8 proc. Sumując: 48 proc. internautów odpowiedziało, że krzyże należy usunąć, 52 proc., że nie. Siły więc okazały się wyrównane.

Wyniki ankiety pokazały, jak bardzo podzieleni są gdańszczanie w temacie krzyży powypadkowych, ale też jak bardzo ich ten temat nurtuje. Podział na niemal dwie równe grupy najprawdopodobniej spowodował, że magistrat z krzyżami nic nie zrobił.

Emocje

Badacze zastanawiają się, dlaczego upamiętnia się miejsca nagłej śmierci. Wszak, jak podaje prof. Przybylska, to cmentarz jest postrzegany jako „najlepsze w naszej kulturze miejsce dla pamięci zmarłych", zarówno według zwolenników, jak też przeciwników jakichkolwiek symboli religijnych w miejscach publicznych. Z drugiej strony, jak podkreśla prof. Phillip Zarrilli, mamy „kulturową potrzebę przywiązywania wagi do miejsca śmierci oprócz miejsca grzebalnego".

Szwedzka badaczka Anna Petersson wskazuje, że upamiętnienia przydrożne są „materialnym wyrazem żalu, umożliwiającym oswojenie się ze śmiercią. Są wręcz narzędziami, przy pomocy których ludzie radzą sobie z intensywnymi emocjami smutku i innymi trudnymi myślami związanymi z wypadkiem". Z tymi słowami zgadzają się osoby opiekujące się miejscami nagłej śmierci, które zdecydowały się ze mną porozmawiać na potrzeby tego tekstu. Oponują, kiedy przedstawiam im wypowiedzi internautów z Trójmiasta, którzy uważają wykorzystywanie przestrzeni publicznej dla wyrażania osobistego żalu za bezzasadne. „Miejsce zmarłych jest na cmentarzu. Miejsce pamięci też. Nie róbmy z ulic cmentarzy".

Maria Musiał spod Białegostoku: – Tyle w miejscach publicznych – w komunikacji czy na ulicy – pokazywanych jest emocji, różnych, nie zawsze dobrych. Czasami są wyrażane w bardzo negatywny sposób, a my musimy je znosić. My tutaj spokojnie pokazujemy, że jakaś osoba zginęła, że była nam bliska, że nam na niej zależało, że jest żal. Nikogo nie chcemy obrażać.

Podobnego zdania jest mama Przemka. – Powinniśmy uszanować swoje potrzeby. Kiedy artysta stawia w miejscu publicznym swoją rzeźbę – ja nie muszę tego rozumieć, ale czy mam to negować? Jeżeli słyszałabym, że komuś pomnik Przemka przeszkadza, może bym usunęła. Ale tak naprawdę powinniśmy siebie szanować.

Emilia Kowalewicz, córka Marii Musiał: – Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy upamiętnienie miejsca nagłej śmierci jest osobistym wyrażeniem żalu. Takie miejsca nigdy mnie nie raziły. Każdy może mieć swoje zdanie, ale ja nie widzę w tym nic złego.

Cytuję pewnego księdza, który uważa, że „przydrożny rów nie jest dobrym miejscem pamięci i nie jest dobrym miejscem dla krzyża".

– A kapliczka w lesie już tak? – pyta Andrzej Musiał. Razem z żoną Marią opie-

kują się znanym w Poznaniu miejscem nagłej śmierci: białym rowerem na Moście Dworcowym. To jedyne legalne upamiętnienie w tym mieście.

„O ile stare, tradycyjne krzyże, figury i kapliczki przydrożne są uznawane za chlubne dziedzictwo lokalnej społeczności, (...) to już rola ich miniodmian, czyli krzyży powypadkowych, jest oceniana niejednoznacznie" – pisze prof. Przybylska.

– Jedno może być, a drugie już nie? Nic nie rozumiem – podsumowuje Andrzej Musiał.

Z księdzem nie zgadza się również Marzena Pasternak z Chocianowa na Dolnym Śląsku, która też upamiętniła nagłą śmierć swojego syna. – Dlaczego nie tam, w rowie? Dlaczego ktoś ma mi narzucać miejsce? Forma upamiętnienia też powinna być dowolna. To zresztą wcale nie musi być symbol religijny.

Badaczka Amanda Reid zauważa: „Korzystanie z publicznej przestrzeni dla wyrażenia osobistego żalu, wychodząc poza sferę powszechnie akceptowalnych cmentarzy, nie pozostaje bezkonfliktowe".

Zażyłość

Pokazuję państwu Musiał miejsca pamięci spod Ruska.

Maria: – Jakby cmentarz tutaj przeniesiono.

Andrzej: – Coś takiego w tym miejscu może stwarzać niebezpieczeństwo.

– Jak państwo myślą, dlaczego ludzie w miejscu upamiętnienia nagłej śmierci stawiają takie groby? – pytam.

– To zależy od człowieka. Jednemu wystarczy mały symbol, innemu coś monumentalnego – mówi Andrzej.

Maria dodaje: – Ale chyba też dlatego, że ludzie mają pieniądze, żeby coś takiego stawiać. Podobne zjawisko zaobserwowałam również na cmentarzach.

Pytam rodzinę Przemka, dlaczego miejsce upamiętnienia jego nagłej śmierci – jak na warunki miejskie – jest tak rozbudowane.

– Dla nas to minimum – odpowiada krótko jego siostra. I dodaje: – Może chodzi o większą świadomość relacji, oddanie w ten sposób tej zażyłości?

Niestety nie udaje mi się porozmawiać z rodzinami chłopaków spod Ruska.

© BEATA SZADY

Chwytaj dzień. I pamiętaj o śmierci

PIOTR SIKORA

Tylko to, czego jest mało, może mieć wielką wartość. Jak sól w średniowieczu. Jak chwila życia – w każdej epoce.

Sztuczna inteligencja ma banalne skojarzenia. Cyfrowe algorytmy, podsuwające mi na ekran laptopa te, a nie inne treści, wyświetliły dzisiaj na mojej playliście na YouTubie czarno-biały prostokąt, a w nim Marka Piekarczyka sprzed lat czterdziestu. Kliknąłem, prostokąt rozrósł się zajmując większą część ekranu, a wokalista TSA zaczął śpiewać: „Idąc cmentarną aleją szukam ciebie, mój przyjacielu. Odszedłeś, bo byłeś słaby jak suchy liść...".

Ludzki umysł, nawet umysł filozofa, również bywa prymitywny. Czepia się powierzchni znaczeń słów, tworząc przypadkowe połączenia: patrząc na tytuł słuchanego utworu, uświadomiłem sobie z olśniewającą przejrzystością, że mam już pięćdziesiąt jeden lat i szansa na to, że przede mną jest jeszcze tyle życia, ile już przeżyłem, jest praktycznie równa zeru. Gdzieś zniknęła nieskończona perspektywa bezkresnej przyszłości przede mną, jaką miałem, gdy – nastoletni – uczyłem się grać na swojej pierwszej gitarze akustycznej, nieudolnie naśladując m.in. palcówki i riffy Andrzeja Nowaka, niespodziewanie miotającego się dziś znowu z największymi polskiego heavy metalu na ekranie mojego laptopa.

Mądrość nabyta z czasem

Świat się zmienił. Nowak nie żyje, ja dawno gitary nie miałem w rękach, groźba wojny atomowej – czterdzieści lat temu raczej wspomnienie z jeszcze dawniejszych czasów – wróciła, usadowiła się gdzieś w tyle naszych głów i wyskakuje podczas dyskusji o tym, co czeka nas w najbliższej przyszłości.

Ale nie zamieniłbym się. To znaczy – nie chciałbym wrócić w skórę i umysł tamtego młodego człowieka, który uczył się grać na gitarze, układał dalekosiężne projekty życiowe i niemal nie miał świadomości, co się z nim dzieje – rozglądając się po sobie i świecie okiem i uchem owiniętymi w nastoletnią pewność, że prawdziwe są idee, teorie i plany, które uważa za swoje.

Powrót zaś do tamtego ciała ze świadomością tego, co zrozumiałem do dzisiaj, niemożliwy jest niczym kwadratura koła. Zrozumienie obejmuje też pamięć. Ta zaś odciśnięta jest w całym układzie nerwowym; i w zmarszczkach skóry na dłoniach delikatnie trzymających lata później narodzone niemowlę, albo raniących się do krwi przy zwijaniu żagla w pierwszych podmuchach sztormu; i w lewym płucu ze śladami zatoru; i w oczach, które czytać muszą już przez okulary, sycone rok po roku kolorami bzu przed domem, naskalnymi obrazami koni w Niaux, widokiem ukochanej siwiejącej razem ze mną...

Zrozumienie przyszło wraz z życiem – wtedy i kilka lat później, i zupełnie niedawno. To, co wiem, wiem całym ciałem, które w każdej chwili życia było na swoim miejscu (nawet jeśli czasem myślałem, że nie jest). A zatem powrotu do mnie młodego nie ma. Musiałbym wyjąć ze swojego miejsca cały świat, całą historię i włożyć je... właśnie: gdzie?

Jestem – tutaj i teraz gdzie jestem, i właśnie zaczynam rozumieć pewną historię opowiedzianą uczniom przez Mistrza: „Pewnemu zamożnemu człowiekowi dobrze obrodziło pole. I rozważał sam w sobie: Co tu począć? Nie mam gdzie pomieścić moich zbiorów. I rzekł: Tak zrobię: zburzę moje spichlerze, a pobuduję większe i tam zgromadzę całe zboże i moje dobra. I powiem sobie: ↦

↦ Masz wielkie zasoby dóbr, na długie lata złożone; odpoczywaj, jedz, pij i ciesz się! Lecz Bóg rzekł do niego: »Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie; komu więc przypadnie to, coś przygotował?«. Tak dzieje się z każdym, kto skarby gromadzi dla siebie, a nie jest bogaty ku Bogu" (Łk 12, 16–21).

Głupiec, a nie złoczyńca

Opowieść o zapobiegliwym bogaczu poprzedzona jest ostrzeżeniem przed grzechem chciwości. Długi czas myliło mnie to, czytałem historię o wielkich zbiorach i za małych spichlerzach jako osąd człowieka. Jego wina – myślałem – polegała na chęci przyjemnego korzystania ze zdobytych dóbr: chciał sam jeść, pić, bawić się, nie pomyślał, żeby się podzielić. Dopiero niedawno zauważyłem, że ów człowiek nie jest – w oczach Boga – zły, ale głupi. Stwórca, przywołany przez Jezusa, zarzuca mu nie tyle postępowanie niewłaściwe moralnie, co po prostu błąd.

Na czym błąd polegał? Ujawnia się to w Jezusowym podsumowaniu opowieści: „Potem powiedział do swoich uczniów: »Dlatego powiadam wam: Nie troszczcie się (*merimnate*) o życie (*psyche*), co macie jeść, ani o ciało, czym macie się przyodziać. Życie (*psyche*) bowiem jest większe niż pokarm, a ciało – niż odzienie. (...) Kto z was, troszcząc się (*merimnon*), jest w stanie dołożyć coś do swojego wieku?«" (Łk 12, 22-24).

Na naturę błędu bogacza wskazuje słowo użyte w Ewangelii, które polski tłumacz oddał jako „troszczyć się". Nie jest to najlepszy przekład. „*Merimnao*", jak dużo słów greki, wiele ma sensów. Znaczy zarówno „niepokoić się", jak i „rozmyślać". Pokrewny rzeczownik – „*merimna*" – oznacza „niepokój", ale także „zamierzenie" oraz „fantazja".

Kontekst ewangelicznej opowieści sugeruje, że wszystkie te sensy warto wziąć pod uwagę. Bogacz zebrał nadspodziewanie obfite plony – i w jego świadomości zaraz pojawił się problem: zaczął z niepokojem myśleć o przyszłości, o tym, że nie ma gdzie pomieścić zbiorów. Rozwiązaniem (w jego mniemaniu) stały się kolejne, w jego głowie stworzone, scenariusze przyszłych działań oraz zdarzeń. Zaplanował wielką akcję – zburzenie spichlerzy i budowę nowych. Wyobraził sobie też swoje szczęście – długie, lecz mające nastąpić w odległej przyszłości, po ukończonej budowie („I powiem sobie – tekst używa tu czasu przyszłego! – masz zasoby dóbr na wielkie lata").

> Można snuć plany,
> rozsądnie jest nawet
> je realizować, ale głupcem
> jest ten, komu przygotowania
> do życia zastąpią życie,
> kto nie zauważy, że życia
> przed sobą ma zawsze
> tyle samo: tę chwilę.

Wszystko – warto zauważyć – dzieje się jedynie w głowie bogacza, cała opisana przyszłość jest jedynie wyobrażona. To tylko w jego głowie plony nie zmieściły się w starych spichlerzach i marnieją leżąc na zewnątrz. Tylko w jego głowie te za małe spichlerze zostają zburzone. I jedynie w jego głowie powstają nowe budynki. I znów: tylko w jego wyobraźni dzieją się przyszłe uczty, zabawy. Gdy o tym pamiętamy, łatwiej możemy dostrzec ironię w końcowym pytaniu zadanym przez Boga: gdy umrzesz, komu przypadnie to, coś przygotował? Jedyne bowiem, co ów bogacz przygotował, to wymyślony przezeń scenariusz wydarzeń: fantazja, zamierzenie, nic realnego. Umierając, zabierze wszystko to do grobu.

Zawsze przegrana

Dobrze znamy proces, który dzieje się w umyśle bogacza z Ewangelii – w naszych głowach powtarza się on bardzo często, niemal nieustannie. Gdyby nie on, nasz gatunek, pozbawiony futra, kłów i pazurów, skazany byłby na ewolucyjną porażkę. Umiejętność przewidywania, co może się zdarzyć, tworzenia alternatywnych scenariuszy rozwiązań, jest podstawą tak biologicznego przeżycia jednostek (nasze hipotezy i próbne pomysły mogą umierać za nas), jak i cywilizacyjnego rozwoju społeczeństw (wymyślenia czegoś nowego, czego dotąd nie było).

Jednak taki tok myślenia obarczony może być fundamentalnym brakiem – może nie mieć w sobie zastrzeżenia: „[zrobię to, albo tamto] o ile nie umrę – jutro, w nocy, dziś wieczorem, już za chwilę". Co to zastrzeżenie zmienia? Wstaw je w swoje plany – na poważnie – zobacz. Zobacz, co się zmienia w myśli: „skończę kurs księgowego, otworzę biznes". Albo w takiej: „weźmiemy kredyt, kupimy mieszkanie". Albo: „teraz muszę dużo pracować, gdy dostanę ten awans, wezmę dzieci na taaakie wakacje"... „O ile nie umrę" konieczne jest (choćby w domyśle), ujawnia bowiem istotną cechę wszelkich planów, które tworzymy: to tylko nasza myśl, nie rzeczywistość.

Nie jest to wcale dla wielu z nas oczywiste. Ileż razy snując myśli o przyszłości, tak dawałem się im pochłonąć, jakbym naprawdę był hen, tam: za tydzień, za rok, za lat dziesięć. Co ciekawe – pochłonięciu takiemu sprzyja biologiczna właściwość mózgu. Nasze emocje działają w podobny sposób tak na wyobrażoną, jak na rzeczywistą sytuację. Wyobrażony tort podobnie pobudza gruczoły ślinowe, co tort upieczony. Wyobrażona katastrofa podobnie wzbudza lęk, co rzeczywiste niebezpieczeństwo, tak samo powoduje wyrzut hormonów stresu: adrenaliny i kortyzolu.

Nie myślcie z niepokojem o przyszłości – radzi Jezus w Ewangelii – nie ruminujcie. Problem w tym, że umysł działa w tym zakresie w dość podstępny sposób, który uniemożliwia traktowanie Jezusowej rady jako wymogu, zadania do wykonania. Nie wierzysz? Zróbmy eksperyment. Jeśli powiem ci (albo powiesz sobie sam): „nie myśl o żółtym żółwiu" – co się stanie? Czy nie jest tak, że żółty żółw właśnie wskoczył w strumień twojej świadomości z szybkością zająca? Jeśli mocniej postanowisz, by o nim nie myśleć – umości się tam na dobre. No... nie myśl o nim – to twoje na teraz jedyne zadanie.

Gdy robimy plany, stawiamy przed sobą zadania, ważne jest, aby po jakimś czasie sprawdzić, na ile udało się nam je wykonać; jeśli zaś coś poszło nie tak – skorygować działanie. A zatem: czy udało ci się wykonać zadanie i przestać myśleć o żółtym żółwiu? Jest tam zwierzak jeszcze? Gdy tylko chcesz sprawdzić – właśnie zawiodłaś, zawiodłeś.

A przecież żółty żółw nie obchodził cię wcześniej w ogóle. Zanim zapytałem, nigdy – zapewne – nie przyszedł do głowy. Ileż głębiej, bardziej uporczywie siedzą w niej obrazy tego, co dla ciebie ważne, co pragniesz zatrzymać, co chcesz zdobyć

TRICOLORS / EAST NEWS

Koncert zespołu TSA, Andrzej Nowak i Marek Piekarczyk. 22 września 2003 r.

albo – równie mocno – czego chcesz uniknąć. Siedzą głęboko i raz po raz wyskakują na powierzchnię świadomości. Pobudzają emocje, fizjologię ciała. Zasłaniają teraźniejszą chwilę, osłabiają życie. Świetnie opisał to Pascal:

„Nie dbamy nigdy o czas obecny. Uprzedzamy przyszłość, jako zbyt wolno nadchodzącą, jak gdyby chcąc przyspieszyć jej bieg; albo przywołujemy przeszłość, aby ją zatrzymać jako zbyt skwapliwą. Tak nierozsądni jesteśmy, że błąkamy się w czasach, które nie są nasze, nie myśląc o jedynym, który nam przynależy; i tak letcy, że myślimy o chwilach, które nie są już niczym, a przepuszczamy niebacznie jedyną, która istnieje. Zazwyczaj bowiem teraźniejszość nas rani. Ukrywamy ją naszym oczom, ponieważ nam jest przykra; a jeśli jest miła, żałujemy, że się nam wymyka. Staramy się podeprzeć ją przyszłością i silimy się rozrządzać rzeczami, które nie są w naszej mocy, na czas, którego nie wiemy zgoła, czy dożyjemy. Niechaj każdy zbada swoje myśli, ujrzy, iż wszystkie zaprzątnięte są przeszłością i przyszłością. Nie myślimy prawie zupełnie o teraźniejszości; a jeśli myślimy, to jeno aby zaczerpnąć z niej treść do snucia przyszłości. Teraźniejszość nie jest nigdy naszym celem; przeszłość i teraźniejszość to nasze środki; jedynie przyszłość jest naszym celem. Tak więc nie żyjemy nigdy, ale spodziewamy się żyć; gotujemy się wciąż do szczęścia, a co za tym idzie, nie kosztujemy go nigdy" (przeł. Tadeusz Boy-Żeleński).

Wygrana bez walki

Co więc robić, by skosztować (teraz) szczęścia? Jak nas żółw poucza, nie jest dobrą drogą bezpośrednia walka, mocne postanowienie zaprzestania ruminacji na temat przyszłości. Wiedział o tym Jezus, nie ograniczył się więc do postawienia zadania: nie myślcie z niepokojem, co będziecie jeść, w co się ubierać. Przekierował uwagę słuchaczy: jesteście kimś więcej niż jedzenie, ubiór, jesteście więksi niż każde wasze doświadczenie. Myśli płynęły, płyną, będą płynąć. Emocje powstają, rosną i opadają. Głód zmienia się w smak chleba na języku, w odczucie przyjemnego wypełniania się żołądka, i znowu w głód. Zimno zamienia się w ciepło, ciepło – ponownie w zimno. Nie powstrzymasz strumienia doznań. Ale zwróć uwagę: kto go doświadcza?

Nie zobaczysz patrzącej lub patrzącego – zobaczona (zobaczony) nie byłaby (nie byłby) widzem. Możesz jednak patrzyć świadomie. Świadoma (świadomy), że widzisz. Świadomy (świadoma) ulotnej natury tego, co właśnie widziane. To właśnie znaczy: pamiętając o śmierci. Mieć jasną świadomość, że strumień jest tylko strumieniem. Że nie tylko się zmienia, lecz także, że może wyschnąć. Że – jak przypominał Epikur – „przyszłość ani nie jest całkowicie w naszej mocy, ani też nie jest bynajmniej zupełnie od nas niezależna" (przeł. Kazimierz Leśniak). Że od tej nocy (godziny, sekundy) naszej przyszłości może już nie być. Że – zatem – można snuć plany, rozsądnie jest nawet je realizować, ale że głupcem jest ten, kto zapomni, iż wyobrażenie przyszłości nie jest jeszcze przyszłą rzeczywistością, komu przygotowania do życia zastąpią życie, kto nie zauważy, że ile by lat miał – jedenaście, pięćdziesiąt jeden czy dziewięćdziesiąt – życia przed sobą ma tyle samo: tę chwilę.

Tak, wiem, gdy miałem lat kilkanaście, mogłem przypuszczać, że chwil takich mam przed sobą więcej niż dzisiaj. Ba!, niezależnie od tego, że przez cały czas śmierć była blisko – nie dalej niż betonowy róg balkonu od biegnącej pod nim dziecięcej głowy, niż ciężarówka od kierownicy roweru, niż średnica zakrzepu w żyle – wtedy tych chwil naprawdę było więcej niż teraz: o każdą, która minęła. Cóż, im mniej ich, tym są cenniejsze. Albo inaczej: lepiej smakuje ta jedna. Tym bardziej jest oczywiste, że rację miał Epikur piszący do Menojkeusa, że mędrzec, „jak nie wybiera pożywienia obfitszego, lecz smaczniejsze, tak też nie chodzi mu bynajmniej o trwanie najdłuższe, lecz najprzyjemniejsze".

Pamięć o śmierci także jest sztuką. Nie chodzi w niej o ruminację, wyobrażanie sobie (z niepokojem, nadzieją albo obojętnością) przyszłego końca. Taka fantazja jest zawsze fałszywa. Przyszła śmierć – posłuchajmy znów Epikura – „wcale nas nie dotyczy, bo gdy my istniejemy, śmierć jest nieobecna, a gdy tylko śmierć się pojawi, wtedy nas już nie ma". A zatem „troska o piękny koniec życia nie różni się niczym od troski o życie piękne". Piękne jak lilie na polu albo jak kruki w locie.

©℗ PIOTR SIKORA

ZUZANNA

Radzik:
Suweniry przeszłości

Chodźmy już, tu jest trupio – słyszę, choć dopiero zaczęliśmy poranny spacer po największym targu staroci. No ale jest trupio, to prawda. Kule oparte o kołyskę retro zdają się wołać: *memento mori*. Wyliniałe, wypchane zwierzęta i ptaki wyglądają marnie, wywleczone z dawnych domów na jesienne słońce. Pamiątki kolonialnej przeszłości – figurka czarnoskórego lokaja, maski, bransolety i rękojeści noży zrobione z kości (słoniowej?), torebka z pancernika – sprawiają, że się wzdrygam. Krążę, patrzę, nie dotykam. Przestałam szperać, odkąd w pudełku z biżuterią natknęłam się na sztuczne zęby. Sprzedawca nawet nie przejrzał dokładnie wyprzedawanego majątku nieboszczki. Taksuję więc wzrokiem osobliwe kolekcje rozstawione na ulicach. Cudze życia, rodzinne suweniry, absurdalne bibeloty, które śmieszą, aż przypominam sobie, że też mam w domu drobiazgi ważne i ładne tylko dla mnie. Zdjęcia czyichś najbliższych przyciągają wzrok, bo może dałoby się oprawić swoich w ich zdobne ramki. A może lepiej nie. Większość wyprzedawanych tutaj przedmiotów, osieroconych przez tych, co pamiętali ich znaczenie, zdaje się brzydka i nic niewarta. Może faktycznie już chodźmy.

Osierocone są też dewocjonalia. Mnóstwo. Całkiem stare i pokaźnych rozmiarów drewniane Maryjki, porcelanowe figurki Świętej Rodziny, pobożne obrazy. Małe różańce, średnie różańce, a nawet wielkie różańce. I brzydkie obrazki, zamknięte pod szklaną ramą z wypłowiałymi sztucznymi kwiatkami. Czasem wręcz domowe ołtarzyki, bo to pobożny kraj był do niedawna, jeszcze kilkadziesiąt lat temu statystyki uczęszczania na niedzielne msze były jak w Tarnowie. A teraz, kto zabierze je z tego chodnika do domu? Jak będą miały szczęście, ktoś kupi je dla beki, jak tamci młodzi duży drewniany krucyfiks, który teraz stoi na ich stoliku w bistro między kuflami piwa i jedzeniem. Ale kto się będzie modlił z nimi, wzdychał? Bo ta brzydka pobożna ramka z plastikowym kwieciem pewnie towarzyszyła komuś przez kawał życia.

O przemijaniu nam wyszła ta niedzielna wycieczka w poszukiwaniu mebla, bez dwóch zdań. O tym, że odchodzą ludzie, odchodzą normy, mody, idee i formy pobożności, zanika wiara, a zostają rzeczy. Bardzo dużo rzeczy układających się w scenografie minionych światów. Do tych już nie z naszego świata przedmiotów i, *nomen omen*, trupiej atmosfery dołącza tego dnia kryształowo złoty i zdobiony koralem relikwiarz w diecezjalnym muzeum: św. Stefan, Urszula i 11 tysięcy dziewic! Relikwie, owinięte w zwitki pastelowego płótna i wrzucone w kielich z górskiego kryształu, wyglądają jak cukierki. Moja legendarna patronka męczennica (na drugie mam Urszula) i jej nieistniejące, choć liczone w tysiącach towarzyszki, powstałe ponoć ze złego zrozumienia łacińskiego tekstu. One i ja, między nami szyba. One symbolicznie – jeśli w ogóle istniały i miały jakieś kości, to pewnie nie te. Ja, która nie umiem w relikwie, więc jest mi zupełnie obojętne, czy to ich szczątki. Suwenir z innego czasu i innego Kościoła, na szczęście na tyle drogocennie opakowany, że wylądował w muzeum, a nie na targu staroci albo w jednej z wielu szaf, w których składuje się w tylu świątyniach niepotrzebne już nikomu, niechciane relikwie. Dwie gabloty dalej – wielki relikwiarz z ramieniem Karola Wielkiego, który rusza mnie jedynie jako historyczny artefakt związany z ważną postacią historii Europy.

Takie mam obcowanie świętych, obcowanie tak różnych wiar z tak odległych światów. Jedyne 8 euro za bilet. Za kolejne sześć można zobaczyć w dawnej sali tronowej regalia królów i cesarzy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, ekspresję tożsamości nowego politycznego bytu. Klejnoty akwizgrańskie. Jest więc korona Rzeszy, jabłko i berło, włócznia św. Maurycego. Jest też wysadzany szlachetnymi kamieniami relikwiarz z początku IX w., zwany Puzdrem św. Szczepana, ponoć z ziemią z Jerozolimy przesiąkniętą krwią pierwszego męczennika. Taka wizja władzy i chrześcijaństwa, tronu i ołtarza zespojonych intymną relacją.

Tysiąc lat z okładem później patrzę na nie w zupełnie innej Europie i chyba jednak dość innym Kościele. Suweniry naszej przeszłości, wspólne pamiątki po pradziadach. Obcowanie świętych jest też o tym, że oni mieli swoją drogę przez historię jako chrześcijanie i my mamy swoją, obarczoną na dobre i na złe ich dziedzictwem, ale własną. Do naszych decyzji. U nich regalia świętego cesarstwa z relikwiarzami, u nas synod o synodalności. Jeden Kościół, ale idący przez historię pod ramię ze Świętą Duszycą. Którędy teraz? ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

- **GLIWICE**, czwartek 27 października, spotkanie z prof. Radosławem Markowskim, „Antropocen — wyzwania dla nauk społecznych oraz problem dla modernizacji” / stacjonarne /
- **ZIELONA GÓRA**, piątek 28 października, spotkanie z ks. Damianem Wyżkiewiczem CM, „Jak nie uczyć religii w szkole?” / stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZAMÓW TANIEJ

swoją prenumeratę na 2023 r. zawczasu

tylko do 2 listopada!

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Niebo i ziemia

„Nadstawcie ucha, niebiosa, a będę przemawiać, i ziemia niech słucha, co wyrzekną me usta" (Pwt 32, 1) – tak oto z głębi stojącego u kresu swej ziemskiej wędrówki Mojżesza poczyna płynąć poezja. Czterdzieści trzy wersy o nieodwzajemnionej miłości Najwyższego do wiarołomnego Jeszuruna (zob. wers 15). Lewici odmawiali je cyklicznie po kawałku, przez 6 kolejnych szabatów, podczas składania ofiary dodatkowej w Świątyni. Miały więc szansę wryć się w zbiorową świadomość Izraela.

Mojżesz zastosował już wcześniej tę figurę retoryczną – gwoli napomnienia powoływanie na świadków przeciw Izraelitom nieba i ziemi (zob. Pwt 4, 26 i 30, 19), pomimo że jeszcze nie mieli szansy zgrzeszyć. Nie mamy, niestety, wątpliwości: prędzej czy później „utyją i zaczną wierzgać". Podobny wybór proroka Micheasza padł na góry i podwaliny ziemi (zob. Mi 6, 2) – coś, co starożytnym zdawało się niezmienne, więc jako świadek – po wsze czasy dostępne. U Izajasza znów mamy niebo i ziemię: „Słuchajcie, niebiosa, i nadstaw ucha ziemio, gdyż Wiekuisty przemówił" (Iz 1, 2).

A gdyby – poprzez midrasz – potraktować takie powołanie świadków bardziej dosłownie? Mojżesz zdaje sobie sprawę ze swojej śmiertelności. Kiedy umrze i Izraelici będą chcieli wyprzeć się, że kiedykolwiek zawarli przymierze z Najwyższym – kłam ich słowom zadadzą niebo i ziemia. Inny midrasz wyobraża sobie, że świadkowie owego dnia zapamiętają przemawiającego Mojżesza i gdy go zabraknie, nie będą oskarżać Izraela, tylko zachowywać się tak, jakby prorok żył i prosił o miłosierdzie dla swojego ludu. W kolejnym wytworze rabinackiej wyobraźni Bóg wysłał już po pustynnego przywódcę anioła śmierci. Mojżesz mówi aniołowi, żeby sobie na razie poszedł, by on mógł chwalić Świętego Błogosławionego („Nie umrę, lecz będę żyć i rozgłaszać dzieła Pana" – Ps 118, 17). Anioł na to, że Najwyższy ma już kogoś, by Go chwalił („Niebiosa głoszą chwałę Boga" – Ps 19, 2). Mojżesz: uciszę je i powiem sam: „Nadstawcie ucha, niebiosa, a będę przemawiać...".

Wróćmy do Izajaszowej inwokacji – prorok wzywa niebo do słuchania, a ziemię do nadstawienia ucha. U Mojżesza jest wręcz odwrotnie. Komentatorzy zauważają, że kogoś, kto znajduje się blisko nas, prosimy o nadstawienie ucha, a o słuchanie – osobę bardziej odległą. Dobiegający kresu swych dni Mojżesz był bliżej nieba – alternatywnie: osiągnął wyższy stopień duchowy niż Izajasz. Ziemia, reprezentująca świat materialny, była dlań wówczas daleka.

Tymczasem Najwyższy „woła niebiosa z wysoka i ziemię, by sądzić swój lud" (Ps 50, 4), albowiem człowiek łączy w sobie te dwa elementy. Taki cel wyznacza nam judaizm: w duchowej wędrówce nie uciekać od fizyczności – ziemi, lecz połączyć ją z niebem. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Ja wiem lepiej

W ostatnią niedzielę października w kościołach, oprócz katedralnych, przypada uroczystość rocznicy poświęcenia „własnego kościoła", to znaczy parafialnego. Ten kościół jest nasz, ponieważ mieliśmy szczęście (lub nieszczęście) urodzić się w granicach tej, a nie innej parafii. Mówię o nieszczęściu, gdyż w miastach, ale i na wsi, i nie od dzisiaj, katolicy uprawiają tzw. *churching*, czyli „kościołowanie", podobnie jak imprezowanie, chodzenie po klubach – czyli *clubbing*. Ci religijni tułacze widocznie nie w każdym kościele znajdują to, czego szukają – wiarygodnego Boga. Źle to czy dobrze? Trudno powiedzieć. Faktem jest, że do jednego kościoła ludzie jadą dłużej niż trwa msza, a w drugim nie mogą wytrzymać trzech kwadransów.

W reprincie dziesiątego numeru „Rycerza Niepokalanej" z października 1922 r. autor podpisujący się inicjałami A.K. pisze, że Franciszek z Asyżu chętnie słuchał pochwał wygłaszanych pod jego adresem przez słuchaczy jego kazań, co gorszyło jego współbraci. „Gdyby to mnie wielbili – powiadał święty – pewnie bym nie pozwolił, ale że Bóg jest we mnie uwielbion, więc jakże mnie, maluczkiemu słudze Jego, ujmować Panu mojemu chwały?". Same tłumy, choćby największe, jakie gromadzi duszpasterz, kaznodzieja czy spowiednik nie muszą świadczyć, że wszystko tam dzieje się po Bożemu. Wiadomo przecież, że jakość pobożności sprawdza się nie na nabożeństwach, ale dopiero przy wychodzeniu z kościoła, a nawet wcześniej, przy przystępowaniu do Stołu Pańskiego.

Wciąż słyszymy: co tam nauka i naukowcy, lekarze, co tam epidemia i szczepionki, ja, ja wiem lepiej, prędzej „trupem padnę", niż przyjmę Najświętsze Ciało Pana Jezusa „na rękę" i jeśli nie na klęczkach, to przynajmniej się głęboko pokłonię i nic to, że kłaniając się Jezusowi, proszę wybaczyć, wypinam się na bliźniego swego... A po powrocie do ławki zamykam oczy i głowę chowam w dłonie i przeżywam, adoruję Jezusa w moim serduszku, czystym przecież, bo świeżo wyspowiadanym i nic to nie znaczy, że przed chwilą na cały głos wyśpiewywałem „Ojcze nasz" – nasz, a nie mój i tylko mój, i „nie oddam go nikomu".

Wyzłośliwiam się, gdyż wychodzi na to, że bardziej słuchamy tak zwanych pobożnych dusz, czyli dewotów, niż Chrystusa. Tak się boimy zgorszenia maluczkich, że rozum odstawiamy do kąta i pozwalamy, by rządziły nami magia i rytualizm, mające tyle wspólnego z Ewangelią i zdrowym rozsądkiem, co nic. Ulegamy „szemraniu" zgorszonych nie dlatego, że mają rację, ale dlatego, że ponoć „nimi Kościół stoi". Niekoniecznie. Może dzięki nim Kościół się wali. Skutecznie wypłaszamy z Kościoła tych, którzy pragną przemierzać rzeczywistość na dwu skrzydłach – wiary i rozumu. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ogień

„Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże pragnę, ażeby on już zapłonął” – wykrzyknął do nas Jezus słowami liturgii minionego czwartku (zob. Łk 12, 49). Skąd taki obraz? Dlaczego ogień?

Ośmielę się twierdzić, iż najlepszej odpowiedzi na te pytania udziela mój kochany patron, Grzegorz Wielki, w swojej homilii na Pięćdziesiątnicę: „Pan posyła ogień na ziemię, aby tchnieniem Ducha rozpalić serca cielesnych [ludzi]. (...) Słusznie więc Duch ukazuje się w ogniu, ponieważ każde serce, które wypełnia – dotąd zdrętwiałe z mrozu – rozpala pragnieniem swojej wieczności”.

Pan chce, musi posłać Ogień, ponieważ przychodzi do serc „zdrętwiałych z mrozu”. Przychodzi do ludzi o zamarzniętych sercach. Nie przychodzi więc jedynie z pouczeniem, ponieważ największym problemem człowieka nie jest niewiedza, lecz to, że jest skuty zimnem.

Kiedy spotykasz człowieka o śmiertelnie wychłodzonym sercu i organizmie, nie mów mu, że mu zimno. Tylko go ogrzej! On nie potrzebuje teoretycznego (i zapewne słusznego) wykładu, dlaczego zmarzł, i (równie słusznego) napomnienia: „jak mogłeś być tak nieroztropny!”. Potrzebuje ciepła.

„Zdrętwiałe serce” to synonim człowieka, który stał się niezdolny do miłości.

Czy tacy ludzie żyli tylko w czasach Jezusa? Albo Grzegorza?

Czy nie widzicie ich obok siebie?

Czy nie widzicie ich w lustrze?

Czy nie jest to główna choroba dzisiejszego człowieka, który równie chętnie deklaruje pragnienie życia we wspólnocie, jak od niej ucieka w wirtualną samotność? Który dopytywany o swoje wartości we wszystkich możliwych ankietach na pierwszym miejscu zdecydowanie stawia rodzinę, a przecież równie zdecydowanie odkłada jej założenie albo ją rozbija (w Łodzi – czy tylko? – co drugie małżeństwo się rozwodzi; a ile związków w ogóle nie przyjmuje żadnej oficjalnej formy?).

Zapewne można tę chorobę opisywać; można także ją diagnozować, pokazać przyczyny: uznany za wręcz obligatoryjną normę czysty indywidualizm; kult wolności „od” – bez pytania o wolność „ku”; tymczasowość i konsumeryzm; lęk przed zobowiązaniami na „całe życie”; emocjonalne zranienia i rozchwianie itd., itp.

Można to wszystko wiedzieć i powiedzieć; można objaśnić i przestrzegać; można nawet napiętnować i pryncypialnie przestrzegać. Diagnoza św. Grzegorza pozostaje aktualna: „najpierw go ogrzej!”. Nie wystarczy informacja, potrzebna jest transformacja. Z Ducha. Mocą Miłości. ©

Zapytali go uczniowie: „Kiedy nastanie odpocznienie umarłych i kiedy przyjdzie nowy świat?”. Jezus odrzekł: „To, czego szukacie, nadeszło, lecz tego nie rozpoznajecie”.

EWANGELIA TOMASZA

Kto pamięta, kim jest, idzie do Ojca. Bo Ojciec jest ze światła i życia – z których Człowiek się narodził.

CORPUS HERMETICUM

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (30 X – 6 XI)

31. niedziela zwykła: Mdr 11, 22 – 12, 2; Ps 145; 2 Tes 1, 11 – 2, 2; Łk 19, 1-10;
Poniedziałek: Flp 2, 1-4; Ps 131; Łk 14, 12-14;
Wtorek, uroczystość Wszystkich Świętych: Ap 7, 2-4. 9-14; Ps 24; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a;
Środa: Hi 19, 1. 23-27a; Ps 27; 1 Kor 15, 20-24a. 25-28; Łk 23, 44-46. 50. 52-53; 24, 1-6a;
Czwartek: Flp 3, 3-8a; Ps 105; Łk 15, 1-10;
Piątek: Flp 3, 17 – 4, 1; Ps 122; Łk 16, 1-8;
Sobota: Flp 4, 10-19; Ps 112; Łk 16, 9-15;
32. niedziela zwykła: 2 Mch 7, 1-2. 9-14; Ps 17; 2 Tes 2, 16 – 3, 5; Łk 20, 27-38.

KRAJ

KTO GŁOŚNIEJ RYKNIE

Na rok przed wyborami polska polityka utknęła w emocjach, które uśmiercają resztki dyskusji na argumenty. Prawie wszyscy są z tego zadowoleni, a co gorsza – nie różni nas to specjalnie od innych krajów.

MAREK KĘSKRAWIEC

Dowodów na to, że aktualny szef kancelarii premiera Marek Kuchciński był uczestnikiem afery seksualnej na Podkarpaciu, nie ma na razie żadnych. A jednak nie przeszkadza to, by Donald Tusk kierował pod jego adresem insynuacje, i to na podstawie mało konkretnych zeznań byłego agenta CBA.

Oddzielając fakty od myślenia życzeniowego, trudno uwierzyć też w narrację byłego szefa kontrwywiadu, gen. Piotra Pytla, który twierdzi, że w PiS działa mocne zaplecze agenturalne Rosji. Dużo poważniej brzmią doniesienia o możliwej sprzedaży przez Marka Falentę Rosjanom słynnych taśm z afery podsłuchowej, która przyczyniła się do końca rządów PO-PSL.

Jest też inna narracja. Wszystkie zhakowane maile Michała Dworczyka, ujawniające żenujące kulisy sprawowania władzy, są przez rząd uważane za manipulację Rosjan, a nagłaśnianie sprawy za kolejny z setek dowodów realizowania przez opozycję interesów Moskwy (albo Berlina, to nie ma znaczenia).

Można by uznać, że na rok przed wyborami Polską wstrząsa ogromna afera szpiegowska, ale przecież nasz kraj udzielił pomocy milionom Ukraińców, dając im prawo do pracy, edukacji i ubezpieczeń. Ślemy Kijowowi broń. Domagamy się surowych sankcji dla Moskwy. Odcięliśmy się od jej surowców. Zbroimy się w tempie niespotykanym w historii. To ma być kraj spenetrowany przez agenturę Rosji? I czy faktycznie jest to najważniejszy temat do dyskusji w Polsce?

Czego naprawdę chcemy

Niemal dokładnie za rok będziemy wybierać nowy parlament. Ten czas upłynie w atmosferze wojny, kłopotów z ogrzewaniem i szalejących cen. Elektorat jest zaniepokojony, o czym mówi wiele badań, a po klęsce Polskiego Ładu przestał wierzyć, że władza ogarnia sprawnie finanse, co wcześniej udowadniała, regularnie przelewając Polakom fundusze z szeregu programów. To one przecież dały PiS władzę, choć zdaniem polityków PO miały zdewastować finanse państwa. Rzeczywiście, niszczą je, ale dopiero od niedawna, po kilku latach sprawnego funkcjonowania. Teraz jednak mogą stać się gwoździem do trumny PiS, bo nic tak ludzi nie przytłacza, jak zawiedzione aspiracje, które rosły wraz z bogaceniem się społeczeństwa – aż do pandemii.

Obywatel ma dziś wybór czytelny, ale zarazem mglisty. Dysponuje nieskomplikowaną ofertą eurosceptycznego, zapatrzonego w przeszłość rządu, który kilka lat temu zrobił wiele dla wyciągnięcia z dołka biedniejszych grup społecznych, ale dziś jest wewnętrznie rozbity, zepsuty władzą, skłócony z Europą i kierowany *de facto* przez prezesa PiS, a nie sprawdzonego podczas pracy w instytucjach finansowych premiera. Drugą ofertę posiada szeroko rozumiana opozycja, która chce przejąć władzę od środowiska hamującego – jej zdaniem – cywilizacyjny rozwój Polski i czyniącego z nas europejskiego dziwoląga.

Tyle że w jej opowieści nie ma prawie nic na temat tego, co będzie z Polską później. Jest tylko czarodziejska różdżka, dzięki której zniknie całe zło kojarzone z PiS. Tak jakby w PO zapomniano, dlaczego prawica doszła siedem lat temu do władzy.

Marcin Duma, badacz opinii i prezes IBRiS, uważa, że w Polsce jest spora grupa osób, które mają rozbudzone oczekiwania i zanim o czymś zdecydują, chcą wiedzieć więcej. Tyle że – w przypadku wyborców opozycji – nawet jeśli wielu z nich utyskuje dziś na jej miałkość i brak programu, nie przysłania im to głównego celu, jakim jest odsunięcie PiS od władzy.

– Gdyby im zależało na szczegółach programowych, znaleźliby je w dokumentach partii, to wszystko jest na ich stronach internetowych – uważa Duma. – Tyle że wyborcom nie chodzi o zimne analizy. Całe narzekanie na opozycję jest wielkim wołaniem o to, żeby ktoś opowiedział nam, jaka będzie Polska po PiS? I to nie jest pytanie kilku procent ludzi, oni tylko formułują powszechne oczekiwania w sposób wyraźny. W dodatku tu nie wystarczy powiedzieć, że będzie równo i sprawiedliwie. Bo równo, czyli jak?

Zdaniem Dumy taką opowieść o Polsce po PiS można budować, opierając się na konkretnych zagadnieniach: np. podatkach, czyli kwestii (na poziomie ogólnym) dość łatwej do zrozumienia. Czy mają być takie same dla wszystkich, co oznacza, że Lewica na pewno nie zaakceptuje takiej wizji państwa? Czy też może wraz ze wzrostem dochodów podatki będą rosnąć, jeśli uważamy, że bogaci ludzie powinni dzielić się bardziej? Tu z kolei kłopoty może mieć PO, z którą często sympatyzuje biznes. Odpowiedzi na te podstawowe pytania mogłyby stać się zaczynem ciekawej dyskusji o nowym ładzie społecznym, która rozgrzewa cały Zachód, ale nie nas.

Dziś takimi tematami zajmuje się tylko partia rządząca – bo chce przetrwać. Obniża podstawowy próg podatkowy z 17 do 12 proc., ogłasza kolejne, często nierealne i nielogiczne pomysły na ulgi dla społeczeństwa przerażonego inflacją i kosztami energii, ale nie widać tu żadnej spójnej wizji. Dla partii opozycyjnych z kolei – zdaniem Dumy – obecny moment jest ryzykowny, by budować trwałą opowieść o finansach państwa. Nie ma dziś bowiem wielu mądrych na świecie, którzy wiedzą, co zrobić w obliczu kryzysu. A poza tym, jaki byłby sens stawiania elektoratu, którego głównym celem jest odsunięcie PiS, przed dylematami, np. podatkowymi, które mogą go podzielić?

Prawdziwa kampania zacznie się po zimie, bo wtedy będzie widać, jak mocno poranione wyjdzie z niej PiS. A z tym może być różnie; partie opozycyjne zawsze lekceważyły zdolności mobilizacyjne Jarosława Kaczyńskiego. Dziś też zapominają, że nawet w zmęczonej władzą partii są wciąż ludzie gotowi gryźć w terenie trawę, jeśli prezes tak każe. Nie ma w Polsce drugiego takiego ugrupowania.

Będą mieli sto dni

Wiedza o tym, co konkretnie proponuje nam polityk, żebyśmy chcieli mu płacić za rządzenie krajem, jest kluczowa w dojrzałej demokracji. Warunkuje nam poczucie bezpieczeństwa. Wielu polityków szykujących się dziś do przejęcia władzy o tym zapomina.

– Wchodząc do opuszczonego mieszkania, dobrze mieć jakiś projekt wnętrza – uważa Duma. – Tego oczekują przyszli lokatorzy.

Paweł Marczewski, socjolog i historyk idei z Fundacji Batorego, używa podobnej metafory: – Jeśli ludzie oddadzą władzę dzisiejszej opozycji, ona musi zawczasu wiedzieć, jaką miotłę wziąć do ręki i od którego kąta zacząć wymiatać śmieci. Po wygranych wyborach nie wystarczy już narzekanie na poprzedników i straszenie ich sądem. Jeśli zwycięzcy nie będą przygotowani na trudne wyzwania, ↦

Protesty przeciwko comiesięcznej wizycie Jarosława Kaczyńskiego na Wawelu. Kraków, 18 października 2022 r.

MAREK LASYK / REPORTER

↦ to po stu dniach sondaże zaczną lecieć w dół – przewiduje Marczewski. – A to w dłuższej perspektywie może oznaczać przedwczesne wybory i wygraną jakiejś dużej, mocno antyunijnej, prawicowej koalicji populistycznej, być może wcale nie zdominowanej przez dzisiejszych liderów PiS.

W dojrzałych demokracjach partie szykujące się do przejęcia władzy przygotowują nawet tzw. gabinety cieni, co wyposaża elektorat w wiedzę o tym, kto personalnie będzie odpowiadał w przyszłości za poszczególne resorty. Tego jednak nie warto domagać się w Polsce. Jak zauważa prof. Jarosław Flis, socjolog i współpracownik „TP", listy wyborcze są często koalicyjne, a wewnątrz nich dodatkowo funkcjonują różne frakcje. Dopiero po wyborach zaczyna się liczenie szabel i targi o wpływy.

A dziś nie wiadomo nawet, ile list wyborczych będzie miała opozycja. Mówi się o dwóch koncepcjach: jednej listy, zdominowanej siłą rzeczy przez PO i Tuska, oraz dwóch list: centrolewicowej, złożonej z PO i Lewicy, oraz centrowej, z umiarkowanie konserwatywnym rysem nadawanym przez Szymona Hołownię i PSL. Na ryzyko tej pierwszej koncepcji Flis zwraca uwagę od dawna: – Upakowanie zbyt różnorodnej mozaiki na jednej liście może skończyć się porażką – uważa. Radykalny wyborca Zandberga nie zagłosuje na kogoś od Kosiniaka-Kamysza. I na odwrót, a to może sprawić, że część ludzi zostanie w domach.

Rafał Matyja, politolog i autor kilku znaczących książek o współczesnej Polsce, uważa, że w tej układance przyszłość Lewicy zależy od Tuska. Jeśli weźmie na listy Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia, to Adrian Zandberg (radykalniejszy i mniej nawykły do targów i kompromisów) zostanie na lodzie, bo różnice między nim a Tuskiem są fundamentalne. Lider partii Razem będzie więc grał przeciwko sojuszowi z Koalicją Obywatelską, ale tak naprawdę rozgrywającym będzie wciąż lider PO.

Paweł Marczewski, mówiąc o Lewicy, zwraca też uwagę, że w tym środowisku nie widać intensywnych prac programowych (obecność w życiu politycznym np. Roberta Biedronia trudno w ogóle zauważyć), widać za to różnice pokoleniowe i rodowodowe. Problem jest między spadkobiercami SLD (dysponują budżetowymi pieniędzmi, ale mają twarz Czarzastego, uosabiającego wszystko, z czym kojarzy się SLD, także aferę Rywina) i młodymi, postępowymi ludźmi kojarzonymi z Zandbergiem. To blokuje prace programowe i jako spoiwo zostaje naskórkowe minimum światopoglądowe dotyczące PiS, aborcji, Kościoła i mniejszości seksualnych (choć tu starzy działacze SLD raczej starają się milczeć).

Poza środowiskiem Hołowni niewiele się dzieje.

Donald Tusk mówi wprost, że na razie liczy się tylko walka z PiS. Z PSL też nie dobiegają głosy na temat kierunków rozwoju Polski.

Czytelne linie

Rafał Matyja uważa, że tak naprawdę podziały polityczne w Polsce nie są wysublimowane. Spaja nas wciąż głosowanie negatywne: PiS głosów dodaje osoba Tuska, a PO – osoba Kaczyńskiego.

– Politycy zauważyli, że kluczem do umysłów są emocje, więc uderzają tam, gdzie mamy gorące sympatie lub niechęci: aborcja, Kościół, mniejszości. Gdyby wiedzieli, że zależy nam na konkretniejszych propozycjach programowych, musieliby temu sprostać. Dziś jednak to emocje są najlepszym towarem. PiS podczas dwóch zwycięskich kampanii przekonywało np. górników, że jest po ich stronie, i to mu się udało, choć właściwie wiele dla nich nie zrobiło – uważa Matyja.

Ale to nie jest tylko polska specyfika. Najsilniejszym państwem świata rządził przecież Donald Trump; wygrał głównie dzięki emocjom. W Europie podobne tendencje widzimy we Włoszech. Bardziej dojrzała polityka panuje w Niemczech, ale to wymuszają wciąż opiniotwórcze media.

Niemal wszędzie w Europie obserwujemy dziś kryzys klasycznych partii politycznych, coraz większy nacisk radykałów z lewa i z prawa, słabnięcie „rozsądnego" centrum. Partie nie przejmują się też swoimi założeniami, zachowując tylko ogólne ramy, i w sumie trudno im się dziwić. O spójność ideową coraz trudniej w epoce rewolucji technologicznej, fake newsów, szybkich zmian obyczajowych i barier, jakie wyrosły między kolejnymi pokoleniami, a także sprzecznych interesów różnych lobby.

Generalny kierunek zmian jest jednak czytelny. To m.in. dlatego dość konserwatywny charakter postsolidarnościowej PO zmienił się przez ostatnie lata na tyle, że partia afirmuje mniejszości seksualne, przestała mówić o chrześcijańskich korzeniach (co wcale nie oznacza odcięcia się od nich), dystansuje się od hierarchii kościelnej i zapowiada zmiany w prawie aborcyjnym. To wyraźny zwrot w lewo i obietnica Polski progresywnej, która akceptuje zmiany obecne w unijnym mainstreamie, czego wcześniej w PO raczej unikano.

Ta wizja przy okazji wyraźnie się odcina od narracji Jarosława Kaczyńskiego, który kreuje obraz Polski jako bastionu tradycyjnych wartości, a emancypacje mniejszości wyszydza. Nie ma tu subtelnych elementów, jak *cancel culture*, które budzą dyskusje na Zachodzie. W narracji Kaczyńskiego jest rechot i powtarzane do znudzenia wywody, jak mówić na „ono", które niby nie wie, czy jest chłopakiem czy dziewczyną.

Ktoś może powiedzieć, że mniejszości to temat zastępczy, pozwalający unikać władzy dyskusji o ruinie finansów publicznych. Dotyczy przecież nielicznych grup społecznych, a np. beneficjentami ustawy o związkach partnerskich będą w zdecydowanej większości heteroseksualne pary żyjące dziś na kocią łapę. Niemniej w obecnych czasach takie kwestie dobrze wyznaczają linie fundamentalnych podziałów, co mocno pomaga przy urnie.

Przykład najlepszy? Aborcja. Szymon Hołownia otwarcie mówi, że nie jest ona zgodna z jego wartościami (choć aż dwie trzecie Polaków jest za możliwością usunięcia ciąży do 12. tygodnia życia), ale rozumie zmiany społeczne i chciałby, by tę sprawę uzgodnić w referendum. PSL uważa, że najlepszym rozwiązaniem byłby powrót do dawnego kompromisu aborcyjnego, ale też dopuszcza referendum. Jest oczywiście Lewica, dla której powyższe rozważania to zatrzymywanie się w pół drogi i przejaw mentalnego zacofania. No i Konfederacja, gdzie obok zwolenników całkowitego zakazu aborcji mamy tzw. prawicowych aborcjonistów.

Te niuanse mogą być dla wielu Polaków kwestią fundamentalną. Będą chcieli się dowiedzieć, czy ich kandydaci są np. „tylko" za legalnymi związkami par homoseksualnych, czy też chcieliby dla nich również prawa do adopcji dzieci.

W najbliższych miesiącach przetoczy się również przez Polskę dyskusja na temat jej miejsca w Unii Europejskiej. Dla opozycji sprawa jest prosta: dalsza polityczna, prawna, ale i militarna integracja europejska będzie ewidentnie promowanym kierunkiem. Tu zarysuje się więc radykalna linia podziału. Odejście z rządu Konrada Szymańskiego, który stracił wiele zdrowia, próbując zawrzeć kompromis z Brukselą, jest policzkiem dla premiera i jasnym sygnałem, że Jarosław Kaczyński będzie budował przed wyborami obraz Polski jako tej, która broni wartości europejskich przed... Zachodem. Będzie uparcie powtarzał, że to Unia się zmieniła i że brukselscy urzędnicy pod dyktat Berlina próbują usilnie pomniejszać rolę rządów niepodległych państw UE, co zresztą jest tematem dyskusji w różnych krajach. Jednak u nas to nie będzie życzliwa troska o sprawne funkcjonowanie Unii, której członkiem jesteśmy, ale wyszydzanie jej, co z czasem może mieć konsekwencje w postaci głośniejszych nawoływań do polexitu – opartych na emocjach, nie argumentach.

– Potężne zakupy dla armii, które uczynią z nas militarną potęgę, są przygotowaniem do czasów, w których nasze drogi z UE zaczną się rozchodzić i nie będziemy pewni, czy możemy liczyć na część państw NATO. Musimy być gotowi bronić się sami. To nie nasza wina, ale Brukseli – powiedział mi anonimowo jeden z posłów PiS.

Znikający podmiot

Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na przedziwną sytuację Mateusza Morawieckiego, który właściwie przestał być podmiotem polskiej polityki. Wsadzenie mu do rządu Marka Kuchcińskiego, od 30 lat wiernego towarzysza „naczelnika" Kaczyńskiego, oznacza totalną kontrolę z centrali przy Nowogrodzkiej. W przyszłości może to być jednak zgubne dla PiS. Spodziewajmy się kolejnych wewnętrznych wojenek koterii i niespójnego przekazu, który trzeba będzie wciąż tłumaczyć. Zasada „dziel i rządź", stosowana od lat przez Kaczyńskiego, może zamienić się w chaos. Prezes ma 73 lata – jest człowiekiem schorowanym i już nie ma sił, by wszystko ogarniać tak dobrze, jak kilka lat temu.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Szymon Hołownia i Donald Tusk po podpisaniu porozumienia dotyczącego Obywatelskiej Kontroli Wyborów. Warszawa, 3 czerwca 2022 r.

A są jeszcze wyraźne komunikaty płynące z Komisji Europejskiej: dopóki nie przestaniemy oszukiwać w kwestii praworządności, nie mamy szans na pieniądze nie tylko z KPO, ale też z wielu innych funduszy. Kaczyński, cokolwiek by o nim mówić, nie jest tak cyniczny jak Viktor Orbán, który posiada niesamowitą umiejętność cofania się w ostatnim momencie i przekuwania porażek w pieniądze. Ktoś mógłby powiedzieć, że szkoda, iż tak nie jest w przypadku prezesa PiS. Zwłaszcza że ostra antyunijna narracja może go pogrążyć. Jak podkreśla Marcin Duma, w 2019 r., gdy Kaczyński wygrywał wybory po raz drugi, większość ludzi uznała, że bilans tego, co PiS obiecało i co spełniło, jest na plus. Polacy wyraźnie się wzbogacili (choć to w sporej części był efekt ogólnej koniunktury), a strefa ubóstwa mocno się zmniejszyła dzięki programom społecznym. Kłopot w tym, że to już przeszłość. Za rok ważne będzie to, ile w obliczu kryzysu z tych programów zostanie i ile będzie realnie warte choćby 500 plus.

Do 2015 r., jak wynika m.in. z badań prof. Mirosławy Marody, Polacy traktowali politykę trochę jak serial, w którym mieli swoich ulubionych bohaterów, ale który nie miał wielkiego znaczenia. Bardziej zajmowało nas życie osobiste, rodzina, kariery. To był czas, kiedy jeszcze partia rządząca nie podsycała konfliktów o aborcję, stosunek do imigrantów i mniejszości.

Ten spokój społeczny mamy już za sobą, a na dodatek doszło doświadczenie pandemii, które podzieliło nas także w kwestii szczepień. Teraz badania społeczne mówią, że stosunek do aborcji, związków partnerskich, pandemii, szczepionek, Kościoła i przestępstw seksualnych duchownych czy Unii – to kwestie fundamentalne. Politycy grają w tę grę, bo jest dla nich bezpieczna: to poletko dobrze znają i świetnie wiedzą, jak nas na nim podzielić. Nie bawią się więc w wielkie reformy cywilizacyjne, ale – tak jak PiS przy 500 plus – wolą transfery finansowe.

Na tym szarym tle, według kilku moich rozmówców, wyróżnia się środowisko Szymona Hołowni. Tam jest dużo pracy programowej, ale wysiłek ekspertów nie przebija się do opinii publicznej. ↦

↦ Pytanie, czy w naszej opartej na emocjach polityce wyborcy lidera Polski 2050 w ogóle tego oczekują? Może patrzą tylko na to, jakim Hołownia jest człowiekiem i że przybył spoza skostniałego systemu?

Marczewski widzi to inaczej: – Uporczywe prezentowanie programu w długiej perspektywie ma sens, te propozycje będą się sączyć do społeczeństwa i to może przynieść efekt. Takie działanie przywraca również zaufanie do polityków, jeśli widzimy, że traktują nas poważnie. Przecież czasem sami nie wiemy, czego chcemy od polityków, więc dobrze, że ktoś stara się nam składać oferty. To cenne.

Poza środowiskiem Hołowni niewiele się dzieje. Donald Tusk w rozmowie z „Tygodnikiem" w lutym powiedział wprost, że jest na polu walki z PiS i nie myśli dziś, jak urządzić na nowo Polskę. Z PSL i jego Koalicji Polskiej też nie dobiegają znaczące głosy na temat kierunków rozwoju Polski. Choć, jak zaznacza Rafał Matyja, ta partia jest zbudowana inaczej od pozostałych, nie ma cech wodzowskich, toleruje różnice opinii. Dowodem choćby to, jak wiele razy radziła sobie ze zmianami kierownictwa, co świadczy o tym, że partia nie zużywa większości energii na spory personalne. To ewenement.

O pracach programowych Konfederacji ciężko wspominać, bo tu z kolei dominuje libertariańska myśl, redukująca państwo do roli „nocnego stróża", wymieszana z nacjonalistycznym sosem. Ale – tak uważa Marczewski – nie ma w tym sprzeczności, bo to nacjonalizm wyłącznie tożsamościowy i nie ma w nim zaszytej żadnej teorii na temat funkcjonowania państwa. Matyja zaś dodaje, że spójność Konfederacji polega na budzeniu emocji antyunijnych, antyestablishmentowych, a od niedawna również antyukraińskich. Czy to ostatnie się opłaci w sytuacji, w której Polacy zdecydowanie większą niechęć odczuwają do Rosjan i wiedzą, że Ukraińcy walczą z nimi też w naszym imieniu? Wybory za rok i wiele pewnie zależy od tego, jak przejdziemy kryzys i czy Polacy będą konkurować o miejsca pracy z Ukraińcami.

Inna droga

Prof. Mikołaj Cześnik, socjolog i politolog z SWPS, zauważa, że to, co dzieje się obecnie nie tylko w Polsce, ale w całej Europie, jest naruszeniem świata, który wydawał się bezalternatywny. Liberalny kapitalizm zepchnął w dół wiele warstw społecznych, które w końcu swą sytuację zrozumiały i zaczęły ją kontestować. Chciwość przestała być dobra, miliony pracowników korporacji nie rozumieją sensu swej pracy, a rzesze ludzi nie pojmują, dlaczego najlepiej we współczesnym świecie radzi sobie sektor finansowy, a nie producenci dóbr. W tym kontekście Cześnik zauważa obszary, w których nasz dyskurs polityczny trochę znormalniał.

– Aborcja czy kara śmierci to kwestie fundamentalne, tu trudno o porozumienie. Coraz więcej jednak rozmawiamy o rzeczach, wokół których można zawrzeć kompromis, jak choćby w kwestii wysokości podatków – uważa. – Jeszcze w 1997 r. elektoraty AWS i SLD nie różniły się w tej sprawie. Oczywiście wciąż dominuje w Polsce emocjonalny spór ideowy, ale do decyzji przy urnie wyborczej pomysły polityków na gospodarkę mają większe znaczenie niż kiedyś.

Prof. Cześnik zwraca też uwagę na inną kwestię: rozliczalność polityczną w ramach cyklu wyborczego. PiS złożyło w 2015 r. konkretne obietnice przed objęciem rządów, a wyborcy w 2019 r. uznali, że to pierwsza partia, która rzeczywiście zrealizowała swe zapowiedzi. PiS nie cierpiało też na grzech wcześniejszych zwycięzców, którzy głosili, że chcą reprezentować wszystkich Polaków. Kaczyński zrozumiał, że droga do wygranej może być inna. Że można skupić się na warstwach biedniejszych i nie obiecywać nic profesorom, lekarzom, prawnikom, przedsiębiorcom. Ich głos znaczy przecież tyle samo, co głos każdego innego Polaka. To była odważna taktyka. PiS nie nazwało się oczywiście partią klasy niższej, ale powiedziało np., że nie ma nic przeciwko disco polo.

Teraz problem partii Kaczyńskiego polega na tym, żeby ludziom, których dopieszczał przez lata, a których finanse walą się dziś z miesiąca na miesiąc i którzy mogą zmarznąć zimą – wmówić, że to wina Rosjan, Niemców i Brukseli. Żaden z moich rozmówców nie postawiłby ani złotówki na to, że tym razem emocje staną po stronie partii władzy. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Godzina, której nie ma

MAREK RABIJ

W tym roku mieliśmy pożegnać go po raz ostatni, ale wbrew woli większości Europejczyków i w kontrze do stosownej uchwały europarlamentu czas letni pozostanie z nami zapewne na czas nieokreślony.

Która godzina? Odpowiedzi na to pytanie puryści powinni szukać w Polsce gdzieś między Zgorzelcem a Stargardem Szczecińskim, czyli na linii odpowiadającej czasowi słonecznemu południka 15. stopnia długości wschodniej. W tym miejscu Słońce wyznacza nam coś, co w tabelach tzw. uniwersalnego czasu koordynowanego nazywane jest naturalnym środkowoeuropejskim czasem strefowym (ang. *Central European Time* – CET). Gdy w nocy z 29 na 30 października cofniemy wskazówki o godzinę na tzw. czas zimowy, większość z nas nie będzie zdawać sobie

WOJCIECH PACEWICZ / PAP

Kamil Filipowski ze swoją instalacją artystyczną „Czas na kulturę". Lublin, 29 marca 2019 r.

sprawy, że przywraca zegarkom zgodność wskazań ze stanem faktycznym CET. Czas letni jest bowiem niczym innym jak manipulacją. Na tyle sprytną, że wciąż łapie się na nią około 70 krajów świata, głównie leżących w strefie klimatu umiarkowanego.

Zmiana bez zmiany

Trzeba uczciwie zaznaczyć, że koncepcja zmiany czasu nie ma ostatnio dobrego czasu. Z przestawianiem zegarków dały już sobie spokój Rosja i Islandia, a w przyszłym roku chcą zrezygnować z tej praktyki także USA. Na Starym Kontynencie również zapachniało zmianą. W 2019 r. Parlament Europejski zapalił zielone światło planom zniesienia zmiany czasu już od roku 2021 – pomysł jednak upadł, bo w obliczu pandemii COVID-19 Rada Europejska nie przystąpiła nawet do uzgodnień z krajami członkowskimi, które mogłyby zaowocować wspólną decyzją w tej sprawie.

Konsultacje społeczne, które poprzedziły decyzję europarlamentarzystów, pokazały jednak, że w kwestii zmian czasu społeczeństwa Unii Europejskiej są dosyć zgodne. Za odejściem od tej praktyki opowiedziało się 84 proc. z 4,6 mln uczestników ankiety – w historii unijnych konsultacji żadne pytanie nie spotkało się z tak dużym odzewem. W dodatku 70 proc. odpowiedzi nadesłali mieszkańcy Niemiec, co jedynie umocniło ich stereotypowy wizerunek nacji, która nie lekceważy zegarka.

Wśród Europejczyków, którzy zmianie czasu powiedzieli „nie", 56 proc. wolałoby na stałe ten letni. Za zimowym optowało 36 proc. Reszta nie mogła się zdecydować. Niechęć do przestawiania zegarków w różnych krajach przybrała jednak inną skalę. Wśród uczestniczących w ankiecie Finów odsetek tych, którzy doświadczenia ze zmianą czasu opisali jako negatywne, sięgnął aż 93 proc. Na drugim miejscu uplasowali się Polacy (91 proc.), podium zamknęli zaś Litwini (89 proc.). Zwolennicy utrzymania czasu letniego i zimowego przeważali jedynie wśród Greków, Cypryjczyków i Maltańczyków – czyli na słonecznym południu Europy, gdzie nawet grudniowy poranek bywa czasem przyjemniejszym od skandynawskiej wiosny.

W identycznym badaniu przeprowadzonym w 2019 r. przez CBOS na zamówienie ówczesnego Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii aż 78,3 proc. ankietowanych Polaków również oceniło zmianę czasu jako zbędną (co ciekawe, zwolenników przestawiania zegarków było tylko 14,2 proc). Trudności nie sprawiło nam również wskazanie preferowanego czasu, bo aż 74 proc. badanych zadeklarowało, że wolałoby ten letni, który zapewnia więcej światła słonecznego w godzinach wieczornych kosztem dłuższej porannej szarzyzny. Autorzy badania CBOS podkreślali, że preferencja dla czasu letniego była zauważalna we wszystkich grupach społeczno-demograficznych i zawodowych, ich uwagę przykuło jednak „nieco wyższe w porównaniu z innymi poparcie dla czasu zimowego wśród osób wykonujących specyficzne zawody: zatrudnionych w prywatnych gospodarstwach rolnych (22,9 proc.), rolników i robotników niewykwalifikowanych (po 18,6 proc.) oraz wśród niepracujących gospodyń domowych (21,4 proc.)". Największym bodaj zaskoczeniem okazał się jednak relatywnie wysoki (38,7 proc.) odsetek osób niechętnych likwidacji zmiany czasu wśród wchodzących w dorosłość Polaków (18-24 lata). Choć być może wytłumaczenie dla tego fenomenu jest proste, zważywszy na to, że część osób w tym wieku nie wstaje przed południem.

Oficjalnie pomysł rezygnacji ze zmiany w krajach Unii nie umarł. Jak twierdzą politycy, to tylko kwestia... czasu i wypracowania wspólnych ram prawnych. „W nawiązaniu do doniesień medialnych, informujemy, że Komisja Europejska zaleca państwom członkowskim UE kontynuowanie obecnych regulacji dotyczących czasu zimowego i letniego przez najbliższe 5 lat (2022-2026)" – podaje na swojej stronie Ministerstwo Rozwoju i Technologii.

Możliwe więc, że się doczekamy, choć równie prawdopodobne jest to, że tymczasowe rozwiązanie, jak wiele innych prowizorek, utrzyma się jednak na dłużej.

Kto rano wstaje

Za tym drugim przemawiać może fakt, że większość korzyści związanych z wprowadzaniem czasu letniego okazuje się nie jest tak oczywista, jak dotąd uważano. Problematyczne okazuje się nawet utrzymanie koronnego argumentu o zbawiennym wpływie zmiany czasu na zużycie energii. Przestawianie zegarków gwarantowało oszczędności na początku XX wieku, kiedy jego źródłem były wyłącznie siłownie węglowe. Jeszcze w latach 30. w amerykańskich miastach, mających już wówczas świetnie rozwiniętą sieć oświetlenia ulicznego, oszczędności z tego tytułu sięgały nawet 30-40 proc. rocznych kosztów zużycia energii. Dziś zwykle mowa o 2-3 proc. W dodatku elastyczność współczesnych systemów energetycznych, które niemal w czasie rzeczywistym dostosowują strukturę produkcji prądu do warunków pogodowych, sprawia, że przy odrobinie pecha zamiast oszczędności ↦

↦ w dobowym bilansie energetycznym mogą pojawić się straty. Wystarczy, że tuż po wprowadzeniu czasu zimowego trafi się kilkanaście dni z rzędu z silnymi wiatrami o świcie. Miejsce porannych 60 minut zasilanych supertanią energią z wiatraków zajmie wówczas godzina, w której prąd pochodzić będzie głównie z węgla.

Wątpliwości budzi też drugi z najczęściej podnoszonych argumentów, czyli bezpieczeństwo na drogach. Zauważalny statystycznie spadek liczby wypadków w okresie wiosenno-letnim można bowiem tłumaczyć zarówno przesunięciem cyklu dobowego o 60 minut, jak i po prostu lepszymi warunkami panującymi wówczas na drogach.

To może zdrowie? Więcej światła słonecznego z pewnością dobrze robi na psychikę, czasem jednak zysk może nie pokryć innej straty. Badania prowadzone w Szwecji na początku tego stulecia zakończyły się niepokojącym wnioskiem, że w pierwszych tygodniach po wprowadzeniu czasu letniego widoczny jest lekki wzrost liczby samobójstw wśród mężczyzn. W innych przypadkach wciąż daleko do naukowej pewności, czy za obserwowanym skutkiem (np. większym odsetkiem zawałów w poniedziałki po weekendzie, na który przypada zmiana czasu) na pewno stała wyłącznie przyczyna w postaci manipulacji zegarkiem.

Maj rozpoczęty w kwietniu

Głównym błędem, jaki popełniamy, może być bowiem to, że zmianę czasu usiłujemy utożsamić ze zmianą na lepsze, do tego w naszym interesie. Tymczasem angielski termin *daylight saving time* oznaczający czas letni brutalnie oddaje prawdziwy sens dorocznych machlojek z przestawianiem wskazówek zegara. Nie chodzi w nich wcale o nasze samopoczucie. Gra toczy się o to, aby jak najdłużej utrzymywać nas w stanie wysokiej aktywności w dwóch najbardziej pożądanych z puntu widzenia państwa rolach pracowników oraz konsumentów – i zarazem podnieść przy tym możliwie najniższe koszty.

Na zbędne humanizowanie tego pomysłu nie wpadł nawet Benjamin Franklin, powszechnie uznawany za pomysłodawcę nie tyle zmiany czasu, co zmiany rytmu dobowego. „Jeśli zmusimy kogoś, by wstał o czwartej rano, to jest więcej niż prawdopodobne, że chętnie położy się do łóżka o ósmej wieczór i, po przespaniu ośmiu godzin, jeszcze chętniej wstanie o czwartej rano następnego dnia" – pisał w liście opublikowanym potem przez redakcję „Journal de Paris". A na wypadek, gdyby jego pomysł został uznany za fantasmagorię, postulował ustawienie na każdym paryskim skrzyżowaniu armaty, której wystrzał każdego ranka oznajmiałby okolicznym mieszkańcom wybicie godziny czwartej. Trudno się więc dziwić, że jego propozycja nie wzbudziła entuzjazmu wśród francuskich elit. Nie zmieniły tego nawet wyliczenia Franklina, który szacował, że w ten sposób roczne koszty oświetlenia Paryża spadłyby aż o 96 mln liwrów tylko w okresie od marca do września.

> Pomysł zmiany czasu pasował do realiów epoki przemysłowej, która czas traktowała jak jeszcze jeden **zasób do rabunkowej eksploatacji.**

Kolejni pomysłodawcy manipulowania rytmem dobowym w zależności od długości dnia – jak Nowozelandczyk George Vernon Hudson czy Anglik William Willett – również głównie zderzali się z niechęcią i niezrozumieniem ze strony rozmaitych środowisk, od farmerów, przez Królewską Marynarkę Wojenną, aż po astronomów. Pomysł zmiany czasu idealnie wpasowywał się za to w realia epoki przemysłowej, która czas – obok węgla, ropy czy stali – uczyniła jeszcze jednym zasobem podlegającym rabunkowej eksploatacji. W drugiej połowie XIX stulecia przeciętny robotnik w fabryce w Manchesterze musiał w skali roku przepracować około 3 tys. godzin, aby zarobić na minimum egzystencji. Pięć wieków wcześniej, około roku 1300, w tej samej Anglii przeciętnemu chłopu osiągnięcie tego samego zajmowało najwyżej 1,5 tys. godzin rocznie. Nic więc dziwnego, że gdy w 1916 r. pogrążone w wojnie Niemcy i Austro-Węgry jako pierwsze wprowadziły na swoich ziemiach czas letni, sprytnie rozpoczynając 1 maja już 30 kwietnia o godzinie 23, w rozporządzeniach na ten temat nie zająknięto się choćby słowem o czasie wolnym czy zdrowiu psychicznym obywateli. W wydaniu z 22 kwietnia 1916 r. krakowski „Czas" na pierwszej stronie donosił wprawdzie o zarządzonej właśnie „zmianie czasu w Austryi", ale w krótkiej notce, w której akcent kładziono przede wszystkim na „lepsze wyzyskanie światła dziennego i tak pożądane dziś zaoszczędzenie materyałów świetlnych i paliwa". Uwagę czytelników i tak najmocniej przykuwała pewnie sąsiednia korespondencja spod Verdun, gdzie „Francuzi znów atakowali znacznemu siłami martwego człowieka".

Czas letni musiał nosić tak wyraźne piętno cywilizacji germańskiej (choć śladem Niemiec i jej sojuszników niemal natychmiast wprowadziły go także państwa Ententy), że nawet gospodarczy golas, jakim była odrodzona po 123 latach Polska, nie zdecydował się na przyjęcie tej idei. Przestawienie zegarków wróciło na ziemie polskie dopiero w czasie okupacji niemieckiej, a na dłużej – po wojnie, dla wsparcia trudu odbudowy. Koncepcja zmiany czasu doskonale pasowała do industrializacji kraju, choć wielu świeżo upieczonym mieszczuchom, którym tryb życia w dzieciństwie regulowało pianie wiejskich kogutów, dostosowanie się do nowych uwarunkowań przychodziło z trudem. Ich męczarnie świetnie oddawała subtelna jak cios w szczękę liryka Edwarda Stachury:

„Godzina słynna: piąta pięć
Naciska budzik, dźwiga się
Do kuchni drogę zna na pamięć
Prowadzą go tam nogi same
Pod kran pakuje śpiący łeb
Przez chwilę jeszcze śpi jak w łóżku
Dopóki nie posłyszy plusku
I wtedy wreszcie budzi się".

Na stałe wprowadzenie czasu letniego do polskiego kalendarza władze PRL zdecydowały się dopiero w 1977 r., idąc śladem krajów zachodnich, które w tym czasie do podobnego kroku zmusił kryzys paliwowy. Odtąd nieprzerwanie dwa razy w roku cofamy lub pchamy wskazówki o godzinę. Zmianie uległa jedynie data jego wprowadzania i odwoływania. Aż do 1995 r. czas letni odwoływaliśmy w ostatnią niedzielę września. W 1996 r., w ramach treningu przed akcesją do Unii Europejskiej, postanowiliśmy jednak zsynchronizować zegarki z Zachodem i wracać do czasu zimowego w ostatni weekend października. Zmianie nie uległo jedno. Wielu z nas nadal nie potrafi zapamiętać, czy śpimy wtedy o godzinę dłużej – czy krócej. ©℗ MAREK RABIJ

LONEK KRAWCZYK *w swoim mieszkaniu we Wrocławiu. 12 października 2022 r.*

Ostatnia trasa Lonka Krawczyka

TEKST I ZDJĘCIA: DARIUSZ KAŁAN

By pokazać, jak skakał w cyrku, stawia na stole taboret. Opiera na nim ręce i ugina kolana – jakby chciał to zrobić jeszcze raz.

Do baru przydrożnego wchodzi autostopowicz z torbą na ramieniu. Wyjmuje stalową laskę, wyrzuca nogi do góry i opierając na wyprostowanej ręce ciężar ciała tak manewruje stopami, że napoczyna butelkę ukrytą w podkolanówce. Sączy się mleko, które autostopowicz wyłapuje do szklanki trzymanej w drugiej dłoni.

Następnie staje na głowie na barze, na którym czeka kolejna butelka. W takiej pozycji nalewa wodę do szklanki i wypija. Przenosi się szpagatem na podłogę i nieporadnie znowu próbuje dostać się na stół. A to wywinie mu się noga, a to uderzy buzią o blat. W końcu zniecierpliwiony stawia na stole krzesło i z miejsca na nie wskakuje.

Zestawia krzesło i stepuje. Nagle potyka się. Na chwilę ratuje go oparcie krzesła, które jednak odjeżdża, a on zwisając jedną nogą na stole, drugą na oparciu, spokojnie przegląda jadłospis. Wybija się do góry, zaczyna żonglować czterema jabłkami, na koniec wrzucając je do podbieraka wystającego z torby. A potem staje na rękach i uchwyciwszy nogami krzesło, schodzi ze stołu na ziemię.

Z tym krzesłem robi dziesięć flik flaków. Jedenaście kolejnych – na stole. Ale uwaga! Zbliża się samochód! Chłopak próbuje przyciągnąć uwagę obręczą z namalowanym na bibule znakiem drogowym. Kierowca nie reaguje, a on przebija nogami znak i saltem przeskakuje przez obręcz.

Autostopowicz to smukły, ciemny blondyn o niebieskich oczach. Ma dwadzieścia kilka lat, dopinaną brodę, spodnie zawinięte pod kolanami i ekscentryczną koszulę z wydrukowanymi tytułami wszystkich gazet w Polsce. Nazywa się Lonek Krawczyk.

Ja chcę wam zaśpiewać o pewnym miasteczku, którego być może nie znacie

– W lokalu Feniks w Krakowie przy odbiciu do tego finałowego salta trafiłem na mokre podłoże, bo ktoś coś rozlał – wspomina. – Nogi się spode mnie wyślizgnęły i upadłem na plecy. Coś mi się przestawiło w kręgosłupie i musiałem wyeliminować trik z mlekiem. Zamiast tego grałem na organkach.

Żeby pokazać, jak wysoko skakał, stawia na stole taboret. Będzie z metr trzydzieści. Ugina kolana; przez chwilę wydaje się, że spróbuje skoczyć jeszcze raz. Tak jakby nie miało znaczenia, że we wrześniu skończył osiemdziesiąt cztery lata. ↦

↦ W dwupokojowym mieszkaniu na drugim piętrze kamienicy na wrocławskim Śródmieściu przez odsłonięte okna sączą się strumienie jesiennego słońca. Ale czas nie ma tu wstępu. Lokator jest gibkim dwudziestolatkiem, a postacie z fotografii, portretów i wycinków prasowych wydają się bliskie i dotykalne, jakby siedziały obok Lonka na ciężkich antycznych meblach.

Jest matka Władysława i ojciec Lucjan. Ona – piękna tancerka i choreografka uwieczniona na wiszącym na ścianie obrazie przez włoską malarkę z Bystrzycy Kłodzkiej, on – błyskotliwy konferansjer, humorysta i improwizator wymyślający na poczekaniu rymowane odpowiedzi na pytania publiczności.

Są partnerzy i mistrzowie. Ot, choćby aktor Ludwik Sempoliński, który po występie na tej samej imprezie podszedł do Lonka i powiedział: „Panie kolego, na tych pana fikołkach to się nie znam, ale gratuluję panu wykonania dobrej strony aktorskiej".

Są wreszcie nauczyciele: pan Milecz, najlepsza przedwojenna firma akrobatyczna, który od małego musztrował Lonka, oraz Jerzy Milis, zwany Jorkiem. Pierwszy szef. – To był szczególny kat na robotę – mówi Krawczyk. – Obaj nauczyli mnie dyscypliny i obowiązkowości. Wpoili ambicję. Milis zwykł mawiać, że nieważne, co się w życiu robi, ale że trzeba robić to dobrze.

Miasteczko jest małe, zupełnie maleńkie, na mapie nie znajdziesz go sam

Pod portretem matki, przed rozłożonymi na stole czarno-białymi zdjęciami i starymi programami cyrkowymi, Lonek śpiewa piosenkę o cyrku autorstwa swojego ojca. Chore struny głosowe nie pozwalają mu wyciągnąć wysokich dźwięków, ale ani nie myli tekstu, ani nie łamie linii melodycznej. Jest w swoim żywiole: przed żywą publicznością, a jednocześnie między tymi, którzy go znali i kształtowali na różnych etapach życia.

Bo Lonek robi wiele rzeczy. Jego drogę zawodową można podzielić na trzy okresy. Pierwszy trwa od okupacji do 1962 r. To czas największych spełnień artystycznych: trupa akrobatyczna Milecza, variétés rodziców w Częstochowie i Bystrzycy Kłodzkiej, szkoła cyrkowa w Julinku, praca w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych, no i wreszcie wicemistrzostwo Polski w akrobatyce sportowej.

KACPER *specjalizuje się w kole cyra i chińskim maszcie. Julinek, 14 października 2022 r.*

Okres drugi zaczyna się wraz z odejściem z ZPR z powodu niskiej pensji. Utrzymuje się z chałtur w barach i restauracjach, w tym z numeru, który staje się jego wizytówką, czyli autostopowicza. Trafia z nim nawet do Szwecji; za miesiąc pracy po drugiej stronie Bałtyku kupuje volkswagena garbusa. Ale coraz łapczywiej spogląda w stronę nowej pasji. – Ojciec został oddelegowany do prowadzenia czeskiego lunaparku i potrzebował kasjerów – wspomina. – Zatrudnił mnie i mogłem do woli przyglądać się karuzelom.

To okres trzeci: w maju 1972 r. Lonek wyjeżdża w pierwszy sezon jako karuzelnik. Będzie tak wyjeżdżał przez kolejnych czterdzieści lat. Woli to niż robić zęby (w międzyczasie skończył z wynikiem bardzo dobrym Państwową Szkołę Medyczną Technik Dentystycznych).

– Nigdy nie żałowałem – mówi. – Zęby to stabilność i przewidywalność, ale jednak wąska specjalizacja. Natomiast prowadzenie wesołego miasteczka to kolosalne zderzenie z potrzebą znajomości wielu innych zawodów. Trzeba być ślusarzem, mechanikiem, kierowcą, elektrykiem i menedżerem. To pociąga, bo my mamy w sobie cygański zew krwi.

Miasteczko to ma domki kolorowe, malutkie są, milutkie są i wszystkie jednakowe

Mało kto rozumie Lonka tak dobrze jak jego przyjaciel Zdenek Ruml (68 lat), Czech mieszkający od początku lat 70. pod Wrocławiem. Przeszedł taką samą drogę: od cyrkowca (jeździł na monocyklu) po karuzelnika. – Z tego się nie da wyjść – komentuje. – Jeśli ktoś się urodził w cyrku jak Lonek i ja, to ma to we krwi. Arena to magiczny krąg. Po zakończeniu kariery korci, żeby nadal wywoływać uśmiechy.

Cyrkowcom powodzi się lepiej niż zwykłym zjadaczom chleba. Mają urlopy okolicznościowe, dodatki za pracę w święta. Z wyjazdów zagranicznych przywożą równowartość kilku pensji krajowych i nawet jak muszą się dzielić prowizją z ZPR, raczej nie narzekają. Do tego dochodzi udział w popularnych telewizyjnych programach cyrkowych. Oblężenie przeżywa szkoła w podwarszawskim Julinku, do której aplikują setki kandydatów rocznie. Polska – od artystów po kadrę techniczną – obstawia najważniejsze cyrki w Europie.

– Lonek i Zdenek trafili w dziesiątkę – mówi Janusz Sejbuk (68 lat), były linoskoczek, obecnie trener w szkole cyrkowej w Julinku i kustosz tamtejszego mu-

IGNACY *specjalizuje się w pokazach ogniowych. Julinek, 14 października 2022 r.*

zeum. Skarbnica wiedzy o historii polskiego cyrku. – Po wojnie cyrki i wesołe miasteczka zostały siłą upaństwowione, ale właścicielom tych drugich w latach 70. pozwolono na prowadzenie działalności prywatnej. Ci dwaj mieli refleks, w odpowiedniej chwili przeszli na drugą stronę.

Bo zderzenie z życiem poza areną bywa brutalne. Według szacunków Sejbuka w latach 60. w szczytowym okresie zatrudnienia w Polsce było dwanaście dużych cyrków i ponad sześciuset artystów, a na początku lat 90., czyli po zmianie systemu i prywatyzacji cyrków – około dwudziestu cyrków i tylko kilkudziesięciu artystów.

Wycofywali się ze względu na brak ofert, wiek albo dlatego, że za bardzo przyzwyczaili się do starego sposobu pracy. Przechodzili do handlu, gastronomii, turystyki. Inni inwestowali zarobione w PRL pieniądze i bankrutowali. Jak w loterii. Cały przekrój społeczny zamknięty w świecie cyrkowym.

Na każdej ścianie malowane lśnią okienka dwa, a każdy domek cztery koła ma

Lonek ma marzenie. Chciałby wyruszyć w jeszcze jedną trasę ze swoimi karuzelami. W łańcuchowej zmniejszył liczbę miejsc z dwudziestu czterech do dwunastu. Natomiast hydrauliczna dwugondolowa (z szesnastoma miejscami) po jego poprawkach waży dziesięć ton, a nie czterdzieści jak większość tego typu. Obie są bezpodestowe, można je zatem szybko rozstawić. – Fruwa się jak na helikopterze – zachwala.

I nie daje się przekonać Zdenkowi, że czas dla małych karuzelników się skończył. – Przetargi, nerwówka, wyścig zbrojeń... – tłumaczy Ruml. – Giganci nas przebijają, bo mają nowoczesne sprzęty i pieniądze.

I nie przyjmuje do wiadomości, że karuzela w stechnologizowanym świecie to przeżytek. – Co jest dobrym produktem, powinno trwać – mówi z pasją. – Ja do swoich pomysłów byłem za powolny i za dokładny, przegapiłem postęp techniczny, poza tym zawodzili mnie współpracownicy. Teraz, kiedy moje pomysły są wreszcie dopracowane, chciałbym je sprawdzić w praktyce.

Każdego roku planuje, że rozstawi gdzieś te karuzele. Ostatni raz robił to w 2012 r.

Sejbuk rozumie i podziwia upór Lonka. – On do tej pory nie wyszedł z cyrku – mówi. – I wiek nie ma znaczenia. Świat się zmienia, a dzisiaj młodzi szukają tego samego co moje pokolenie czy Lonka. Wolności. Nowych wyzwań. Nie chce się siedzieć przy biurku.

Jedzie pięknie poskładany ten ogromny gmach, jadą maszty, jadą ściany i płócienny dach

Uczniowie szkoły cyrkowej w Julinku, którzy dopiero wkraczają do magicznego kręgu, nie powąchają trocin rozrzuconych na arenie. Bo zwierząt w cyrku już właściwie nie ma. Ich cyrk pachnie watą cukrową i popcornem. A jednak Lonek – chociaż dzieli go od nich ponad sześćdziesiąt lat – dojrzałby w nich bliskie dusze.

Tak jak i on, dzieckiem cyrku jest Basia Łyczak z Lublina (20 lat, specjalizacja: lupy). Występuje od siódmego roku życia. – Nie wiem, jak to jest nie być w cyrku – mówi.

Żywiołowa i gadatliwa, uważa, że na pewno jej się uda. – Jestem w stu procentach poświęcona cyrkowi, chociaż często mi się nie chce, mam kontuzje albo zakwasy... Nie studiuję, nie pracuję nigdzie indziej, zarabiam na zleceniach cyrkowych. Trochę to samolubne, ale w kogo wierzyć, jak nie w siebie.

Jeremi Maruszczak z Elbląga (22 lata, specjalizacja: drabina ekwilibrystyczna): – Bakcyla złapałem jako dziesięciolatek na Festiwalu Ognia i Kuglarstwa w Ostródzie. Owszem, zaliczyłem pół roku na biogospodarce na WAT. Ale przyszedł covid, siedzenie przy komputerze, depresja itd.... Uznałem, że już tak nie mogę. Bo tylko cyrk daje mi spełnienie.

Ignacy Stigler, syn Polaka i Austriaczki (23 lata, planowana specjalizacja: koło cyra): – Robię pokazy ogniowe. W ogniu jest coś prymitywnego: czujesz niebezpieczeństwo, a jednocześnie tańcząc, pięknie go komponujesz. Ogółem to mam pociąg do ryzykownych spraw. Nie chcę nudy, stabilności i normalnego trybu życia.

Radek Kosiński ze Stargardu (22 lata, planowana specjalizacja: lina pozioma albo trampolina): – Cyrk to styl życia. Na pierwszym miejscu stawiasz wolność. U nas w kraju utarły się schematy, że młodzi ludzie muszą spełnić jakieś wymogi, żeby ich życie było dobre. Spłodzić syna, zasadzić drzewo, wybudować dom, być przykładną matką... Niektórzy mogą się w tym odnajdywać, natomiast tutaj znajdziesz osoby, które mówią: potrafię żyć inaczej i jest mi z tym dobrze.

– Jesteście rebeliantami?

– Nie! Cyrkowiec jest jednym z najstarszych zawodów. To społeczeństwo ↦

↦ żyje w innym, dziwnym świecie. My kultywujemy tradycję sprzed tysięcy lat, a taki informatyk jest wymysłem nowoczesności.

Miasteczko to ruszyło w drogę,
dalej już front i tyły zburzone są,
areny nie ma wcale

21-letni Kacper z warszawskich Bielan (specjalizacje: koło cyra i chiński maszt) po skończeniu szkoły chce przez jeden sezon zakosztować życia cyrkowego w Polsce, a potem wyjechać za granicę. Kiedy spacerujemy po parku w Julinku, próbuję go do tego zniechęcić.

– Nie wszyscy dają radę fizycznie. Nie wszyscy będą w stanie się z tego utrzymać.

– Było kilka momentów, kiedy też pomyślałem, że to nie dla mnie. Że i tak nie mam gwarancji, że będę występował – przyznaje. – Sądzę, że każdy, kto codziennie pracuje z czymś, co wymaga poświęceń, ma takie wątpliwości. Największym czynnikiem motywującym do dalszej pracy jest po prostu to, że cyrk sprawia mi radość.

– Cyrk przemija. Ludzie mają inne rozrywki.

– Nie uważam tak. Jak cyrk przyjeżdża do miasteczek czy wsi, to jest zawsze wydarzenie.

– Nikt nie zna nazwisk artystów cyrkowych.

– Czy to źle? Koniec końców znają cię w kręgu show biznesu, oferty i tak dostaniesz. Wszyscy idący do tej szkoły akceptują, że cyrk to rozrywka na tu i teraz. Cyrk przyjeżdża i odjeżdża, może zostaje po nim ślad w pamięci.

– Będziesz chałturzyć na rautach dla bankowców.

– To nie jest moja docelowa grupa, ale czemu nie. Skoro chcą to oglądać. To nadal jest zadziwianie ludzi.

– A jednak trochę się boisz, bo studiujesz zaocznie wychowanie fizyczne.

– Myślę o tym pragmatycznie, że jedno uzupełnia drugie na starość. Jak coś się stanie, to przynajmniej będę miał inną możliwość.

Już domków małych szereg cały
powędrował gdzieś, by innym ludziom
śmiech i radość nieść

Lonkowi drży głos, kiedy słyszy, że w tekście pojawią się młodzi ludzie.

– Chciałbym im zatem coś przekazać. Jeśli młody człowiek znajdzie w sobie siłę i odkryje chęci do zajęcia się czymkolwiek, wniesie w to pasję, cierpliwość i pracę przeliczaną na lata, to będzie miał udane życie. Warto wytrwać i nie załamywać się niepowodzeniami, bo one hartują człowieka. To jest dar losu, jeśli ma się zadowolenie z dziedziny, która tworzy życie lepszym, ciekawszym i pogodniejszym. Uboga jest młodzież, która w sobie tego nie odkryła. Warto się wysilić. Żeby mieć na stare lata spokój duszy, że życia się nie zmarnowało.

© DARIUSZ KAŁAN

Jako śródtytuły wykorzystano fragmenty piosenki o cyrku napisanej w 1953 roku przez Lucjana Krawczyka, ojca Longina (Lonka).

REKLAMA

TOMASZ

Stawiszyński: *Nieoczywistości „dobrej śmierci”*

Spory o legalność eutanazji noszą w sobie zasadniczą cechę naszego spolaryzowanego świata. Rozgrywają się często w atmosferze emocjonalnego wzmożenia i rozszczepienia, które sięga tak głęboko, że niemal całkowicie paraliżuje dialog. Oczywiście w sprawach pryncypialnych – a nie ma bodaj nic bardziej pryncypialnego niż stosunek do śmierci – dialog bywa faktycznie niemożliwy. Gdzie ścierają się bowiem dwa stanowiska wypływające z zupełnie odmiennych wrażliwości, moralności i metafizyk, tam po prostu nie da się wypracować kompromisu. W jakimś sensie tak właśnie jest w kwestii legalności eutanazji. Ktoś szczerze przekonany, że jedynym dawcą i odbiorcą życia jest transcendentne bóstwo, nie spotka się w pół ani nawet w ćwierć drogi z kimś, kto uważa, że człowiek (w pewnym zakresie, rzecz jasna) ma prawo o swoim życiu i śmierci samodzielnie decydować. Jedyna realna debata, w jaką można się tu zaangażować, rozgrywa się na metapoziomie – wokół pytania, na podstawie jakiego typu przekonań powinniśmy kształtować system prawny świeckiego państwa. A dokładniej rzecz biorąc: czy wierzenia, które to mają do siebie, że są niedowodliwe, a ludzie niewierzący ich nie podzielają, mogą stanowić podstawę przepisów obowiązujących zarówno wierzących, jak i niewierzących? W tym przypadku odpowiedź jest, moim zdaniem, oczywista. Nie stoją za takim rozwiązaniem żadne przesłanki, poza – skądinąd jakoś zrozumiałym, ale, dziś to wiemy, niedopuszczalnie hegemonicznym – pragnieniem modelowania świata wpisanym źródłowo w niektóre doktryny religijne.

Niezależnie jednak od wszelkich parametrów teoretyczno-filozoficznych zaciekłość tego sporu (podobnie jak sporów o rozmaite kwestie światopoglądowo wrażliwe) miewa fatalne efekty uboczne. W ferworze debaty, w której wolność samostanowienia jednostki zostaje przeciwstawiona domniemanej woli stwórcy wszechświata, znikają często – jak to bywa w ideowych wojnach – nieoczywistości konkretnych sytuacji, konkretnych życiorysów, konkretnych ludzkich cierpień i tragedii. Przy czym wydaje się, że to znikanie, czy raczej odwracanie wzroku od historii, które mogłyby co najmniej sproblematyzować, jeśli nie zrelatywizować jednoznaczność tej lub innej pozycji, dotyczy wszystkich uczestników debaty. Cóż, jest to bodaj jedno z najbardziej charakterystycznych poznawczych zakrzywień, każdy z nas mu od czasu do czasu podlega.

I ja poczułem coś podobnego – że oto doświadczam nieuchronnego dysonansu, a moje głębokie przekonania wystawiane są właśnie na próbę – kiedy przeczytałem opublikowany niedawno raport dotyczący realiów wspomaganego samobójstwa i eutanazji w Kanadzie. Dobrowolna śmierć – oczywiście pod zdefiniowanymi warunkami – jest tam prawnie dopuszczalna od 2016 r. W ten właśnie sposób zakończyło dotąd życie niemal 32 tysiące osób. W ostatnim czasie nastąpił jednak wyraźny wzrost – w 2021 r. aż o 32 proc. ludzi więcej niż w poprzednim zdecydowało świadomie o własnej śmierci. Wśród nich ok. 17 proc. stwierdziło, że głównym powodem decyzji o odejściu z tego świata jest dla nich „izolacja i samotność”, a niemal 36 proc. zadeklarowało, że czuje się „ciężarem dla rodziny, przyjaciół czy opiekunów”.

Cóż, jakkolwiek jestem przekonany, że możliwość bezpiecznej, godnej, spokojnej śmierci, kiedy wszystkie scenariusze leczenia zostały już wyczerpane, a jedynym horyzontem jest przedłużające się, nieznośne cierpienie, to jedno z fundamentalnych praw, jakie powinny człowiekowi przysługiwać – patrzę na te statystyki z wielkim niepokojem. Pokazują one oczywiście realia znane już i opisane, choćby niedawno przez Noreenę Hertz w książce „Stulecie samotnych”. Realia nowoczesnych zachodnich społeczeństw przeniknięte samotnością, będącą efektem tyleż masywnych procesów ekonomicznych, co dominującej, skrajnie indywidualistycznej ideologii. W rozległym, złożonym organizmie społecznym nie istnieją przecież wyizolowane, odseparowane od siebie procesy. Przeciwnie: kultura jest systemem naczyń połączonych. Okoliczność, że tak ogromny procent ludzi decyduje się na śmierć przede wszystkim dlatego, że czują się samotni albo że mają wrażenie, iż ich istnienie w nadmiarowy sposób obciąża najbliższych – a co najważniejsze, że się im tę śmierć wówczas umożliwia, zamiast ukoić realne powody ich udręki – pokazuje mroczną podszewkę świata, w którym żyjemy. Jego bezwzględną, brutalną stronę – przykrywaną na co dzień optymistycznymi narracjami, ujawniającą się jednak znienacka, kiedy z powodu choroby, braku pieniędzy albo innej porażki wypadamy nagle z dominującego nurtu życia, przekraczamy pole, na które pada snop światła społecznej akceptacji.

Kanadyjski raport pokazuje, że nie da się rozmawiać o legalności eutanazji bez rozmowy o kapitalizmie, o jakości instytucji społecznych, systemu ochrony zdrowia, politycznych i ekonomicznych realiach, a nade wszystko o rodzinie, relacjach, wzajemnym zaufaniu, bliskości, przyjaźni i miłości. Bez takiej rozmowy postulowana „dobra śmierć” staje się nazbyt często aktem ciemnej, bezbrzeżnej rozpaczy. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygn. akt I Ns 303/20 toczy się postępowanie z wniosku Banku Millenium S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Zbigniewie Cieśli, ur. 5 października 1953 r., s. Romana i Marii, zm. 9 marca 2018 r. w Wilamowicach, ostatnio zamieszkałym w Wilamowicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Zbigniewie Cieśli, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

DOPÓKI ONI PRZYCHODZĄ

Jak ukraińscy rodzice radzą sobie ze stratą swoich dzieci? Oto dwie historie.

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA I DONBASU

I. DONBAS. Opowieść rodziców

Drewniana ławeczka wygląda jak miliony podobnych ławeczek, jakie stoją przed niemal każdym płotem na ukraińskiej wsi. Ta tutaj ma kolor brązowy. Dopiero gdy podejść bliżej, można dostrzec dziury po odłamkach – w niej oraz w pobliskiej metalowej bramie, zwieńczonej ozdobą z metaloplastyki.

Na skraju ławeczki siedzi starszy mężczyzna, chudy i zgarbiony. – Codziennie tu przychodzę i płaczę – mówi cicho, gładząc odrapane drewno. – Wiem dokładnie, gdzie siedziała, bo został ślad. Taki dziwny, mokry. Dokładnie tam, gdzie była oparta. Teraz wysechł, już prawie nie widać.

– To dlatego, że minęło już 40 dni. Jednak Ania jeszcze od nas nie odeszła... Pewnie ona rozumie, że my tu nie wiemy, co bez niej począć – dodaje żona, która wyłoniła się zza bramy.

W prawosławiu po 40 dniach dusza zmarłego opuszcza ziemię. I idzie do nieba.

RODZICE MÓWIĄ, że gdy tamtego upalnego lipcowego dnia Rosjanie zaczęli ostrzał kasetowymi pociskami, pierwsze spadły obok pobliskiego stawu. Rodzina (nie podajemy jej nazwiska ani miejscowości; tyle tylko, że jesteśmy w obwodzie donieckim) zeszła do piwnicy, by to przeczekać. Przywykli do życia w bliskości frontu. Gdy więc wybuchy ucichły, każde wróciło spokojnie do swoich zajęć.

– Poszedłem do kuchni, by wypić herbatę. Akurat podnosiłem kubek do ust, a tu jak walnęło! Huk nie z tej ziemi! Pomyślałem, że to koniec świata. A to naprawdę był koniec naszego świata – opowiada ojciec. – Wstałem z podłogi i bałem się wyjść z chaty. Bo żony nie widać, córki nie widać. I taka straszna cisza. W końcu wyszedłem. Widzę, żona stoi na podwórku. A gdzie Ania, pytam? Ona też nie wie. Może w chacie? Nie ma. Drzwi wyrwane, szyb nie ma. Nie ma też córki. „Ania! Ania!", krzyczymy. Cisza. Do piwnicy wchodzimy, też nie ma. Wtedy przypomniało nam się, że ktoś do niej dzwonił, więc wyszła z domu, bo tam lepszy zasięg. Wybiegamy na ulicę i... – milknie i ukrywa twarz w dłoniach.

Opowieść kończy żona: – A ona siedzi dalej na ławeczce. Lewa ręka wisi na skrawku skóry. Kosteczki na wierzchu. Krzyczę: „Ania!!!". Nic nie odpowiada. Nie mogłam zrozumieć, czemu nie odpowiada. Przykryłam jej tę oderwaną rączkę ręcznikiem. Szybko przyjechała karetka i policja, zbiegli się sąsiedzi. Wszystkich pytałam, czemu Ania nie odpowiada. Ale oni milczeli. ↦

Rodzice Ani, która zginęła w wyniku eksplozji rosyjskiej rakiety. Obwód doniecki, 4 sierpnia 2022 r.

MONIKA ANDRUSZEWSKA

↦ Sekcja zwłok wykazała, że serce dziewczyny dosłownie pękło od fali uderzeniowej, spowodowanej wybuchem rosyjskiej rakiety. Matka długo tuliła córkę, musiała rozdzielić je policja.

EKSPLOZJA USZKODZIŁA w ich wsi niemal 30 domów. Ania była jedyną ofiarą śmiertelną. Trudno wyjaśnić ten ostrzał inaczej niż próbą sterroryzowania cywili – w okolicy nie ma żadnych wojskowych obiektów ani infrastruktury, jedynie ubogie domki jednorodzinne.

Ojciec: – Miliony kosztuje taka rakieta. Strzelili nią specjalnie, żeby mi córkę zabić? Zwyczajną trzydziestoletnią dziewczynę? A potem ich media podały, że zniszczyli bazę zbrodniczych ukraińskich nazistów. Co, my niby wojskowi jesteśmy? Córka pracowała w sklepie z kosmetykami.

– Rosja mówi, że do nas strzela, bo chce nas uwolnić – dodaje. – Niby od czego? Mnie już uwolniła: od córki. Jak tak można walczyć? Przeciw komu? Chcesz, to walcz z naszą armią, ale nie strzelaj po cywilach! Oni wiedzieli, że tu wioska, że tu żyją zwyczajni ludzie.

Teraz ojciec co jakiś czas jeździ do komisji wojskowej. Prosi o przyjęcie do armii. Strapieni urzędnicy próbują mu wyjaśniać, że nie mogą zmobilizować siedemdziesięciolatka. Mówią, że ktoś inny na pewno pomści jego córkę.

Ojciec: – Ale ja chciałbym sam. Żebym to ja chociaż jednego Moskala ukarał za moją Anię. Żeby choć jednego ludożercę powstrzymać, żeby więcej dzieci nie skrzywdził. Czemu to młodsi mają walczyć, skoro ja nie mam już nic do stracenia?

Tak się czuje. Tak to widzi. Inaczej nie umie.

OJCIEC POKAZUJE dziury w bramie i uszkodzony pobliski słup energetyczny. Sąsiedzi proponują pomoc w naprawach, ale małżeństwo odmawia. Gdy służby miejskie przyjechały, by wyremontować słup, ojciec ich przegonił.

Jego zdaniem to miejsce morderstwa i w przyszłości komisje międzynarodowe, szykujące sądy dla rosyjskich zbrodniarzy wojennych, na pewno będą chciały zmierzyć dziury po odłamkach: – I pokażę im, jak tu metal i beton przebiło! To jak mogła przeżyć moja dziecinka? Niech zobaczą, że ta rosyjska broń jest tak specjalnie zrobiona, żeby człowiek nie miał szans.

Ale, dodaje matka, nie tylko o to chodzi: – Dopóki są te dziury po odłamkach to tak, jakby ona była. Nie chcemy sprzątać miejsca, gdzie zginęła, to też ślad po niej. Jej pokoju i jej rzeczy także nie ruszam. Córka niezbyt lubi, gdy grzebie się w jej rzeczach – dodaje.

Przesiadują na ławce całymi dniami. Matka rano przynosi kawę – taką, jak Ania lubiła.

– Siadam i mówię: „Dobrego raneczku, córeczko, chodź, napijemy się razem kawki, herbatki". I jak tu przychodzę, to czuję, że mój aniołek tu jest. Że ona wciąż jest tu ze mną. Moja kochana córeczka, moja gołąbeczka, nie zostawi rodziców.

– Moja dobra córeczka nigdy nie myślała o wyprowadzce od rodziców, zawsze była z nami. I teraz też jest, wciąż do nas przychodzi.

NA ŁAWECZCE oboje siadają z lewej strony. Nie z prawej, bo tam zawsze siedziała Ania. Gładzą dziury w drewnie i rozmawiają z córką. – Kiedy Ania przychodzi, siadam obok i wszystko jej opowiadam. Żeby wiedziała, jaki miałam dzień, co u jej koleżanek. Czy sklep, w którym pracowała, jest już otwarty. Tłumaczę, że jeszcze nie, bo wciąż trwa wojna.

Na cmentarz także chodzą codziennie. Matka: – Odwiedzamy ją, choć myślę, że ona woli być tu, w domu. Nie chcemy, by od nas poszła. Dopóki Ania jeszcze przychodzi, można jakoś żyć. Ale co zrobimy, gdy już nas opuści?

Nikomu nie pozwalają siadać na ławeczce z prawej strony. To miejsce Ani.

II. KIJÓW.
Monolog matki

Switłana Powalajewa (ur. 1974) jest poetką i dziennikarką. Jej syn Roman Ratuszny (dla rodziny i przyjaciół: Roma) był znanym aktywistą społecznym, dzięki niemu m.in. ocalały popularne tereny zielone w stolicy, które planowano zabudować. W 2014 r. był wśród pierwszych, którzy wyszli na Majdan; został tam pobity. Po rosyjskiej inwazji w lutym 2022 r. brał udział w obronie Kijowa, potem służył w 93. Brygadzie „Chołodnyj Jar" jako zwiadowca. Zginął 8 czerwca pod Iziumem w wieku 24 lat. Jej starszy syn jest w armii od 2015 r.

Oto jej opowieść.

NA POGRZEBIE nie płakałam. Stałam przed skrzynią z ciałem mojego dziecka i chciałam je objąć. Ale wokół reporterzy czekali, aż wybuchnę płaczem i rzucę się na trumnę. Rozumiem, że to ich praca. Ale to budzi jakąś złość. Przecież te zdjęcia zobaczą też w Rosji. Nie możesz sobie pozwolić, nie możesz dać wrogowi satysfakcji. Nie chcę, by Rosjanie widzieli ból, jaki nam zadają.

To, że zabili ci syna, nie znaczy, że cię zwyciężyli albo że zmienisz zdanie na temat tego, że trzeba z nimi walczyć. To, że mój syn zginął, także nie znaczy, że przegrał.

Z NASZYCH POLEGŁYCH każdy jest jakoś szczególny. Zobacz, ilu artystów walczy, ilu uczonych, ludzi z talentami. To osoby, które mają całe biografie, o nich można by pisać książki. Mogliby zrobić wiele dla Ukrainy w cywilnym życiu. Rosjanie pewnie się cieszą, że pozbawiają nas elity. Ale kiedy nasi giną, przechodzą do historii. To kwiat narodu, a nie jacyś kryminaliści, alkoholicy i narkomani, których rzucają do walki po drugiej stronie.

Nasza strata jest dla nas straszna, ale nas nie osłabia, tylko wzmacnia. Do dziś na ich pozycje lecą pociski, na których nasi żołnierze piszą „To za Ratusznego". Na naszych historiach będą kiedyś wyrastać ukraińskie dzieci. A oni, Rosjanie, co mają? Czy ktoś słyszał o poległym Rosjaninie, który wsławił się czymś innym niż sadyzmem?

Gdy nasi żołnierze wchodzą do wyzwolonych miejscowości, zanim usuną ciała wrogów, muszą czekać na saperów. Bo Rosjanie minują swoich zabitych. A za ciałem mojego syna trzy razy grupa zwiadowców wychodziła na ziemię niczyją. Choć nie prosiłam ich o to, nie mogłabym. Chcesz odzyskać ciało dziecka, ale rozumiesz, że ktoś musi ryzykować życie, jakiś cudzy syn. Ale gdy dali mi znać, że się wreszcie udało, płakałam ze szczęścia. Absurd, prawda? Okazuje się, że możesz cieszyć się, że zdołasz pochować syna.

NIE ROZUMIEM PYTAŃ, jak mogłam „puścić dwóch synów na wojnę". Wychowałam ich do życia, nie do śmierci. Ale to dorośli samodzielni ludzie. Synowie sami decydowali, żeby walczyć. Nie dlatego, żeby jakoś fascynowali się wojskiem – po prostu nie było innego wyjścia. I to była ich decyzja.

Dziś wiem, że Roma przeczuwał swoją śmierć. Napisał testament z instrukcjami co do pochówku. I ja też coś czułam... Gdy wyszedł z domu 24 lu-

ARCHIWUM PRYWATNE

Switłana Powalajewa, matka poległego na froncie Romy Ratusznego: „Oddali mi jego nieśmiertelnik, który noszę do dziś”.

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Portret Romy wystawiony podczas stypy.

tego z bronią, przez pół nocy płakałam i krzyczałam, że więcej go nie zobaczę. Od tego momentu czułam, że coś się stanie. A przecież wiedziałam już, jak to jest być matką żołnierza i czekać całymi dniami na znak życia. Gdy mój starszy syn poszedł na front zimą 2015 r., martwiłam się jak każda matka, ale nie miałam złych przeczuć.

Kiedy twoi synowie są na wojnie, dni upływają ci nad czymś, co nazywam „medytacją na zieloną kropeczkę”. Gdy kontakt syna w komunikatorach serwisów społecznościowych świeci się na zielono, widzisz, że żyje. Kiedy znika, choć na kilka godzin, to niby wiesz, że na froncie dostęp do internetu jest ograniczony, ale i tak jesteś przerażona.

ROMA ZGINĄŁ 8 czerwca około południa, choć oficjalna data to dzień później. To dlatego, że jego grupa zwiadowców dopiero następnego dnia nad ranem dotarła do swoich. Przez dobę nic nie wiedziałam, choć dowiedziało się już dosłownie pół Ukrainy. Niektórzy znajomi poeci napisali już wiersze o żołnierzu wracającym pośmiertnie z pola boju, które czytałam, nie mając pojęcia, że to o moim synu. Wszyscy wiedzieli poza mną, moi koledzy pisarze, aktywiści, wolontariusze, dziennikarze, artyści. I milczeli.

Tego dnia, gdy on zginął, miałam wspaniały nastrój. Jakby lęk się rozpłynął. Robiłam porządek w mieszkaniu, oglądałam filmy. Mój partner przyjechał bez zapowiedzi. Ucieszyłam się, że zrobił mi niespodziankę. Byłam taka wesoła, że nie wiedział, jak mi to powiedzieć.

Zorientowałam się, jak bardzo była to już powszechna wiedza, bo akurat brałam udział w projekcie festiwalu artystycznego. Każdego dnia przez miesiąc ukraińscy pisarze mieli nagrywać o sobie krótkie wideo, jak minął im dzień na wojnie. Napisałam im przeprosiny, że nie zdołam nic nagrać, bo właśnie się dowiedziałam, że syn poległ. Organizatorzy odparli, że wszyscy już wiedzą, i że oczywiście w takiej sytuacji nie muszę nic wysyłać.

NA POCZĄTKU najstraszniejsza była myśl, czy bardzo go bolało. Jego koledzy powiedzieli, że zginął szybko i nie cierpiał. Potem zaczął się lęk, że Roma zostanie w rękach Rosjan. Wiedziałam, że będą bezcześcić ciało, żeby upokorzyć, bo tak robią, gdy uda im się dorwać kogoś znanego. Na szczęście zorientowali się, kto wpadł im w ręce dopiero, gdy chłopcy przynieśli już Romę na naszą stronę.

Mimo wszystko starali się w nas jakoś uderzyć. Publikowali w swoich sieciach społecznościowych jego dokumenty, z którymi wyszedł na zwiad. Stworzyli fałszywe wideo z młodym chłopakiem, który błaga o litość i mówi, że chce żyć, przerwane w połowie wybuchem. Nawet go nie widziałam, ale każdy, kto oglądał, mówił, że to montaż fragmentu z jakiegoś rosyjskiego filmu, i że ten aktor nawet nie jest do Romy podobny.

Jestem wdzięczna, że nikt z naszych znajomych nie opublikował informacji o śmierci Romy, dopóki nie zabraliśmy ciała. Znam wypadek, gdy młodziutka żona poległego majora dowiedziała się o jego śmierci w nocy z Facebooka, karmiąc dziecko piersią. W dodatku to się stało w sytuacji, gdy ciała wciąż nie sprowadzono. To jest niedopuszczalne.

HISTORIA ŚMIERCI ROMY dała mi teraz impuls, żeby powalczyć o zmianę procedury informowania o śmierci żołnierzy. To zawsze powinna być natychmiast oficjalna informacja z wojska. Dzięki temu, że mój syn był znanym aktywistą, jego ojciec jest dziennikarzem, a ja poetką i też jestem ↦

↦ jakoś znana, to byliśmy w sytuacji uprzywilejowanej.

Naprawdę uważam, że mieliśmy szczęście w tym nieszczęściu. Jednak nie każdy ma takie możliwości. Co ma robić matka, gdy jej syn nagle przestaje odpowiadać na wiadomości? My wiedzieliśmy, do kogo się zwracać po pomoc, ale co jeżeli kobieta mieszka na wsi, nie ma sieci społecznościowych, żadnych kontaktów w armii?

Mówi się dużo o macierzyńskiej intuicji, że matka zawsze odczuje śmierć dziecka. To nieprawda. Dopóki nie ma ciała, ma się nadzieję, że syn wróci. Wiele osób, które nie mogą sprowadzić ciał swoich bliskich, teraz do mnie pisze, bo sądzi, że mogę im pomóc, skoro mnie się udało sprowadzić syna. Staram się im pomagać, jak mogę.

Moje piekło trwało kilka dni. A niektóre matki tak żyją miesiącami, a może będą żyć i latami. Kiedy na oddział spada bomba z samolotu, często po prostu nie ma co zbierać.

NIEKTÓRZY NA ZACHODZIE mówią: „Ależ wy Ukraińcy jesteście emocjonalni". Chcieliby, abyśmy pisali o Rosji w wyważonych kulturalnych słowach. Tak, jesteśmy emocjonalni, ale to dlatego, bo nas mordują! Nie ma rodziny, którą wojna by ominęła! Każdy zna kogoś, kto walczy lub ucierpiał.

Nie mam problemu, by mówić, jak to wszystko wygląda. To nasza rzeczywistość i w Europie ludzie powinni o tym wiedzieć. Przywożą do Kijowa ciało twojego syna, które leżało kilka dni w 33-stopniowym upale, a ty boisz się, że go nie poznasz. Wcześniej, gdy dzwoniłam do jego kolegów, że już dojeżdżam, usłyszałam w słuchawce, jak pracownik kostnicy mówi: „Tylko nie wpuszczajcie matki, nie przeżyje tego!". Przeraziłam się, że będę wymiotować czy zemdleję. Ale zrozumiałam, że muszę to zrobić, bo to moje dziecko. Przed kostnicą zapach jest jeszcze gorszy niż w środku, bo wentylacja wyprowadza odór na zewnątrz. Całe podwórko zastawione autami, które przywiozły naszych poległych.

Zidentyfikowałam go. Twarzy nie dało się poznać, zostały tylko kontury. Skóra jak taka brązowa guma. I wszędzie larwy. Ale poznałam Romę od razu – po kształcie nadgarstków i rąk. To był mój syn.

Do trumny włożyli go w dwóch workach, jeden włożony w drugi, a na nich położyli mundur. Oddali mi jego nieśmiertelnik, który noszę do dziś. Na początku pół mieszkania przesiąkło tym zapachem śmierci. Żałuję, że coraz mniej tak pachnie, bo to przecież część mojego syna.

WIELU CHCE ZROBIĆ ZDJĘCIE matki w czarnej chuście, jak obejmuje rzeczy syna. Ale z zasady nie wpuszczam dziennikarzy do jego pokoju, to nasza prywatna przestrzeń. Jednak nie traktuję jego pokoju jak muzeum. Wiele jego rzeczy rozdałam przyjaciołom, sporo z nich też zapisał im w testamencie. Czasem jego znajomi przychodzą, by u niego posiedzieć.

Wiem, że niektóre matki robią z domu kaplicę pamięci, ale ja tego nie chcę. Czasem śpię w jego łóżku. Wykorzystuję jego dezodoranty, zakładam jego ubrania. Gdy mam na sobie sweter i skarpetki, jest mi jakoś emocjonalnie cieplej.

Przy grobie Romy bywam rzadko. Jako buddystka wiem, że to tylko ciało, i że mojego syna już tam nie ma. Niektóre matki mówią, że umarły razem z synami. Tak, część mnie umarła. Ale mam jeszcze drugie dziecko. Ta strata i tak jest cały czas we mnie, jakbym nosiła w sobie przepaść, niezależnie, czy jestem na cmentarzu, czy na spacerze z psem.

Roma napisał kiedyś na Facebooku: „Im więcej Rosjan zabijemy teraz, tym mniej będą musiały zabić ich nasze dzieci". Że to strasznie brzmi? Ależ dokładnie tak jest. Facebook teraz blokuje wpisy z tym cytatem, a po jego śmierci usunął wiele jego publikacji. A młodzi ludzie i tak robią sobie takie nadruki na koszulkach, malują murale.

SYN ŻYJE DALEJ w ludziach, którzy o nim pamiętają. Po jego śmierci wszędzie publikowano mój numer konta z prośbą o wsparcie dla matki. Na początku mi się to nie spodobało, nie wiedziałam, co zrobić z tymi pieniędzmi. Ale szybko zrozumiałam, że trzeba to wydać tak, jak on by tego chciał. Całą przekazaną sumę wydałam na pomoc dla armii, na takie rzeczy jak optyka czy drony. One są wykorzystywane, dostaję informacje od żołnierzy, którzy z nich korzystają w jedynym sensownym dziś celu – obronie naszej ziemi.

On by tak chciał. Roma poległ, ale jego walka trwa. © MONIKA ANDRUSZEWSKA

PIOTR MALEC // WWW.FOTOMOGILSKA.PL / MATERIAŁ PRASOWY

Tytuł Członka Honorowego PAU dla ks. Adama Bonieckiego

POLSKA AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI w ramach obchodów 150-lecia istnienia przyznała **KS. ADAMOWI BONIECKIEMU** tytuł **CZŁONKA HONOROWEGO PAU**. W swoim wystąpieniu Redaktor Senior podkreślił, że wyróżnienie to w jego odczuciu jest nie tylko dla niego, ale dla całego zespołu „Tygodnika Powszechnego".

Podczas gali, która odbyła się w Auditorium Maximum UJ, zostały również przyznane tytuły członków czynnych PAU, m.in. prof. Waldemarowi Łazudze, naszemu publicyście.

Serdecznie gratulujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MICHELE TANTUSSI / REUTERS / FORUM

Minister spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułeba (w pierwszym rzędzie z prawej) z szefami SPD: Rolfem Mützenichem (pierwszy z lewej) i Larsem Klingbeilem (w środku), Berlin, maj 2022 r.

Ostpolitik do zmiany

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Część niemieckich socjaldemokratów chce zerwać z prorosyjską tradycją swojego ugrupowania, reprezentowaną przez starych partyjnych bossów. I apeluje o zwiększenie dostaw broni dla Ukrainy.

Lars Klingbeil miał nietęgą minę, wsłuchując się w słowa Włodzimierza Czarzastego. Lider polskiej Lewicy w rozmowie z niemieckim partnerem nie przebierał bowiem w słowach – jak dowiedział się „Tygodnik" od naocznego świadka spotkania obu polityków, do którego doszło w czerwcu w Warszawie.

Czarzasty wypominał współprzewodniczącemu Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) bezsensowny pacyfizm, brak odpowiedniego zaangażowania w pomoc dla Ukrainy i tolerowanie w swoich szeregach takich „putinolubnych" (gdzieś miało paść takie słowo) polityków jak Gerhard Schröder.

Przebieg czerwcowego spotkania dobrze pokazuje problemy, z jakimi zmagają się niemieccy socjaldemokraci. Jeszcze jesienią ubiegłego roku triumfowali w wyborach do Bundestagu: oto po kilkunastu latach odbili Urząd Kanclerski z rąk chadecji i objęli przewodnią rolę w koalicji, utworzonej wraz z Zielonymi i liberałami. SPD może się też pochwalić tym, że w czasach, gdy wielu, zwłaszcza młodych ludzi odwraca się od polityki partyjnej, wciąż ma blisko 400 tys. członków i potężne struktury, których częścią są nadal prężne niemieckie związki zawodowe.

Wyznanie błędów

44-letni Lars Klingbeil współprzewodniczącym SPD jest od niedawna. Szybką karierę zrobił w swojej partii w ostatnich latach: w 2017 r. został jej sekretarzem generalnym, a rok temu wiceprzewodniczącym. Jednak w Warszawie nie chciał się z nim spotkać żaden przedstawiciel polskiego rządu ani żaden polityk Koalicji Obywatelskiej. Natomiast Czarzasty, który spotkać się poniekąd musiał – gdyż polska Lewica i niemiecka SPD należą do jednej frakcji europejskich partii lewicowych – zamiast pochwał skupił się na połajankach.

Wszelako wnioski z ich spotkania są takie, że Klingbeil potrafi poważnie podchodzić do krytyki. Przemawiając niedawno do partyjnych aktywistów w Berlinie, wymienił cztery główne błędy w podejściu SPD do Rosji i do krajów regionu Europy Środkowej i Wschodniej. Po pierwsze, SPD ignorowała autokratyczne i mocarstwowe działania Putina. Po drugie, SPD błędnie wierzyła, że wzmacnianie więzów gospodarczych przełoży się na większą stabilność polityczną Rosji i Europy. Po trzecie, Niemcy uzależniły się energetycznie od Rosji. Po czwarte, ignorowano interesy państw Europy Środkowej i Wschodniej, co doprowadziło do ogromnej utraty zaufania w tych krajach wobec Niemiec.

I jeszcze jeden ważny wniosek – system bezpieczeństwa w Europie trzeba budować nie z Rosją, ale przeciwko Rosji. ↦

↦ Przyznawanie się do błędów nie należy do zjawisk częstych wśród polityków. A krytyczne uwagi Klingbeila można docenić także za ich trafność. Zaufanie do Niemiec faktycznie drastycznie spadło w naszym regionie. Jeszcze w 2014 r. aż 90 proc. Ukraińców miało pozytywny stosunek do Niemców. Z tegorocznych badań wynika, że dobrą lub bardzo dobrą opinię na temat Niemiec ma już tylko 41 proc. z nich; 52 proc. określa swój stosunek do Niemiec jako neutralny, a 4 proc. jako zły lub bardzo zły.

W Polsce pewnym wskaźnikiem są oceny stosunków polsko-niemieckich. W tym roku 49 proc. badanych przez CBOS ocenia te relacje jako przeciętne, 31 proc. jako złe, a tylko 13 proc. jako dobre. Na najgorsze od dekad wyniki na pewno wpływ ma temat reparacji i werbalne ataki polskiego rządu w kierunku Berlina, ale także porażka niemieckiej *Ostpolitik* – polityki Niemiec wobec Europy Środkowej i Wschodniej, w której pierwsze skrzypce odgrywała właśnie SPD.

Kłopoty z autorefleksją

Gdy dziś z ust niektórych działaczy SPD padają deklaracje o potrzebie zerwania z błędami przeszłości, równocześnie wielu polityków za te błędy najbardziej odpowiedzialnych wciąż pełni kluczowe funkcje w niemieckim państwie. Jak wytłumaczyć ten paradoks?

– Wypowiedź Klingbeila to przede wszystkim zwrot ku młodszym pokoleniom – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Patrycja Tepper z Instytutu Zachodniego w Poznaniu, która zajmuje się relacjami niemiecko-rosyjskimi. Tepper zwraca uwagę, że w obliczu nawarstwienia się kryzysów każda z partii rządzącej w Niemczech koalicji musi zrezygnować „z części swojego DNA".

I tak Zieloni godzą się na przedłużenie czasu pracy elektrowni węglowych i atomowych. Liberałowie z FDP muszą przełknąć plany zaciągnięcia przez państwo gigantycznych długów, by finansować kolejne programy antykryzysowe. – Dla SPD będzie to oznaczać poświęcenie dotychczasowej polityki wobec Rosji – uważa Trepper. – Ten zwrot już się odbywa, ale trzeba pamiętać, że w Niemczech słowa i czyny dzieli daleka droga.

Głębsze rozliczenia utrudnia choćby fakt, że jeden z architektów chybionej *Ostpolitik*, Frank-Walter Steinmeier, jest dziś prezydentem kraju. W latach 1999-2005 pełnił on funkcję szefa Urzędu Kanclerskiego i współtworzył politykę kanclerza Schrödera, który po wycofaniu się z polityki został najsłynniejszym na świecie lobbystą rosyjskich spółek energetycznych.

Mimo krytycznej sytuacji za granicą kanclerz Scholz uważa, że wyborcy **oczekują od niego głównie dbania o własne podwórko.**

Następnie Steinmeier dwukrotnie, w latach 2005-09 oraz 2013-17, był szefem niemieckiej dyplomacji. Przez te wszystkie lata zabiegał o powstanie obu nitek gazociągu Nord Stream, a na forum międzynarodowym głośno domagał się stawiania na relację z Rosją.

Zmieniały się tylko nazwiska

Dziś Steinmeier zapewne wolałby, aby mu nie pamiętano, że w 2007 r. opublikował tekst zatytułowany „Powiązania i integracja". Przedstawił w nim swoje poglądy na Rosję, których kurczowo trzymał się aż do 24 lutego tego roku. Przekonywał w nim, że Rosja jest kluczem do rozwiązania wszystkich palących problemów bezpieczeństwa. Każda polityka Niemiec i Unii Europejskiej miała być prowadzona w dialogu z Moskwą, a nie przeciwko niej. Kupno rosyjskich surowców nie było procesem uzależniania się, lecz tworzeniem współzależności, które prowadzą do cywilizowania się Rosji. I tak dalej...

W utrzymaniu tej prorosyjskiej linii Steinmeierowi nie przeszkodziła wojna w Gruzji ani aneksja Krymu. Warto pamiętać, że budowa drugiej nitki gazociągu Nord Stream zaczęła się już po tym, jak w 2014 r. Rosja zagrabiła Krym i zaczęła wojnę w Donbasie.

Prorosyjski ster mocno trzymał też Sigmar Gabriel. Blisko związany ze Steinmeierem, doświadczony polityk (z kilkoma ministerialnymi funkcjami w CV), w latach 2013-17 był ministrem gospodarki. Aneksja Krymu i wojna w Donbasie nie przeszkodziły mu w autoryzowaniu sprzedaży Rosjanom części niemieckich magazynów gazowych.

Podejście Gabriela do Rosji ilustruje pewna anegdota. Oto w 2015 r., po oficjalnych rozmowach z Putinem, poprosił go o autograf. Zażyczyła go sobie Oksana, pochodząca z Rosji kobieta zatrudniona w gabinecie stomatologicznym prowadzonym przez żonę Gabriela. Putin prośbę spełnił. I tak wicekanclerz oraz szef resortu gospodarki europejskiej potęgi wychodził zadowolony ze spotkania, trzymając w ręce podpisane zdjęcie rosyjskiego satrapy.

Kremlowska pajęczyna

W tradycję socjaldemokratycznej *Ostpolitik* wpasował się też następca Steinmeiera i Gabriela. Heiko Maas, szef dyplomacji w latach 2018-21, chętnie pokazywał się w towarzystwie Siergieja Ławrowa i najwyraźniej dobrze się czuł, głosząc pustosłowie o braku alternatywy wobec przyjaznych relacji z Rosją. W tym samym czasie Donbas krwawił, a na Kremlu powstawały coraz bardziej zaawansowane plany pełnoskalowego ataku na Ukrainę.

Bliskim kontaktom na najwyższym szczeblu towarzyszyło tworzenie sieci bardziej i mniej formalnych spotkań niemiecko-rosyjskich. Prorosyjscy lobbyści mogli bez przeszkód głosić potrzebę współpracy obu państw na corocznych forach energetycznych i konferencjach dla społeczeństwa obywatelskiego, chętnie otwieranych przez kluczowych niemieckich polityków, zarówno z szeregów SPD, jak i chadecji.

Apogeum toksycznych relacji niemiecko-rosyjskich osiągnięto w Meklemburgii, gdzie rządzący politycy SPD zaangażowali się w tworzenie organizacji, na których konta Rosjanie przesyłali pieniądze na lobbing i prace niezbędne do zakończenia budowy Nord Stream 2, gdy projekt w finalnej fazie był stopowany przez amerykańskie sankcje.

Przełom na pół gwizdka

Wszystkie te zarzuty pod adresem SPD pojawiały się w niemieckich mediach jeszcze przed rosyjską inwazją. Ale po 24 lutego, zebrane razem, złożyły się w obraz SPD jako partii, która niemal do końca wspierała i współfinansowała reżim Putina, co ułatwiło mu podjęcie decyzji o ataku.

Potem, w reakcji na inwazję, kanclerz Olaf Scholz ogłosił przełom w dotychczasowej polityce, zapowiedział

reformę armii i obiecał wysupłać z budżetu 100 mld euro na ten cel; Niemcy zerwały też z zakazem dostarczania broni na tereny konfliktów. Z drugiej jednak strony Berlin naruszył zaufanie międzynarodowych partnerów poprzez bardzo powolne i nieprzejrzyste wysyłanie wsparcia militarnego Ukrainie. W pierwszych miesiącach, gdy np. Polska wysyłała już znaczne ilości czołgów i haubic, Niemcy ograniczali się do skromnych ilościowo dostaw broni lekkiej i wyposażenia.

Z czasem Berlin zaczął dostarczać Ukrainie również broń ciężką, np. haubice samobieżne, a niedawno pierwszy z nowoczesnych systemów obrony powietrznej. Natomiast dużo mniejsze w porównaniu do innych natowskich partnerów ilości i enigmatyczne słowa Scholza, który nadal nie powiedział publicznie, że Ukraina powinna wygrać tę wojnę, wciąż rzucają na Niemcy podejrzenie, iż mają one problem z jasnym określeniem się wobec tej coraz bardziej terrorystycznej wojny, jaką Rosja prowadzi przeciw Ukrainie.

Broń może służyć pokojowi

Do dziś w SPD, ale też wśród partyjnego elektoratu, toczy się zażarty konflikt o rodzaj i skalę pomocy, jakiej Niemcy powinni udzielić Ukraińcom.

– Codziennie dostaję mnóstwo listów i maili. 60 proc. to wsparcie dla moich działań, ale 40 proc. to ich ogromna krytyka – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Michael Roth.

Ten 52-letni polityk SPD przez wiele lat pełnił funkcję sekretarza stanu ds. europejskich w niemieckim MSZ. Po wyborach w 2021 r. musiał odejść z resortu, bo w ramach koalicyjnych ustaleń dyplomacja przypadła Zielonym, i został szefem komisji spraw zagranicznych Bundestagu.

W związku z rosyjską inwazją przypadła mu nowa polityczna rola. – Przeciwnicy mówią, że broń stała się moim fetyszem – uśmiecha się podczas rozmowy, którą prowadzimy w jego biurze w gmachu Bundestagu. – Wciąż o tym mówię, bo właśnie wokół tej kwestii toczy się spór. Dlatego muszę wytłumaczyć moim wyborcom, w jaki sposób broń może przysłużyć się pokojowi – mówi Roth i zaznacza, że w Niemczech istnieje powszechny sceptycyzm wobec wszelkich kwestii militarnych.

Michael Roth był jednym z pierwszych prominentnych polityków SPD, którzy głośno opowiadali się za przekazaniem broni Ukraińcom. Gdy Scholz wciąż zwlekał z wizytą w Kijowie, nasz rozmówca pojechał w kwietniu do Lwowa wraz z przedstawicielami FDP i Zielonych.

– Jestem przekonany, że osiągniemy pokój tylko wtedy, gdy postawimy przed Putinem znak „stop". Czymś takim będzie wygrana Ukrainy w tej wojnie – przekonuje.

Wygraną w tym przypadku Roth określa jako sytuację, w której Ukraina będzie mogła pozostać wolnym i demokratycznym krajem, a jej integralność terytorialna zostanie zabezpieczona.

W SPD nie wszyscy są przekonani co do skuteczności rozwiązania militarnego. – Wielu uważa, że dostarczanie broni tylko wydłuży drogę do pokoju. Moim zdaniem jest wręcz przeciwnie. Tylko gdy Putin raz na zawsze zrozumie, że tej wojny nie wygra, będzie skłonny do ustępstw – twierdzi Roth.

– A jeśli osiągniemy pokój kosztem Ukrainy, to i tak będzie można się spodziewać, że Putin zagrozi wówczas kolejnym krajom: Mołdawii, Gruzji, a może, choć uważam to za mało prawdopodobne, także państwom bałtyckim – dodaje.

Udawanie Szwajcarii

Michael Roth nie broni specjalnie swojej partii. W trakcie rozmowy niektórych polityków własnego ugrupowania sam określa pejoratywnym mianem *Putinversteher*, co oznacza osobę przyjmującą optykę kremlowskiego włodarza. – Nie chcę bronić SPD, ale zwracam uwagę na fakt, że moja partia w pewnym sensie tylko odzwierciedla niemieckie społeczeństwo – zaznacza.

Na ten aspekt społeczny zwraca również uwagę Patrycja Trepper z Instytutu Zachodniego. – Polityczne błędy ostatnich dekad rozgrzewają bardziej nas niż Niemców – uważa. – Dla nich istotniejsze są rosnące rachunki, inflacja i przygotowywane przez rząd pakiety pomocowe. Pamiętajmy też, że jeszcze w sierpniu około jedna trzecia Niemców była za otwarciem Nord Stream 2.

Najnowsze badania, przeprowadzone na zlecenie berlińskiej Fundacji Koerbera (zajmuje się polityką międzynarodową) daje nieco głębszy wgląd w poglądy przeciętnych pana i pani Schmidt. Okazuje się, że 52 proc. badanych wolałoby, aby na arenie międzynarodowej Niemcy wykazywały się „powściągliwością". Większego zaangażowania życzy sobie 41 proc. badanych, przy czym tylko 14 proc. ma na myśli zaangażowanie militarne, a 13 proc. finansowe. Aż 68 proc. nie chce, aby Niemcy odgrywały w Europie wiodącą rolę w kwestiach militarnych.

Biorąc pod uwagę te wyniki, można łatwiej zrozumieć chłodny i mało zdecydowany stosunek kanclerza Scholza do pomocy wojskowej dla Ukrainy. Scholz wygrał wybory wybitnie bytowymi hasłami, jak podniesienie stawki minimalnej i zmiany w systemie pomocy społecznej. Widać, że mimo coraz większej globalnej zawieruchy Scholz uważa, iż wyborcy oczekują od niego przede wszystkim dbania o ich własne podwórko.

Niemieccy eksperci od spraw zagranicznych uważają jednak, że takie kurczowe trzymanie się *status quo* i wiara, iż Niemcy mogłyby „udawać trochę większą Szwajcarię", mogą być na dłuższą metę zgubne.

Więcej, a nie mniej!

Na koniec rozmowy z „Tygodnikiem" Michael Roth przywołuje słowa Radosława Sikorskiego, który w 2011 r., jeszcze jako szef MSZ, przestrzegał berlińskie elity, że bardziej boi się niemieckiej bezczynności niż ich przywództwa.

– My nie możemy sobie wybierać obszarów, w których chcielibyśmy być numerem jeden, np. tylko w kwestiach gospodarczych lub polityki rozwojowej. Ktoś nam słusznie może powiedzieć: „Kochani, ale przecież trwa wojna!" – przekonuje dziś Roth. – Ten rok to największa próba dla liberalnych demokracji. I my nie możemy się od niej uchylić.

Roth liczy, że międzynarodowa koalicja wspierająca Ukrainę w końcu zdecyduje się na dostarczenie jej czołgów zachodnie produkcji, co skłoni także rząd w Berlinie do dostaw niemieckich Leopardów, o które proszą Ukraińcy.

Bundestag, w którym zasiada Roth, od Urzędu Kanclerskiego dzieli 500 metrów w linii prostej. Kanclerz Olaf Scholz ma w kwestii dostaw odmienne niż Roth zdanie. Niemcy mają czas na dalsze prowadzenie tej dyskusji. Czasu może natomiast zabraknąć Ukraińcom.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Ten kraj ma cię wchłonąć

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Dla polskich Żydów, którzy decydują się dziś na wyjazd do Izraela, nie jest to zwyczajna emigracja. Kraj dużo imigrantom daje, ale też wymaga. Niekiedy ponad ich siły.

Katarzyna mieszka dzisiaj w Jerozolimie.

– Moja decyzja o emigracji do Izraela była złożona – opowiada. – Wiązały się z nią sprawy, które mnie z Polski wypchnęły, takie jak sytuacja polityczna czy sprawy rodzinne. Jednocześnie do Izraela przyciągnęła mnie relacja z izraelskim partnerem, poszukiwanie żydowskiej tożsamości i ciekawość tego regionu. Dziś, niemal 10 lat po emigracji, w Izraelu tęsknię za niektórymi rzeczami w Polsce: za pogodą, kulturą, językiem. A gdy jestem w Polsce, to tęsknię za Izraelem.

Katarzyna nie wierzy tym, którzy mówią, iż każda emigracja jest taka sama: że da się ją jakoś zaplanować, z góry oszacować jej trud, utrzymać relacje z bliskimi za pomocą komunikatorów i Facebooka, a po jakimś czasie, gdy się już zrealizuje cel, wrócić do siebie.

Dla Katarzyny „u siebie" jest tu: w głośnej, kipiącej od emocji Jerozolimie. Żydowska emigracja, na którą się zdecydowała, czyli *alija*, po hebrajsku oznacza „wstąpienie". Dostępna jest na zasadach prawa powrotu dla tych, którzy mają żydowskie korzenie, a także dla ich małżonków oraz dla konwertytów.

To przywilej, z którego wielu skorzysta i rozpocznie w Izraelu szczęśliwe życie. Ale to także trud, czasem ponad siły – bo będą i tacy, którym się nie uda.

Opisane tu historie mają wspólny mianownik: *alija* nie jest dla polskich Żydów zwykłą emigracją – nigdy nią nie była i nie będzie. Nawet dziś, gdy wyjazd jest dobrowolny, i gdy często wiąże się z radością i ciekawością nowego, rzadziej zaś z obawą przed antysemityzmem.

Od kilku do kilkudziesięciu

Esther, założycielka i dyrektorka firmy genealogiczno-dochodzeniowej z siedzibą w Jerozolimie, opowiada: – Gdy wyjechałam z Rzeszowa do Anglii, stałam się religijna. Szybko zrozumiałam, że kontynuowanie takiego życia – znalezienie religijnego Żyda jako kandydata na męża i zbudowanie wspólnego życia zgodnie z zasadami judaizmu – będzie w Polsce utrudnione. Nie była mi obca motywacja syjonistyczna: poczułam, że Izrael to mój dom, i że chcę być aktywnie zaangażowana w jego budowanie.

Daniela, studentka szkoły aktorskiej, z Tel Awiwu: – W Polsce bycie Żydem wymagało wielu wyrzeczeń. Np. związanych z tym, że trzymałam wtedy ścisły koszer, a znalezienie odpowiednich produktów było trudne. No i ta ciągła obecność tematu Zagłady. Jako studentka pracowałam dla krakowskiej gminy żydowskiej i jeździłam z rabinem na wszystkie obchody i rocznice. Bardzo to przeżywałam i w końcu mnie to przeciążyło. W Izraelu Zagładę upamiętnia się raz w roku, w Jom Ha-Szoa. Poza tym bycie Żydem oznacza tu jednak życie.

Jan z Tel Awiwu, przewodnik turystyczny: – Chciałem żyć w większej społeczności żydowskiej i w kraju bardziej przyjaznym dla osób LGBT+.

Raz jeszcze Katarzyna: – Z Polski, oprócz problemów rodzinnych, wypchnął mnie antysemityzm, który dostrzegałam w różnych środowiskach, także politycznych. Gdy wyjeżdżałam, rosła w siłę brunatna fala nacjonalizmu, odczuwałam atmosferę wszechogarniającej niechęci, ksenofobii. Antysemityzm zauważyłam też na lewicy, z którą się światopoglądowo utożsamiałam, co było dla mnie szczególnym rozczarowaniem. W końcu odczułam, że nie mam możliwości eksplorowania swojej żydowskiej tożsamości w poczuciu bezpieczeństwa, i że trzeba go poszukać gdzie indziej.

Moi rozmówcy, młodzi Żydzi z Polski, szacują, że rocznie do Izraela emigruje z niej na stałe od kilku do kilkudziesięciu osób. Brakuje dokładniejszych danych, które pokazywałyby tę emigrację na przestrzeni ostatnich lat. Izraelskie Centralne Biuro Statystyk podaje jedynie, że w roku 2020 z Polski aliję do Izraela zrobiło sześć osób, a w roku 2021 – 33 osoby.

Fale z przeszłości

Na aliję decydują się ludzie urodzeni w rodzinach o żydowskich korzeniach, w tym ci, którzy po latach milczenia w rodzinie przypadkiem odkryli swoje pochodzenie i są go ciekawi. Jest też grupa konwertytów: to przeważnie młode kobiety, które w Izraelu znalazły męża, a zgodnie z tradycją nie mogą go poślubić jako nie-Żydówki.

Konwersja, choć religijna, pełni wówczas także ważną funkcję społeczną: konwertytka od razu staje się częścią narodu, podobnie jak jej przyszłe dzieci. To ważne kwestie, również wśród niewierzących liberalnych Żydów. Dodatkowo konwersja przyspiesza otrzymanie dokumentów. Obywatelem Izraela można stać się od razu, a status *ole hadasz* („nowo przybyłego") daje dużo możliwości.

JACK GUEZ / AFP / EAST NEWS

Przybycie imigrantów do Izraela, lotnisko Ben Guriona w Tel Awiwie, lipiec 2017 r.

Jest to inna emigracja w stosunku do wcześniejszych wielkich fal, które opuszczały Polskę przed laty.

Po zakończeniu II wojny światowej i powstaniu państwa Izrael na wyjazd z Polski decydowały się tysiące osób pochodzenia żydowskiego. Tuż po wojnie, w latach 1945-48, z Polski wyemigrowało ok. 200 tys. Żydów. Podczas aliji z lat 1956-60, nazwanej gomułkowską (w PRL rządził wtedy Władysław Gomułka), było to ponad 30 tys. osób. Ostatnia wielka fala, zapoczątkowana przez wydarzenia marca 1968 r. i nagonkę antysemicką ze strony władz komunistycznych PRL, wygnała co najmniej 13 tys. osób pochodzenia żydowskiego. Wyjeżdżali w różnych kierunkach, w tym do Izraela.

Trud adaptacji

Te wyjazdy przebiegały w atmosferze przymusu – spora grupa była z Polską głęboko związana, nie chciała opuszczać kraju. Wyjeżdżano całymi rodzinami, kręgami przyjaciół. Najciężej – co widać zresztą do dziś w społeczności polskich Żydów w Izraelu – wyjazd znieśli „marcowi": ci, co wyjechali jako ostatni, gdy już nie widzieli dla siebie innej szansy.

Nowo przybyli borykali się w Izraelu z wieloma problemami. Adaptacja do nowych warunków klimatycznych, społecznych i kulturowych, próby nauki języka – dla wielu dorosłych okazywało się to ponad siły. Problemem było też znalezienie pracy, zwłaszcza w zawodzie – w efekcie osoby z wysokim polskim wykształceniem w Izraelu szły np. do prac porządkowych.

Problemem była też uboga wówczas infrastruktura i rodząca się dopiero opieka państwa. A także zagrożenia związane z bezpieczeństwem: wszak co chwila wybuchały tu wojny, życie nawet we własnym kraju nie było dla Żydów w pełni bezpieczne. Zdarzały się przypadki prób powrotu do Polski, kończące się fiaskiem.

Co ciekawe, inaczej tamte alije odbierały dzieci przybyszów: one stosunkowo szybko uczyły się języka i adaptowały w nowym kraju. Zachowały za to wspomnienia z Polski, zwykle bardzo dobre, a dziś chętnie do niej wracają.

Dorośli, obarczeni traumą Zagłady, nagłego wykorzenienia i poczuciem zdrady ze strony państwa urodzenia, zwykle cieszyli się z możliwości znalezienia się w kraju, gdzie nikt ich już nie będzie prześladował. Ale adaptacja często okazywała się dla nich wyzwaniem ponad siły.

W nowych czasach

Po roku 1989 alije przyjęły zupełnie inne oblicze.

Wyjazdy, teraz już pojedynczych osób i znacznie rzadsze, przestały być skutkiem celowego działania władz. Teraz stały się odpowiedzią na wewnętrzne wezwanie – to związane z odkryciem żydowskich korzeni – a także z ciekawością życia w kraju, o którym marzyli przodkowie, w zgodzie z zasadami judaizmu, wśród Żydów. Choć zdarza się, że ci, którzy wyjeżdżali po 1989 r., doświadczyli antysemityzmu.

Niemałe znaczenie, zwłaszcza dla osób urodzonych jeszcze w ubogim PRL-u, miała chęć poprawy swojego statusu materialnego, jakości życia, wyjazdu do „kraju Zachodu". A otwarcie granic Polski, z czasem też wprowadzenie tanich linii lotniczych sprawiły, że lot w odwiedziny stał się prosty w organizacji, zaś tęsknota za smakami i zapachami z dzieciństwa – łatwa do zaspokojenia.

Współcześnie młodzi polscy Żydzi, którzy decydują się na aliję, są w stałym internetowym kontakcie z bliskimi i przyjaciółmi w Polsce. Często przyjeżdżają do Polski, a czasem wiążą z nią w jakiś sposób swoje życie zawodowe.

Przy tym wszystkim borykają się z wieloma problemami – tymi samymi, które dotykają dziś młodego pokolenia Izraelczyków. Jak przykładowo nieprawdopodobnie wysokie koszty życia w Izraelu. Nie brakuje osób, które po pewnym czasie rezygnują i wracają do Polski.

Państwo daje i wymaga

Anna, nauczycielka, zdecydowała się na wyjazd do Izraela wraz z mężem i synem.

– W Polsce mieszkaliśmy u teściów, nie mieliśmy większych perspektyw rozwoju zawodowego – wspomina. – Czułam, że potrzebujemy impulsu, by coś zmienić. W Izraelu mieszkała już wtedy moja siostra. Byłam go ciekawa.

Kilkumiesięczny proces aliji rozpoczął się od zebrania dokumentów. ↦

↦ – Wszystko, co potwierdzało moje żydowskie pochodzenie od strony taty, było ważne: listy, zdjęcia, pocztówki, zapiski, zdjęcia nagrobków, akty urodzenia, ślubu – mówi Anna. – Komplet dokumentów złożyliśmy w warszawskim Sochnucie [Agencji Żydowskiej – red.]. Potem była wizyta w ambasadzie, gdzie dostaliśmy specjalne wizy wjazdowe.

Anna: – Po przyjeździe do Izraela *olim* trafiają najpierw do hoteli dla imigrantów. My trafiliśmy do Karmiel w Galilei. Na drzwiach mieszkania były napisane nasze imiona, poczuliśmy się mile powitani. Wraz z mężem od razu otrzymaliśmy obywatelstwo, a nasz syn po kilku latach, na podstawie doręczonych dokumentów potwierdzających, że w Izraelu mieszka i chodzi do szkoły. Aliję można robić do drugiego pokolenia – to dlatego otrzymał te dokumenty później niż my.

Izrael pokrywa koszty każdej aliji. Nowo przybyli otrzymują m.in. bilety lotnicze, ubezpieczenie, kieszonkowe i sfinansowany kurs hebrajskiego – wszystko na określony czas. Podczas zajęć z języka szczególny nacisk kładzie się na izraelską kulturę: obyczaje, święta, teksty piosenek, zachowania, zwroty. Nowo przybyli mają też prawo do przewiezienia swoich rzeczy z kraju przyjazdu oraz doradztwo m.in. przy poszukiwaniu pracy.

O to, by *ole hadasz* jak najszybciej stał się częścią społeczeństwa, dba Ministerstwo Aliji i Integracji, które do niedawna nazywano Ministerstwem Absorpcji. Nazwa ta była wyjątkowo trafiona, bo do Izraela nie wystarczy po prostu przyjechać. Od nowo przybyłego oczekuje się, że szybko zostanie przez społeczność wchłonięty. Ma stać się „swój".

Państwo więc dużo daje, ale jeszcze więcej wymaga. Nie każdemu udaje się temu sprostać.

Trzeba dużo odwagi

Karolina, dziennikarka (Jerozolima): – Moja przygoda z Izraelem zaczęła się od wielkiej miłości do kraju i do mężczyzny. Byłam pewna, że po jakimś czasie całkowicie poczuję się tu jak w domu. Częściowo tak się stało, bo dziś nie widzę siebie w żadnym innym miejscu. Ale też po 20 latach w Izraelu mogę już powiedzieć, że kulturowo nigdy nie stanę się Izraelką, mimo usilnych starań. Wspólny język częściowo odnajduję oczywiście z aszkenazyjczykami i „hulnikami", czyli tymi, którzy dopiero niedawno przyjechali z zagranicy. Problem pojawia się jednak w kontakcie z „sabrami", czyli lokalnymi, a z sefardyjczykami to już w ogóle. Czasem czuję się, jakbym wciąż była tutaj turystką. Jedną nogą jestem wciąż w Polsce, drugą w Izraelu, a w żadnym z tych krajów nie jestem do końca.

Nowoprzybyli otrzymują m.in. bilety lotnicze, kieszonkowe oraz sfinansowany przez Izrael kurs hebrajskiego. **Wszystko na określony czas.**

Esther: – Dziś na wyjazd z Polski decydują się młodzi Żydzi. Ich motywacje mają głównie podłoże syjonistyczne i matrymonialne. Państwo pomaga *olim*, ale to nie wystarczy. Często przyjeżdżają tu zupełnie sami, muszą na nowo zbudować całe swoje życie. Powinni to zrobić szybko: Izrael jest szalenie drogi i bardzo wymagający. W krótkim czasie trzeba się więc nauczyć języka i kultury, znaleźć mieszkanie, pracę według własnego wykształcenia i umiejętności, partnera – ludzie w Izraelu dość szybko się pobierają – a także zbudować sieć kontaktów. *Alija* to nie są przelewki: to imigracja, wykorzenienie całego swojego życia i przesadzenie go. Do tego trzeba mieć dużo energii, ale i odwagi.

Jan zrobił aliję w 2013 r., ale szybko uznał, że na Izrael nie jest jeszcze gotowy. Wrócił do Wrocławia, gdzie, jak mówi, próbował zbudować odpowiadające mu życie żydowskie. O ponownym wyjeździe zdecydował, gdy zdał sobie sprawę, że w wymierającej polskiej społeczności żydowskiej nigdy nie będzie miał możliwości w pełni zrealizować swoich dwóch tożsamości: osoby LGBT+ i nieortodoksyjnego Żyda.

Tutaj, w słynącym z różnorodności Tel Awiwie, czuje się częścią wielu wspólnot: konserwatywnej synagogi, w zarządzie której zasiada, wspólnoty osób LGBT+, a także społeczności polskojęzycznej. Tu żadna z tych tożsamości się nie wyklucza.

W centrum wydarzeń

Anna po czterech latach zdecydowała się na wyjazd z Izraela. – To jest bardzo drogi kraj – wyjaśnia. – Żeby zarobić na życie, wyjątkowo dużo się tutaj pracuje. Sześć dni w tygodniu, po 10-12 godzin dziennie. Tak pracował w fabryce mój mąż. Ja zostałam w domu z dzieckiem, koszty żłobka przekraczały nasze możliwości. Po jakimś czasie wróciliśmy do Polski. Nie żałuję wyjazdu do Izraela. To doświadczenie mnie wzbogaciło, nadal uczę się hebrajskiego i czuję ogromny sentyment.

Ci, którym się udaje, dobrze oceniają swoje izraelskie życie. Zwykle są to osoby, które mają już rodziny i ustabilizowane kwestie zawodowe.

Anna, ratowniczka medyczna z miejscowości Jokne'am: – Jestem z życia tutaj bardzo zadowolona. Mam dobrą pracę, rodzinę, przyjaciół, udzielam się wolontariacko. Moje dzieci mają dobre szkoły i znacznie lepsze możliwości rozwoju. Zapuściłam tu korzenie.

Katarzyna: – Środowisko żydowskie jest tutaj różnorodne, a dzieci chodzą do żydowskich szkół. Wyrastają w poczuciu, że bycie Żydem to jest coś dobrego, radosnego, ich żydowska tożsamość nie jest – jak w Polsce – oparta wyłącznie na utracie. Z zawodowego punktu widzenia nie da się też porównać życia w Warszawie z Jerozolimą. To ona jest obecnie centrum żydowskiego feminizmu religijnego, który tak bardzo mnie interesuje. Bycie tutaj, w centrum wydarzeń, jest dla mnie szalenie ważne.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tychach Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 324/22 toczy się postępowanie sądowe o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Buchwald, ostatnio stale zamieszkującej w Tychach, zm. 24 maja 2021 r. w Tychach.

Wzywa się spadkobierców bądź ich następców prawnych, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do sądu, w którym toczy się postępowanie, i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o nabyciu spadku.

ROMY ARROYO FERNANDEZ / AFP / EAST NEWS

Czuwanie upamiętniające ofiary reżimu w Iranie – na instrumencie sylwetka Mahsy Amini, Utrecht, Holandia, 6 października 2022 r.

Kołysanka buntu

WOJCIECH JAGIELSKI

Trwający już drugi miesiąc protest irańskiej młodzieży przeciw porządkom teokratycznego państwa nie ma przywódcy. Ma za to pieśń – hymn, a zarazem litanię tęsknot, żalów i skarg.

Nazwano ją kołysanką – bo z melodii biją smutek i powolny rytm. Nagrał ją i zamieścił w internecie 25-letni pieśniarz Szerwin Hadżipur z podstołecznej prowincji Mazandaran, położonej między łańcuchem gór Elburs a Morzem Kaspijskim. Poruszony śmiercią 22-letniej Mahsy Amini, zatłuczonej na śmierć w Teheranie przez policję obyczajową, która aresztowała ją pod zarzutem niestosownego dla pobożnej muzułmanki stroju, ułożył pełną smutku balladę. Za słowa posłużyły mu króciutkie listy, które zaczęli wypisywać w internecie młodzi Irańczycy, tłumacząc, dlaczego przyłączyli się do największych od lat antyrządowych wystąpień, jakie wybuchły nazajutrz po śmierci Amini.

Swojej pieśni nadał tytuł „Baraye" – co po persku znaczy m.in. „w imię", „z powodu", „za", „żeby". „W imię mojej siostry, twojej siostry, naszych sióstr", „za taniec na ulicy", „żeby nie czuć strachu, całując ukochaną osobę", „w imię dziewcząt, które wolałyby urodzić się jako chłopcy" – śpiewa Szerwin Hadżipur.

Dał nam słowa

Dzień śmierci i pogrzebu Mahsy Amini stał się początkiem ulicznego buntu przeciwko brutalności policji obyczajowej i rygorom teokratycznej republiki, zaprowadzonej i rządzonej przez ajatollahów, którzy w 1979 r. obalili szacha i monarchię. Na ulicach irańskich miast dziewczęta i kobiety ściągały z głów i paliły hidżaby – chusty, które według przykazań ajatollahów powinny obowiązkowo nosić pobożne muzułmanki.

Do demonstracji przyłączyły się tysiące, protesty ogarnęły cały kraj. Wołano: „Śmierć tyranowi!" i „Wynocha!", występowano już nie tylko przeciwko obyczajowemu gorsetowi muzułmańskiej republiki, ale też biedzie, cenzurze, korupcji, niekompetencji i arogancji duchownych, władców i głównych beneficjentów teokratycznej republiki.

„Z powodu łez, które się nie kończą", „za wstyd, jaki czuje biedak, niemający grosza", „w imię małego śmieciarza i za jego marzenia", „z powodu gospodarki, rządzonej na rozkaz" – wyśpiewywał cudze skargi pieśniarz Hadżipur. „Z powodu zatrutego powietrza", „w imię bezpańskich psów zabijanych na rozkaz rządu", „za perskie gepardy, którym grozi wyginięcie", „w imię przyszłości", „w imię życia", „za wolność"...

Pieśń pojawiła się w sieci 28 września. Nazajutrz słuchało jej pół kraju, w serwisach streamingowych i mediach społecznościowych miała milionowe wyświetlenia. Wkrótce rozbrzmiewała wszędzie. Podczas marszów, w samochodach, na uniwersytetach oraz w szkołach ↦

↦ i biurach. „Dał nam słowa, których brakowało nam, by wyrazić nasz ból i nasz gniew" – mówili o śpiewaku z Mazandaranu Irańczycy, którzy wcześniej o jego istnieniu nawet nie wiedzieli.

Irańczycy z diaspory, którzy już dawno porzucili teokratyczną republikę, nie mogąc znieść jej restrykcji i nie widząc w niej dla siebie przyszłości, śpiewali „Baraye" podczas urządzanych w USA, Kanadzie, Europie i Australii koncertów poparcia dla młodych buntowników z Teheranu. Przetłumaczono ją na zachodnie języki, zgłoszono do muzycznej nagrody Grammy, której twórcy postanowili przyznawać wyróżnienia nie tylko za osiągnięcia artystyczne, ale też za utwory, które przyczyniają się do postępu i wolności. Pod nominacją utworu podpisało się sto tysięcy ludzi.

Szczerość czy szantaż

Zaskoczone władze kazały aresztować śpiewaka i usunąć jego pieśń – poniewczasie, bo znali ją już wszyscy – z internetu. Po trzech dniach w areszcie śledczym, 4 października Hadżipura wypuszczono na wolność za kaucją. Odebrano mu jednak paszport i zakazano przez pół roku wyjeżdżać z kraju. Z wolnej stopy będzie sądzony za „rozsiewanie propagandy przeciwko ustrojowi państwa" oraz „podburzanie ludzi do przemocy".

Władze pozwoliły mu jednak zwrócić się z posłaniem do jego wielbicieli. Podziękował im za słowa otuchy, zapewnił, że ma się dobrze, i poprosił, żeby się o niego nie martwili. Zapowiedział, że nie będzie udzielał żadnych wypowiedzi, nie zamierza wyjeżdżać z Iranu, a także, że kocha „ojczyznę, jej sztandar i wszystkich rodaków". I że dalej chciałby dla nich śpiewać. Jego wielbicieli zasmuciły słowa śpiewaka, że bardzo żałuje, iż „znaleźli się ludzie, zwłaszcza poza granicami Iranu, ludzie, z którymi nic go nie łączy, którzy skradli jego pieśń, by wykorzystać ją w politycznych celach".

Młodzi Irańczycy pocieszają się, że to tajna policja i śledczy zmusili Hadżipura w areszcie, by napisał te słowa. Tak samo jak groźbami i szantażem zmusili do wystąpienia w rządowej telewizji matki zabitych pod koniec września w rozruchach szesnastolatek, Niki z Teheranu i Sariny z podstołecznego Karadżu. Obie zostały zatłuczone na śmierć przez policję, ale przed telewizyjnymi kamerami matki powtórzyły posłusznie rządową wersję wydarzeń, utrzymującą, że dziewczęta odebrały sobie życie, skacząc z dachów.

W ciągu ostatniej dekady dochody przeciętnego Irańczyka z klasy średniej spadły o połowę. **Kraj, nękany sankcjami Zachodu, pogrąża się w biedzie.**

Władze zaprzeczają też, że przed tygodniem policjanci zabili pałkami kolejną szesnastolatkę, Asrę z Ardabilu w irańskim Azerbejdżanie. Policja pobiła tam uczniów, którzy na urządzonym przez władze ich szkoły wiecu poparcia dla władz odmówili śpiewania pieśni wychwalających 83-letniego ajatollaha Alego Chamenei. Pobita do nieprzytomności Asra zmarła w szpitalu.

Konflikt między pokoleniami

Irański bunt, choć w porównaniu z burzliwym końcem września nieco przycichł, nadal trwa. W ciągu miesiąca zginęło prawie 250 osób (najwięcej, niemal połowa, w Kurdystanie na zachodzie kraju, rodzinnych stronach Mahsy Amini, i w Beludżystanie na wschodzie, najuboższych regionach Iranu), w tym prawie 30 dzieci. Tysiące osób – w tym pół setki dziennikarzy – zostało uwięzionych. Zastępca dowódcy Korpusu Gwardii Rewolucyjnej admirał Ali Fadawi przyznał, że średni wiek demonstrantów to niespełna 16 lat. Minister oświaty Jusuf Nuri ogłosił, że aresztowani licealiści będą kierowani do klinik psychiatrycznych na „terapię behawioralną i reedukację".

Minister postępuje zgodnie z wytycznymi Alego Chamenei, który orzekł, że jesienne niepokoje wywołały „ulica i zagranica", a uczestnicy młodzieżowego buntu to „chuligani i rabusie", a także „agenci Zachodu", „Wielkiego Szatana", którego obok Izraela irańscy ajatollahowie uważają za najgorszego wroga. Jest to narracja stosowana przez władze od lat.

Badacze irańskiej polityki zwracają jednak uwagę na coraz większą przepaść dzielącą młodych Irańczyków (według ostatniego spisu powszechnego młodzi, między 10. a 24. rokiem życia, stanowią piątą część 84-milionowej ludności Iranu) od sędziwych przywódców teokratycznej republiki. Podkreślają też, że choć ajatollahowie przez prawie pół wieku próbowali poprzez szkoły wychować sobie młodzież w posłuszeństwie wobec duchownych przywódców i idei muzułmańskiej rewolucji, jesienny bunt młodych dowodzi, że ponieśli w tej kwestii sromotną klęskę, że młodzi z „pokolenia Z" odrzucają ich nauki liczniej i odważniej niż ich ojcowie, a nawet starsze rodzeństwo.

Władza próbuje złamać opór i nieposłuszeństwo młodych przemocą i wtrąca do więzień tych starszych, którzy się z nimi solidaryzują. Za kratki trafili m.in. znani reżyserzy i aktorzy filmowi Nik Jusefi, Dżafar Panahi, Mohammad Rasoulof, Modżgan Ilanlu, Mustafa al-Ahmad czy Hamid Farrahnedżad, poetka Mona Borzoi, sławni piłkarze Ali Daei (odebrano mu paszport po tym, jak skrzyczał posłów, że „historia osądzi ich jako łajdaków i kłamców"), Hosejn Mahini, Ali Karimi i Mehdi Mahdawikia.

Komentatorzy śledzący ostatnie wydarzenia w Iranie przepowiadają, że przepaść między starymi rządzącymi i młodymi poddanymi będzie się powiększać wraz z biedą i izolacją, w jakich ten kraj, nękany sankcjami Zachodu, traktującego go jak pariasa, pogrąża się coraz bardziej. Niekompetencja i korupcja ajatollahów, zachodnie sankcje, a także pandemia sprawiły, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia dochody przeciętnego Irańczyka, zwłaszcza z klasy średniej, spadły o połowę.

Sytuacja w kraju szybko się nie poprawi. Zachodni ostracyzm i sankcje wobec Iranu tylko się nasilą, ponieważ ajatollahowie postanowili wspierać Rosję i dostarczają jej bezzałogowych samolotów i pocisków rakietowych, za pomocą których niszczona jest w Ukrainie infrastruktura energetyczna. Unia Europejska chce ukarać Teheran nowymi sankcjami, a szef MSZ Ukrainy Dmytro Kułeba ogłosił, że będzie namawiał prezydenta Zełenskiego do zerwania stosunków dyplomatycznych z Iranem.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

REKLAMA

NOWA KSIĄŻKA WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

W czasach chaosu i dezinformacji potrzebujemy wiarygodnej opowieści o świecie

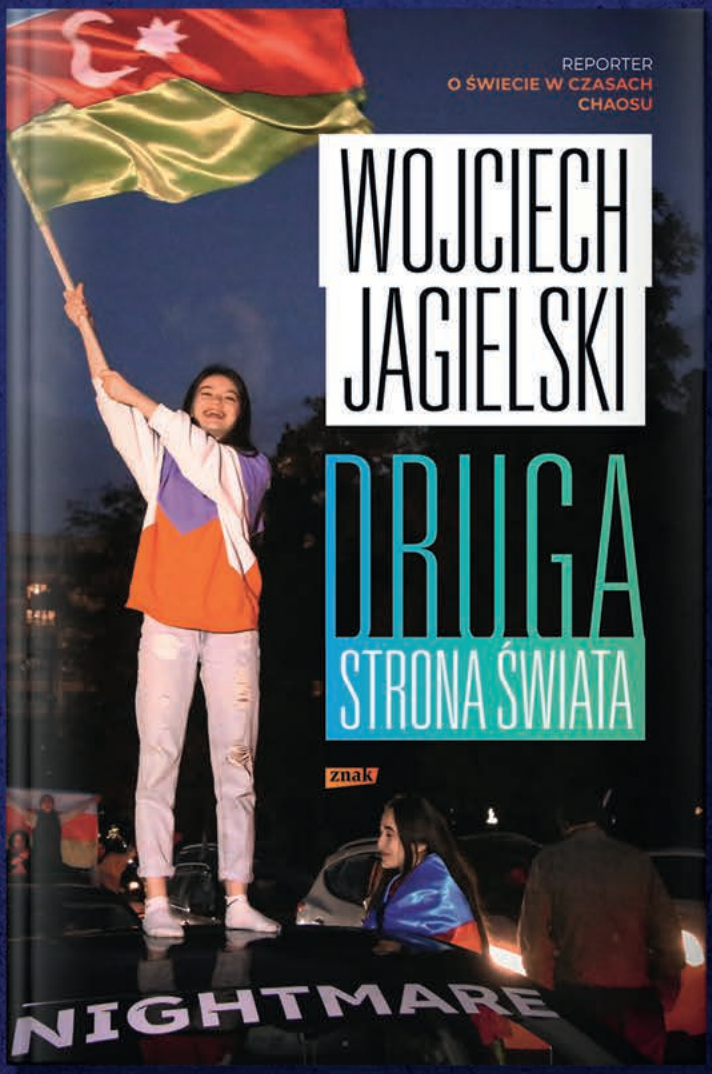

40% rabatu dla czytelników "Tygodnika Powszechnego"

kod: stronaswiata

Do wykorzystania na stronie znak.com.pl

TYGODNIK POWSZECHNY znak KSIĘGARNIA znak

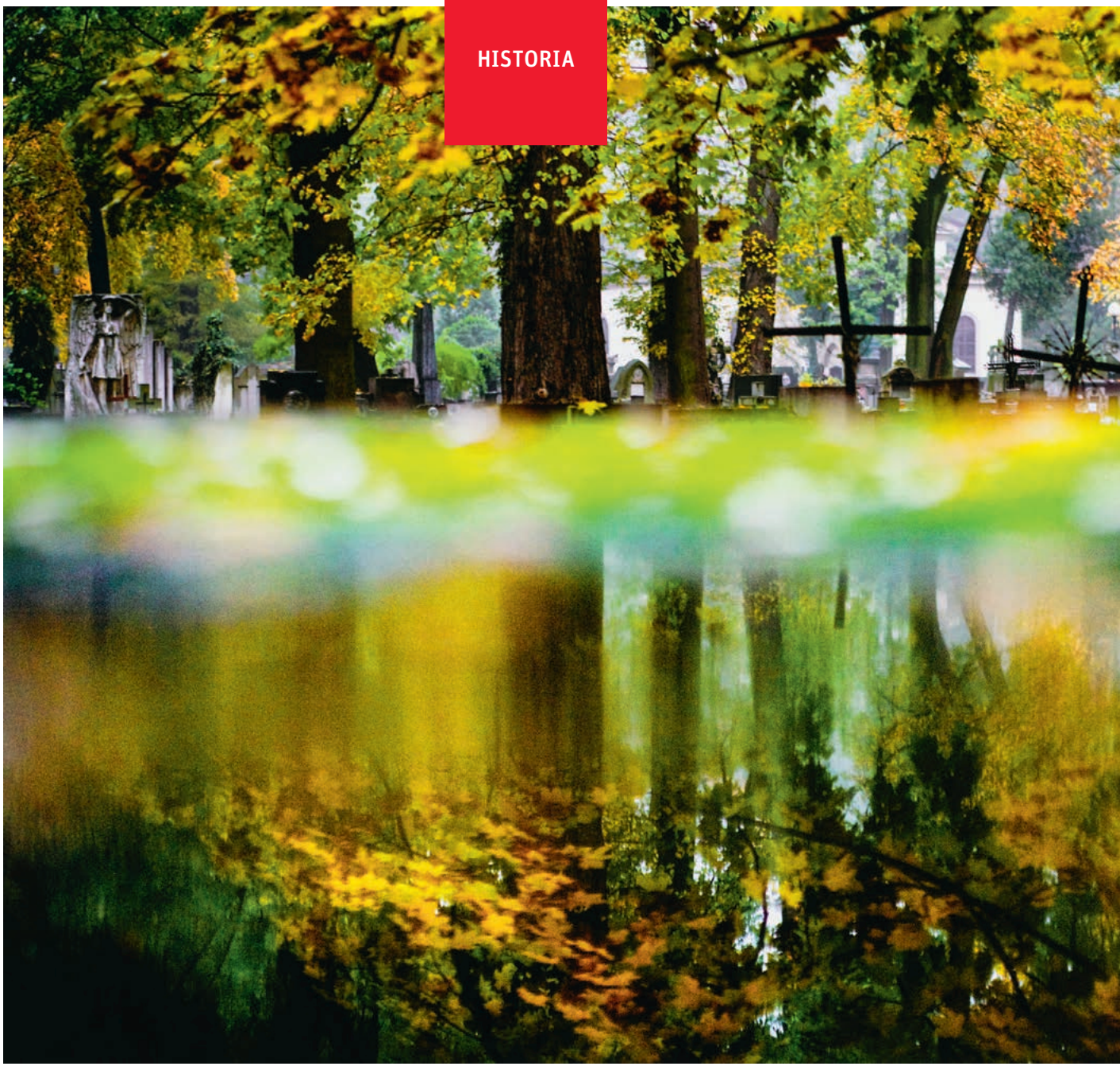

CMENTARZ DO CZYTANIA

Krakowska nekropolia Rakowice jest jak otwarta księga z opowieściami. Trzeba ich tylko posłuchać.

RAFAŁ MATYJA

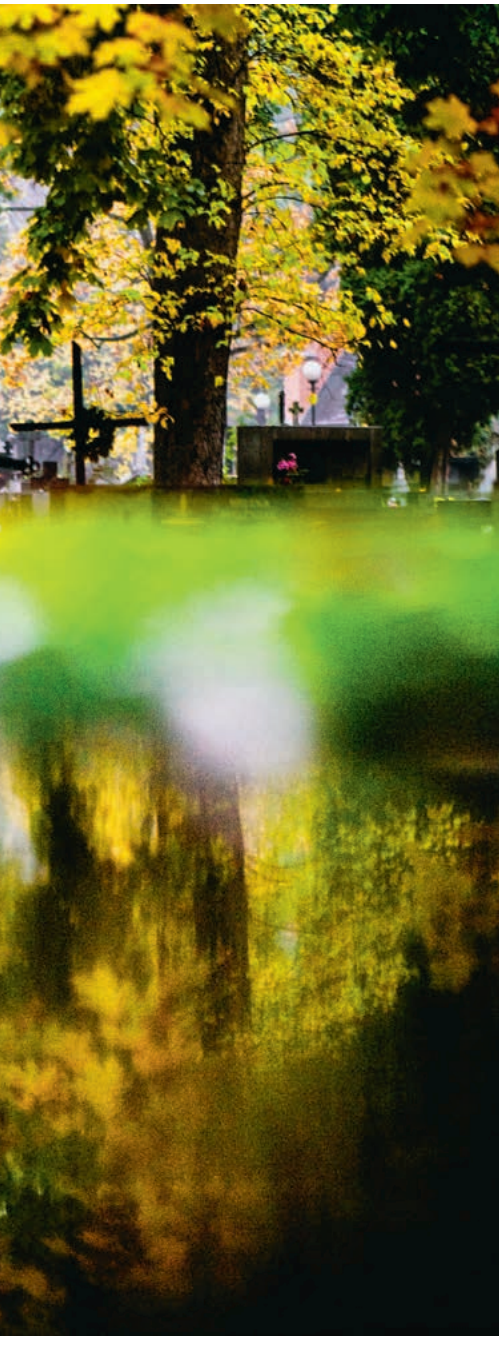

GRAŻYNA MAKARA

Cmentarz Rakowicki w Krakowie.

Przez większą część roku cmentarze są pustawe. Niczym nie przypominają tych z początków listopada. Jednak wiele z nich właśnie wtedy jest fascynującym miejscem do myślenia i – dzięki smartfonowi – także do czytania. I nie chodzi tu o rozmowy ze zmarłymi, ale o zakodowane przez ich żyjących krewnych i przyjaciół informacje o życiu.

Kilkadziesiąt dni, jakie spędziłem w ostatnim roku na krakowskim cmentarzu Rakowickim, jest jak początek intelektualnej przygody; przygody, która polega na rozszyfrowywaniu dziesiątek zagadek. Gdzieś i kiedyś mogą one ułożyć się w opowieść o mieście i jego cmentarzu. Jedną z tysięcy możliwych.

TEN CMENTARZ jest też wspaniałym parkiem. Ze skomplikowaną, za sprawą kolejnych etapów jego rozbudowy, siecią alejek oraz trudną (na początku) do rozpracowania numeracją kwater. Z mnóstwem wiewiórek i ptaków, starych drzew z poskręcanymi pniami, konarami i korzeniami walczącymi z materią grobowców. Pogrzeby, msze żałobne, naprawy i renowacje są tu tylko tłem. Wystarczy dyskretnie skręcić, by nie wejść w drogę tym, którzy przyszli tu w sprawach śmierci. I przyglądać się Krakowowi ostatnich dwóch stuleci – nekropolię założono na początku XIX w. – z perspektywy, do której to miasto nie zdążyło się przygotować. Której nie skryło za żadną oficjalną przesłoną.

Może trochę miały nią być książki o tym cmentarzu, odsłaniające zdarzenia sprzed stu kilkudziesięciu, ale rzadko sprzed kilkudziesięciu lat, a milczące o tym, co stało się tu po wybuchu II wojny światowej. To trzeba sobie obejrzeć samemu, bez pomocy książek. Ale ze smartfonem i Wikipedią to łatwe. A jak ktoś potrafi wyjść poza pierwszą stronę wyników wyszukiwarki – czasami wręcz fascynujące.

Najciekawsze wydaje się to, że wiele osób pochowanych w głównych alejach, w grobowcach o wielkich rozmiarach, nie da się znaleźć w żadnym z zakątków internetu. Nawet tych, które kryją zdigitalizowane dokumenty dawnych epok.

TAKIEGO KRAKOWA nie sposób nauczyć się z książek. Nie tylko dlatego, że przedstawiają one rzeczywistość jakoś tam upiększoną. Przede wszystkim dlatego, że stanowią część świata, w którym ceni się pisanie i najchętniej pisze o tych, którzy już coś napisali. W najgorszym razie coś wystawili w teatrze, namalowali lub przynajmniej zorganizowali wystawę. Nie ma w tym nic złego, ale za mało wiemy o całej reszcie. Tej, która zbudowała sobie – rękoma następców – grobowce i pomniki, ale nie zostawiła pamiętników i innych pisanych śladów.

Kiedyś taką pomocą mógł służyć jedynie dziadek Towarzystwa Dobroczynności. „Do jego obowiązków – jak pisze Karolina Grodziska-Ożóg, autorka najlepszych prac o tym cmentarzu – należało pilnowanie puszki przeznaczonej na ofiary i dzwonienie podczas pogrzebów. Również i on w miarę możliwości miał uważać na włóczęgów i pijaków, a w razie potrzeby alarmować zarządcę lub grabarzy".

To z nim rozmawiał pewnie wiele razy Stanisław Cyrankiewicz, autor pierwszego „Przewodnika po cmentarzach" – i ponadto dziadek przyszłego premiera z czasów PRL. Przewodnik Cyrankiewicza zbierał informacje o pochowanych i umiejscowieniu ich grobów, o historii cmentarza, ale nie wychodził daleko poza „kronikarskie obowiązki". W ogóle literatura o tym miejscu jest – jak na akademicki i metropolitalny Kraków – niewielka.

NAJTRUDNIEJ PORADZIĆ SOBIE z epoką PRL-u. Zwłaszcza że do niedawna jedynym niezłym informatorem była tu... trudno dostępna monografia Juliana Wielgosza „W 40-lecie powstania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej 1948-1988. Kraków – Nowy Sącz – Tarnów". Ale i ona niewiele mówiła o sprawcach najważniejszych zmian w mieście i regionie. W ogóle niewiele się o tym pisze i mówi. Najłatwiej dowiedzieć się czegoś o architektach, najtrudniej o tych, którzy załatwili pieniądze, przeforsowali decyzje.

Nawet opracowanie Sebastiana Drabika o krakowskiej PZPR (znacznie lepsze od Wielgoszowej książki) nie pozwala na odpowiedź, komu zawdzięczamy kształt Krakowa z roku – powiedzmy – 1988 lub 1990. Nawet nie wiemy, czy szukać ich w Alei Zasłużonych, czy gdzieś w głębi nowych kwater, w grobach sprawiających wrażenie mogił „zwykłych ludzi", bo pieczołowicie pozbawionych przez rodzinę wszelkich śladów dawnego znaczenia zmarłych. Urzędników miejskich, partyjnych funkcjonariuszy, przedstawicieli elity ekonomicznej czy akademickiej tamtego PRL-owskiego miasta.

Poszukiwanie sprawców zmian, jakie zachodziły w mieście, to tylko jeden z możliwych sposobów przeszukiwania cmentarza. Inny – to śledzenie kolejnych faz kapitalizmu, które nawiedzały i nawiedzają miasto, układając na nowo społeczną strukturę Krakowa i jej materialne manifestacje. Jesienią zeszłego roku ↦

JACEK TARAN

Pomnik Danuty Maksymowicz-Jarockiej i Jerzego Jarockiego na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

↦ w okolicach cmentarza Rakowickiego wisiał ogromny transparent „Kupię grobowiec na cmentarzu Rakowickim – cena do miliona złotych". Niech mnie ktoś przekona, że to niczego nie mówi o obecnej fazie kapitalizmu. Że nie są wymowne puste groby rodzinne, które czekają na kolejne pokolenia – tak jakby ktoś stawiał domy dla nienarodzonych jeszcze wnuków.

NA REALIA KAPITALIZMU cmentarze są równie szeroko otwarte, jak miasta. Nie tylko gdy chodzi o obrót ich „nieruchomościami", ale także o zrozumienie przyczyn, dla których ktoś jest gotów wydać ogromne pieniądze na takie dobro, o którym nie przeczytamy przecież w podręcznikach żadnego z ekonomicznych kierunków. Bo jaki to będzie, zdaniem współczesnej „królowej nauk", rodzaj dóbr? Czy wpiszemy go między zakupy dzieł sztuki, lokowanie kapitału w złoto lub posiadanie szokująco luksusowego auta? Kto i o jakie stawki gra w taki sposób? Cmentarz żyje nie tylko pogrzebami, ale także kartkami o zamiarze likwidacji miejsca nieodwiedzanego i nieopłacanego.

A jeżeli tak było zawsze, to jest on nie tylko miejscem pochówku wybitnych Polaków, ale także przestrzenią rywalizacji, która w tle ma fortuny przedsiębiorców i spekulantów, która jest swego rodzaju publikacją wyników walk klasowych oraz rejestrem życiowych sukcesów i – znacznie rzadziej – niepowodzeń. Czasami manifestacją rozdzierającego bólu rodziców po stracie nastoletniego czy dwudziestoparoletniego dziecka. Ale zawsze opowieścią żywych dorosłych, która nie pozostawia obojętnym.

Ale żeby to dostrzec, musimy dorosnąć sami i spróbować zrozumieć cmentarz na nowo – nie jak pięcioletnie dziecko, które może rozumieć dosłownie, że „tu leży dziadek", a tam obok ważny generał. I nie jak dziecko pięćdziesięcioletnie, powtarzające słowa o miejscu spoczynku – albo jeszcze gorzej: o miejscu wiecznego spoczynku – które przekraczają nie tylko perspektywę racjonalisty, lecz także naruszają chrześcijańską ortodoksję. Na cmentarzach nikt nie leży i nikt nie spoczywa. Taką mam przynajmniej niewzruszoną nadzieję racjonalistyczno-chrześcijańską.

TO SĄ MIEJSCA PAMIĘCI i zapisy składane przez żywych. Tych, którzy próbują sobie poradzić z własnymi problemami: utraty bliskich, lęku przed śmiercią i przemijaniem, ale także potrzeby wyróżnienia się, zamanifestowania znaczenia lub zamożności. Przez fakt, że cmentarz łączy przestrzeń prywatną (za jaką uważa się nagrobki i słowa na nich umieszczane) z publiczną, całość uwidocznionych na nim zmagań nabiera dość niezwykłego dramatyzmu. Cmentarz dla dorosłych to nie tylko miejsce „spotkań z bliskimi", ale w znaczącym stopniu możliwość przyjrzenia się ludzkiemu życiu w bardzo zagęszczonej postaci.

Nigdzie w mieście nie znajdziemy tak wyrazistego zetknięcia sfery prywatnej z publiczną ani tak gęstego zapisu jego historii. Jakkolwiek przesadą byłoby powiedzenie, że cmentarz jest kluczem do rozumienia każdego z miast, to z pewnością jest jednym z miejsc, które mówią o nim najwięcej.

Na cmentarzu Rakowickim można więc dostrzec nieformalną koalicję ziemian, profesorów uniwersytetu, wyższych urzędników i duchownych, która jest znana tylko czytelnikom grubych książek historycznych, a która fundowała tożsamość miasta. Można też dostrzec zamiar złożenia hołdu powstaniom, których się samemu nie organizowało. Pewną pieczołowitość w honorowaniu osób zmarłych przed rokiem 1939 oraz chaos czy niepewność, gdy chodzi o osoby zmarłe po II wojnie światowej.

Jak gdyby brakowało jakiegoś ważnego połączenia między tym, co działo się w przestrzeni publicznej, a tym, co myślało się prywatnie. Powojenna Aleja Zasłużonych jest ukształtowana przez niepewność. Nie ma w niej buty budapeszteńskich cmentarzy, na których groby komunistów (czołowych i zwykłych) oznaczone są dumną czerwoną gwiazdą. Nie ma nawet tej pewności siebie, która by kazała w pierwszym szeregu umieszczać tych, którzy zasiadali w prezydiach i szli na przodzie pochodów pierwszomajowych.

PODOBNE NIEZDECYDOWANIE widać w umieszczaniu grobów artystów. Choć najładniejsze nagrobki przypadają – jak wszędzie – głównie plastykom i architektom, a czasami też aktorom i muzykom.

Bo też cmentarna (czy szerzej: pochówkowa) hierarchia to nie rzecz werdyktu anielsko sprawiedliwego i bezstronnego jury, lecz zwykłych ludzkich przepychanek. W pamiętniku Karola Estreichera przykuwa uwagę historia zabiegów – czynionych w latach 50. XX w. – o pochowanie w krypcie zasłużonych na krakowskiej Skałce prof. Tadeusza Banachiewicza; zabiegów czynionych przez jego ucznia Karola Kordylewskiego, astronoma jak jego mistrz.

Bywa też odwrotnie: aby znaleźć miejsce pochówku Wisławy Szymborskiej czy grób Tadeusza Kantora (ozdobiony wyróżniającą go wśród innych ławką), trzeba się sporo natrudzić.

Te starania i przepychanki mają znaczenie dla żyjących rówieśników zmarłych, może dla ich rodzin i troszkę dla pokolenia następnego. Ale kolejnym jest już wszystko jedno. Dla nas to jednak okazja do tego, by uciec przed pułapką narzekania na czasy współczesne – oraz wyobrażenia sobie tych dawnych jako rycerskiej rywalizacji umysłów i talentów.

DLATEGO SKAZANI JESTEŚMY na powolne odczytywanie wszystkiego według własnego przypadkowego wzoru krążenia alejkami. Im bardziej przypadkowego, tym chyba lepiej. Można oczywiście korzystać z lokalizatora grobów. Ale, po pierwsze, to mało wygodne. A po drugie: pełne luk bazy nie dają pewności, iż tego, czego nie znaleźliśmy dzięki bazie danych, po prostu nie ma. Zanim będzie – trzeba błądzić i odkrywać na własną rękę.

Czasami trzeba tu zwracać uwagę na szczegóły. Na przedziwne imiona sióstr zakonnych wyryte długimi kolumnami w płycie zbiorowego grobowca. Często stanowiące tylko przekształcenie imienia męskiego – Błażeja, Ksawera, Alojza... Skłaniające do zastanowienia nad motywami takich decyzji, podejmowanych przez młode zapewne dziewczyny, albo podpowiadanych przez przełożone.

Innym razem lepiej przyjrzeć się ukrytym podziałom, różnicom między grobami ulokowanymi przy głównej alei a tymi w głębi, do których trzeba się przedzierać, uważając, żeby po drodze nie stąpać po płytach sąsiednich. Naiwnie możemy przypuszczać, że nic ciekawego tam nas nie spotka. Jest jednak inaczej, bo za takim usytuowaniem – dalej od głównego traktu – może stać wiele powodów: niełaska, niedola, ale często satysfakcja, że w ogóle ma się grób na Rakowickim. Bo to jednak nobilitacja.

INNA MOŻLIWOŚĆ to szukać z włączoną wyszukiwarką w smartfonie. Z nadzieją, że znajdziemy jakiś trop. Czasami będzie to biogram na stronie klubu piłkarskiego, jedyny ślad po kimś ważnym, odnotowany przez przypadek. Tak jak współcześnie np. rok urodzenia, nieogłoszony w oficjalnym biogramie jakiegoś wysokiego rangą urzędnika, ale dostępny na stronach biegów długodystansowych, w których bierze on udział.

Gdyby istniał jakiś gruby tom, omawiający wszystko kwatera po kwaterze, nie byłoby tych detektywistycznych przyjemności. Choć oczywiście jakiś przewodnik, wydany w wieku XXI i uwzględniający wszystkich „ważnych" zmarłych (np. na rok przed jego publikacją), bardzo by się przydał. Wiedeń, na którym Kraków lubi się wzorować, oferuje dwutomową publikację prezentującą miejsca pochówku znanych osób, obejmującą 46 cmentarzy i wydaną po niemiecku oraz angielsku. Nam na razie muszą wystarczyć tablice przy bramach. A przecież miasto jest powiązane z cmentarzami dziesiątkami nici, nie tylko jako zarządca jednostek komunalnych, ale także jako żywy organizm społeczny.

Widać to czasami w oznaczeniach instytucji, opiekujących się grobami swoich zmarłych prezesów, rektorów, dobroczyńców. We flagach Cracovii i Wisły, które zdobią groby piłkarzy i trenerów, w proporczykach szkół i organizacji społecznych. Ta pamięć, często zbyt sformalizowana, pokazuje jednak współczesną społeczną treść pamiętania. Rozumienie instytucji poprzez ich początki i rozwój. Stary jak świat rytuał odradzania się poprzez kontakt z ojcami założycielami i matkami założycielkami. Który czasami bywa poszukiwaniem jakiegoś ułomka sensu, jaki wyparował, zgubił się lub został zapomniany.

JAK ZNALEŹĆ JEDNAK PRZEŁOŻENIE między cmentarzem a miastem materialnym? Choćby sprawdzając miejsca zamieszkania osób pochowanych w grobach przy głównych alejach. Nie jest przecież tak, że wszyscy mieszkali wszędzie. Każde miasto ma „lepsze" i „gorsze" ulice, dzielnice, osiedla. Zmieniają się gusty estetyczne, łatwo odróżniamy to, co uważano za piękne w wieku XIX, od grobowca, który miał przykuwać uwagę w drugiej połowie XX stulecia. Cmentarze zwykle pasują do miast lub do części miast, w których są ulokowane. Tak jest nie tylko na krakowskim Salwatorze czy w Podgórzu, ale także w nowych dzielnicach.

Cmentarz Rakowicki ma rozmiar dostosowany do Krakowa dawnego, XIX-wiecznego, a może jeszcze przedwojennego – tego, w którym nie ma Nowej Huty i kilkunastu uczelni, który nie jest, jak dziś, prawie milionowym już miastem z dużą półmilionową aglomeracją.

Ale pozostaje on żywy, dzięki nowym pochówkom – osób znanych i tych niemal anonimowych – i mówi nadal wiele o pozycji tego miasta w przestrzeni kulturalnej, intelektualnej i politycznej kraju. Jest zapisem, z którego można doczytać się, jak to miasto zostało „zrobione", z jakich ludzkich pomysłów i natchnień czerpało swój rozwój.

Cmentarz daje się przeczytać nie jako gotowa instrukcja, ale zbiór intelektualnych ćwiczeń, po których można budować miasta i kraje, instytucje i ruchy społeczne. Nie jest miejscem nostalgii i zadumy, ale refleksji nad życiem, która służy życiu. Tylko musimy nauczyć się go czytać na nowo. © RAFAŁ MATYJA

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 13/21 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Mirosławie Barbarze Podwysockiej, zm. 17 grudnia 2018 r., ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ulicy Bitwy Warszawskiej 4/42, c. Romualda Podwysockiego i Heleny z d. Jachimskiej. W skład spadku wchodzi własność lokalu mieszkalnego w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ĆWICZ UMYSŁ + CIESZ OKO!

DOWOLNE 3 WYDANIA

PAKIET CZTERECH ZA 77 ZŁ

„Wiślna 12” – zeszyt o historii „Tygodnika” GRATIS do zakupów.
Zamów pakiet złożony z wydania „Ciało się udało” i trzech wybranych przez siebie wydań specjalnych (w cenie za pakiet 77 złotych), a my dorzucimy „Wiślną 12” i opłacimy przesyłkę. Czekamy na Twojego maila pod adresem: zamowienia@tygodnikpowszechny.pl – my zajmiemy się resztą.

W promocji można zamówić następujące wydania specjalne: „Wiara dla dorosłych”, „Moc mózgu”, „Smak wolności”, „Halo tu Ziemia”, „W drogę”, „Wszystko, co wiemy”, „Kanon 1”, „Kanon 2”, „Rozmowy na temat”. Oferta ważna do wyczerpania nakładów.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

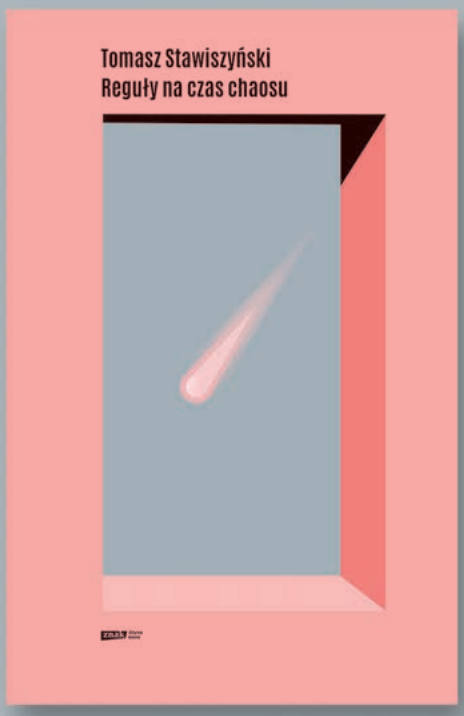

Rabat 40% dla czytelników „Tygodnika Powszechnego”
Kod: **stawiszynski**
Ważny do 10.11.2022 tylko na znak.com.pl

KSIĄŻKA, KTÓRA NIESIE POCIESZENIE W TRUDNYCH CZASACH

- Gdzie szukać sensu, gdy zewsząd zalewają nas złe wiadomości?
- Jak odnaleźć równowagę w niestabilnym świecie?
- Komu i czemu ufać, gdy w najlepsze trwa ogólnoświatowa wojna informacyjna, nadciąga kryzys ekonomiczny, a nasza planeta płonie?

KRÓTKI PRZEWODNIK DLA TYCH, KTÓRZY CZUJĄ LĘK I NIEPEWNOŚĆ

znak litera nova

„TP” 20/2022

Piękny powrót do siebie

Minęło sporo lat od mojej operacji tętniaka mózgu, kiedy – tak jak ks. Adam Boniecki – walczyłem o odzyskanie pamięci. O każde słowo. A dużo ich wywiało z mojej głowy. Inwazyjna operacja. Krew. Płyn mózgowy. Morfina. A potem wszystko – podobnie jak w historii Księdza – zniknęło. Niebieski katechizm. Kościół hierarchiczny. Autentyczność przekazu ewangelicznego. Wiara. W to miejsce zagnieździło się zwątpienie. A potem myśl: Bóg, tworząc świat, tworzy Siebie, więc nie istnieje starotestamentowy staruszek bawiący się plagami egipskimi, wypalaniem Sodomy, karzący ród ludzki potopem. Nie ma osoby, ale jest relacja. Są interakcje. W takim razie „trwać” poszło do lamusa, bo od czasu prawybuchu, od początku historii zbawienia rozpoczęło się nieodwołalne „być”. Oznacza ono dramatyczne konstytuowanie się Boga. A mój w tym udział? Być człowiekiem dobrej woli? Być w relacji dobra z innymi? Jedno jest pewne: „wszystko, o czym rozmawiamy – mówi w wywiadzie z Anną Goc Redaktor Senior – sprowadza się do rzeczy bardzo ludzkiej: jak najlepiej odpowiedzieć na oczekiwania Pana Boga”. Drogi Księże Adamie, udzielając szczerego wywiadu, nakarmiłeś nas swoją dobrocią (norwidowską!). Mnie też. Dlatego mimo różnicy wieku ośmielam się dzielić z Tobą po/neurologiczną teologią, w przekonaniu, że nie jest zbyt pewna siebie, przemądrzała, i że jakoś tam pasuje do życia. Dziękuję za piękny „powrót do siebie”.

MIROSŁAW

Wspomnienie

W tej rozmowie szczególnie poruszyły mnie opowieści z dzieciństwa, bo łączą się z moją babcią i dziadkiem. Dziadek był przed wojną komendantem posterunku Policji Państwowej w Potworowie i przyjaźnił się z ojcem ks. Adama. Babcia z kolei, jako świetna krawcowa, szyła i naprawiała ubranka małego Adasia i rodzeństwa. Pan Boniecki (ojciec) prawdopodobnie uratował życie jednej z córek babci (siostrze mojej mamy), gdy po ciężkim urazie głowy bez namysłu zawiózł ją swoim samochodem do szpitala w Radomiu. Później, gdy wybuchła wojna, bezinteresownie oddał furmankę z woźnicą, by babcia z małymi córkami mogła uciekać przed hitlerowcami (dziadek zginął w Ostaszkowie). Wspominaliśmy te chwile w czasie spotkania ks. Bonieckiego w Piekarach Śląskich. Cieszę się z powrotu Księdza do zdrowia.

JERZY

Zdrowia ducha, umysłu i ciała

Niezwykle ucieszyłam się widząc na okładce ks. Adama – jestem taka szczęśliwa. Czytając tę rozmowę, czułam się, jakby bardzo bliska mi osoba wróciła do zdrowia. Tamtego pamiętnego dnia w Rzeszowie, jak wiele innych osób, przyszłam na spotkanie [chodzi o marcowe spotkanie z czytelnikami, na które ks. Boniecki nie dotarł z powodu nagłego zdrowotnego kryzysu – red]. Życzę Księdzu, jak to sam kiedyś pięknie powiedział, zdrowia ducha, umysłu i ciała.

AGNIESZKA

Dyskrecja

Pragnę wyrazić słowa uznania wobec ludzi tworzących „Tygodnik Powszechny”. Państwa dyskretne zachowanie dotyczące choroby ks. Bonieckiego było pełne szacunku i kultury. W czasach, gdy bez żenady opowiada się o chorobach bliskich (często bez ich zgody), jesteście wyjątkiem czekając, aż wypowie się sam zainteresowany.

HENRYKA

Pomagacie zrozumieć świat

Chciałbym podziękować za całą pracę, którą wkładacie w tworzenie „Tygodnika Powszechnego”. Jest to najchętniej czytany kawałek papieru w mojej rodzinie i co tydzień wszyscy czekają, aż listonosz przyjdzie z prenumeratą, następnie jest komisyjne ocenienie komiksu pana Bartosza Minkiewicza (oceny to „w punkt”, „oooo, dobre” lub po prostu śmiech) i zaczyna się walka, kto pierwszy będzie czytał „Tygodnik” do kawusi. Jestem patronem Podkastu Powszechnego i bardzo lubię słuchać cyklu Jagielski Story. Ostatnio Panowie zrobili dwuodcinkowy podkast o Al-Kaidzie, a red. Wojciech Jagielski wypowiedział zdanie, które utkwiło mi w pamięci: że – parafrazując – łatwiej jest się czegoś bać, niż próbować to zrozumieć. Uważam, że wszyscy powinni to zdanie usłyszeć. W świecie, który robi się coraz bardziej skomplikowany, warto zadać sobie trud i spróbować zrozumieć. „Tygodnik” (czy to w papierowym wydaniu gazety, czy za pośrednictwem podkastów) to rozumienie ułatwia. Dziękuję Panom Jagielskiemu i Storemu za całą pracę włożoną w podkast. Czekam na więcej!

PIOTR

Ewangelicki i ewangelikalny

Doma Matejko opisując „Dwie Brazylie” powołuje w tym latynoskim kraju do życia „Kościół ewangelicki”, którego wyznawcami rzecz jasna są „ewangelicy”. Autorka popełnia ten sam błąd, co niektórzy relacjonujący anglosaskie realia religijne z *evangelicals*, czyli „protestantami ewangelikalnymi”. Tak hiszpańskojęzyczni, jak i portugalskojęzyczni *los evangelicos* to również „protestanci ewangelikalni”, „chrześcijanie ewangelikalni” lub „ewangelikałowie” – żadnego zaś jednego „Kościoła” nie tworzą, bo albo dominują w różnych tamtejszych wyznaniach protestanckich, albo tworzą własne denominacje, przeważnie pentekostalno-charyzmatyczne. Polski jest tu bogatszy i zna dwa pojęcia wyznaniowe pochodzące od Ewangelii: ewangelicki, czyli protestancki (raczej używane w kontekście kontynentalnej Europy) i ewangelikalny, czyli odnoszący się do ewangelikalizmu, nurtu pobożnościowego wewnątrzprotestanckiego. Upraszczając, po polsku każdy ewangelikał jest ewangelikiem, ale nie na odwrót – w kontekście latynoamerykańskim chodzi zaś o ewangelikałów, nie wszystkich protestantów, których i tak tam byśmy mianem ewangelików nie nazywali. A „TP” i tak się trzyma, dostarczając niezwykle ciekawe treści do przemyśleń. Tak trzymać!

TOMASZ

NIEŻYWI, NIEUMARLI

94-letnia mniszka buddyjska Gongga 11 kwietnia 1997 r. siadła po raz ostatni w pozycji medytacyjnej w swojej ulubionej świątyni w tajwańskim mieście Tainan. I wciąż tam siedzi.

ŁUKASZ LAMŻA

To zjawisko nie ma jednej nazwy i jednego wyjaśnienia. Przedstawiciele *shingon*, jednego z odłamów japońskiego buddyzmu, mówią o *sokushin-jōbutsu* – kontrowersyjnej doktrynie, wedle której można stać się Buddą we własnym ciele, a jedną z dróg prowadzących do tego stanu jest wygaszenie aktywności i zastygnięcie w bezruchu. Dżiniści, wyznawcy jednej z najstarszych żywych religii Indii, znają ślub *samlekhana*, polegający na całkowitym wyrzeczeniu się pokarmów i napojów, którego ukoronowaniem jest *samadhi-marana*, śmierć w stanie skupienia medytacyjnego. Praktyczni zachodni naukowcy stosują zaś termin *automummification*, koncentrując się, co łatwo im wybaczyć, na cielesnym aspekcie omawianej tu przemiany.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że wszystkie te nazwy i uzasadnienia są ostatecznie wtórne wobec zjawiska, które poprzedza naukę, filozofię i teologię i jest przez nie tylko niezdarnie przybliżane. Świadczy o tym już choćby sam fakt, że „żywe mumie" spotkać można w kulturach tak od siebie odległych, jak indyjski dżinizm, chiński taoizm i japoński buddyzm, a także pewne zdumiewające podobieństwa, które wykraczają poza poziom językowych i teoretycznych uzasadnień. Nie jest to zresztą zaskakujące. Historycy idei od dawna wiedzą, że rytuał jest trwalszy od doktryny. Można też ogólniej: jeśli chcemy zrozumieć człowieka, przyjrzyjmy się temu, co robi, a nie temu, co mówi.

Wygaśnięcie świecy

Mogłoby się zdawać, że najłatwiej zrozumieć przemianę cielesną – rozpocznijmy więc od niej. W tym pierwszym przybliżeniu automumifikacja to procedura długotrwałego wyniszczenia organizmu, kończąca się zaprzestaniem funkcji życiowych. Nie jest to jednak śmierć z głodu i pragnienia w takim sensie, w jakim spotkałaby nas, gdybyśmy od tej chwili zostali pozbawieni pokarmu i wody. Przemiana, o której mówimy, jest rozciągnięta na wiele miesięcy lub lat, metodyczna i dobrowolna, a towarzyszy jej równoległa wędrówka psychologiczna i duchowa, wskutek której trudno ograniczyć się do czystych kategorii metabolicznych.

Kluczową ideą, którą należy sobie przyswoić, jest względność pojęcia potrzeby, również fizjologicznej. Potrzeba przestaje nią być natychmiast, gdy tylko przestajemy pożądać jej przedmiotu – podobnie jak ból nie jest bólem, jeśli nie boli. Systematyczna asceza, znana ze wszystkich bodajże kultur, to zaś nic innego jak sztuka stopniowego eliminowania potrzeb poprzez dwutorową procedurę trenowania ciała, aby znosiło kolejne braki, aż przestaną nimi być, oraz umysłu, aby oduczył się przywiązania.

W kontekście indyjskim praktykę taką określa się słowem „joga", a „Jogasutry",

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Mumia mnicha Shinnyokai Shonina ze świątyni Dainichibo. Japonia.

najsłynniejszy klasyczny podręcznik tej sztuki, definiują ją jako „powściągnięcie zmian umysłu". Piękne sanskryckie słowo *nirodha*, tłumaczone zwykle jako „powściągnięcie", etymologicznie oznacza raczej „wygaszenie" – pomyślmy o tym, co dzieje się w momencie wypalenia się świecy. Buddyści doprecyzowują też w Drugiej Szlachetnej Prawdzie, że przyczyną niespokojnego umysłu są *tanhā*: pragnienia, pożądania, przywiązania.

Dopiero z tej perspektywy zrozumiałe się staje, czym właściwie jest proces stopniowego wygaszania funkcji swojego organizmu. Chrześcijaninowi łatwo jest nabrać błędnego przekonania, że celem coraz to bardziej rygorystycznych postów i wyrzeczeń jest umartwienie organizmu – co znajduje uzasadnienie w chrześcijańskiej teologii, w której tak ważną rolę odgrywają cierpienie, ból czy ofiara. Dlatego od dwóch tysięcy lat kolejne pokolenia teologów podkreślają, że Jezus, mimo swej boskiej natury, naprawdę cierpiał i przeżywał prawdziwy ból.

Buddyjski czy dżinijski asceta, jeśliby „cierpiał głód", dowodziłby tym samym, że niewystarczająco opanował swój umysł. Siddhartha Gautama, pierwszy historyczny Budda, przestrzegał przed nadmierną ascezą: w sutrze „Mahāsaccaka" porównał głodnego, zziębniętego i zbolałego ascetę do wilgotnego kawałka drewna. Tak jak nie da się wykrzesać ognia z wilgotnego drewna, tak i nie wykrzesze się oświecenia z udręczonego ciała. Paradoksalnie, kto nie potrafi zadowolić swojego ciała, coraz silniej oddaje się pod jego panowanie. Stąd też kuglarze indyjscy nie przebijają się szpikulcami, by pokazać, jak dobrze znoszą ból, lecz aby pokazać, że w ogóle go nie odczuwają – choć można wątpić, czy publiczna demonstracja swojego zaawansowania medytacyjnego mieści się na Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżce: podobnie ktokolwiek jest dumny z tego, że ćwiczy jogę, postępuje jak alkoholik wychylający kielich za powodzenie swojej abstynencji. Zaawansowany jogin nie powinien lubić jogi, a buddyzm przestrzega nawet przed przywiązaniem do medytacji.

Obezwładniony lew

Teraz możemy już chyba przyjrzeć się samemu procesowi automumifikacji. Zacznijmy od dżinizmu, nazywanego czasem „starszym bratem buddyzmu", choć Mahawira, historyczny założyciel tej religii, żył prawdopodobnie mniej więcej wtedy, kiedy Siddhartha Gautama. O ile jednak Budda przestrzegał przed wyniszczaniem organizmu, dżiniści uczynili z postu i głodu niemalże ryt religijny.

Na pytanie, które fascynuje chyba każdego, kto usłyszał o doktrynie wędrówki dusz – czy po śmierci mogę się wcielić naprawdę we wszystko? – dżiniści, jako jedyni, odpowiadają konsekwentnie: tak. Dusze niegdyś ludzkie mogą spoczywać nie tylko w zwierzętach, ale również ↦

roślinach, a nawet w chmurze i deszczu. Półlegendarny dżinijski mędrzec Umaswati głosił, że najmniejsza drobina pyłu ma duszę – choć nie ma umysłu. Pożywianie się jako takie jest więc zawsze przynajmniej trochę złe: każdy pokarm powstaje wskutek pozbawienia jakiejś istoty życia.

Post od zachodu do wschodu słońca to drobiazg, oczywistość wręcz. W pismach tej religii znajdują się niezliczone coraz bardziej wyrafinowane formuły postu, tworzone z ewidentnym zapałem estetycznym. Odważniejsi decydują się więc na post *kavala-candrayana* – „podążanie kęsów za księżycem". Tylko w dzień pełni spożywamy cały posiłek, a następnie z każdym dniem coraz mniej, proporcjonalnie do odchudzającego się sierpa księżyca. Nów to dzień postu całkowitego – i dopiero nazajutrz możemy włożyć do ust pierwszy, najdrobniejszy kęs pokarmu. Punnata Dżinasena w eposie „Opowieści o rodzie Hariego" opisuje *simha-niskridita* – „post obezwładniający lwa". Trwa on 557 dni, w trakcie których spożywa się łącznie 61 posiłków.

I to jednak tylko półśrodki. Ukoronowaniem życia jest *samlekhana*, czyli ślub całkowitego wyrzeczenia się pokarmu i napojów. Mnich po uzyskaniu zgody przełożonego – a dżinista świecki: zgody nauczyciela duchowego i rodziny – wygłasza ślubowanie samlekhany: „Dopóki żyję, wyrzekam się wszelkiego jedzenia, czterech jego typów: pożywienia gotowanego, wody, warzyw i przypraw – porzucam je do ostatniego wdechu i wydechu".

Od tego momentu człowiekowi nie jest już potrzebne nic: jeśli ślubujący mnich należał do świetambarów, odrzuca cztery posiadane przez siebie przedmioty: szatę, miseczkę żebraczą, miotełkę *rajo-harana* – którą omiatał wszystkie powierzchnie, by siadając, nie rozgnieść żadnej istoty – oraz *mukha-pattika* – muślinową maseczkę na usta, dzięki której nie wdychał owadów. Dołącza tym samym do nieposiadających nic digambarów, „odzianych jedynie w wiatr", dla których miseczką żebraczą jest dłoń. Zaprzestanie wszelkich czynności oznacza, że nie jest już produkowana karma, będąca wszak zawsze skutkiem jakiegoś czynu. Nie ma czynu – nie ma karmy. Nie ma karmy – koło samsary staje w miejscu. Gdy ustaną nawet czynności fizjologiczne, pogrążony w skupieniu medytacyjnym dżinista osiągnie *samadhi-marana*.

Lakierowany budda

Po drugiej stronie kontynentu azjatyckiego, na wyspach japońskich, do złudzenia podobna procedura wyciszania organizmu została w ciągu wieków doprowadzona do postaci niemalże technologii. Choć główne szkoły buddyzmu nie sympatyzują z automumifikacją – zwaną technicznie *sokushin-jōbutsu* lub, krócej, *sokushinbutsu* – znalazła ona swoje miejsce w *shugendō*, specyficznie japońskiej szkole duchowej, w której w jedno splatają się tradycyjne lokalne wierzenia shinto z importowaną filozofią buddyzmu, zwłaszcza jej japońską odmianą o nazwie *shingon*. Na Tajwanie pokrewna procedura występuje z kolei w jednej z lokalnych odmian buddyzmu tybetańskiego: to jego wyznawczynią była Shen Shuwen, znana też jako Starsza Gongga, oraz szereg innych tajwańskich „zmumifikowanych buddów".

Wyznawca decydujący się na osiągnięcie stanu Buddy we własnym ciele przechodzi przez wieloletni proces stopniowego ograniczania diety, najpierw do wegetariańskiej, następnie wegańskiej, aż ostatecznie z pokarmu usuwane są także wszystkie zboża – to etap określany jako *mokujiki-gyô*. Od tego momentu przyjmowane są też czasem dodatkowe pokarmy, których znaczenia dietetycznego nie sposób zrozumieć, jednak które nabierają sensu, jeśli zrozumie się je jako przygotowanie do mumifikacji.

Jeden z najbardziej znanych zmumifikowanych mnichów *shingon*, Honmyô-kai Shônin, w 1673 r. rozpoczął etap *mokujiki-gyô* i przez osiem ostatnich lat życia ograniczył swoją dietę do jagód, nasion oraz żywicy i kory sosny. Te dwa ostatnie składniki mogą dziwić, jednak przestają, jeżeli zestawi się je z innymi doniesieniami. Opisano, że przygotowujący się do medytacyjnego ususzenia wyznawcy *shugendo* piją „herbatę" z drzewa urushi. Prawdopodobnie mowa po prostu o soku tego drzewa, które nosi łacińską nazwę *Toxicodendron vernicifluum*, a z którego na Dalekim Wschodzie przygotowuje się lakier. Chemicznie składnikiem jego soku jest urusziol: żółtawa, oleista mieszanina lipidów aromatycznych, wywołująca u ludzi silne podrażnienie

FOT. JACEK TARAN // REKLAMA

Wesprzyj Festiwal Conrada!

Od 24 do 30 października spotykamy się na Festiwalu Conrada. Możesz wesprzeć powstawanie największego festiwalu literackiego w Polsce i zdobyć niepowtarzalne festiwalowe pamiątki, biorąc udział w aukcjach na stronie Partnera Strategicznego Festiwalu – Allegro.pl

Wylicytuj **LAMPĘ FESTIWALOWĄ** z autografami gościń i gości 10. edycji Festiwalu Conrada.

Rozważ pozostałe oferty: **PAKIET KSIĄŻEK UHONOROWANYCH NAGRODĄ CONRADA**, łącznie ze zwycięską książką tegorocznej edycji, **RĘKODZIELNICZE WYCINANKI** poświęcone postaci i twórczości Josepha Conrada, przygotowane przez kurpiowską Gminę Kadzidło.

KUP FESTIWALOWE CEGIEŁKI – cyfrowe „bilety dobrej woli" i buduj Festiwal Conrada z nami!

CONRADFESTIVAL FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO allegro

Więcej informacji na:
allegro.pl/zobacz/conradfestival

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Miniatura z portretem Mahawiry, założyciela dżinizmu. Radżastan, ok. 1900 r.

i reakcje alergiczne. Spożywanie tego płynu trudno zrozumieć inaczej niż jako próbę chemicznego utwardzenia się – polakierowania się od środka. Komentatorzy zauważają ponadto, że wywoływane przez „herbatkę" wymioty przyspieszają proces odwodnienia.

Gdy wie się już, czego szukać, kolejne przykłady znaleźć nietrudno. W „Jikkin-sho", zbiorze legend skompilowanym w okresie Kamakura (1185-1337), zamieszczono opowieść o buddyjskim mnichu, który zamieszkiwał w górskiej świątyni Kongō-ji w prefekturze Osaka i z czasem zastygł w bezruchu w swojej samotni. W ostatniej fazie życia jego jedynym pokarmem miały być igły sosny. W „Kao-Seng-Chuan", spisanym w VI wieku zbiorze opowieści o 257 chińskich świętych mężach, przytoczono, jaką dietę przyjął przed śmiercią mnich taoistyczny Tan Tao-kai: „całkowicie przestał jeść zboża i wystarczały mu rzeczy takie, jak szyszki cyprysu i żywica sosny". Mnich zmarł w 359 r., a uczniowie złożyli jego ciało w grocie na górze Lo-fu. Gdy po czterech latach odsunęli kamień, Tan Tao-kai wciąż nie wykazywał śladów zepsucia. Warto przytoczyć podane przez uczniów wyjaśnienie: „Postępowanie nauczyciela było tak szlachetne, że jego ciało było tylko jak łuski zrzucane przez cykadę".

Ciało nieulegające po śmierci zepsuciu to w wielu kulturach niezawodny dowód świętości. Gdy mnich *shingon* wstępuje na ścieżkę *sokushinbutsu*, tradycja nakazuje zamurowanie go w specjalnie przygotowanej krypcie, a następnie regularne wizyty uczniów, którzy sprawdzają, czy ciało wykazuje oznaki rozkładu. Z przytoczonych wyżej opowieści wyraźnie przebija jednak chęć technologicznego wywołania tego stanu, czyli, jeśli wolno mi tak powiedzieć, naruszenie metafizycznych zasad *fair play*.

Czasem zresztą rzekoma automumifikacja dokonuje się cudzymi rękami. Japoński religioznawca Ichiro Hori postanowił szczegółowo zbadać doniesienia o sześciu japońskich „zmumifikowanych buddach" i odkrył, że uczniowie „żywych mumii" bez żadnego skrępowania opowiadają o procedurze zasuszania zmarłego mnicha, przemywania słoną wodą, okadzania go dymem i późniejszego ustawiania w pozycji medytacyjnej. Procedury takie bywają skodyfikowane, a nawet ustalone zawczasu z samym zainteresowanym. Przypadki wywołanej całkowicie samodzielnie mumifikacji są niezwykle rzadkie – zdarzają się jednak i to one są dla nas najbardziej interesujące, ponieważ to w nich granica między życiem i śmiercią zostaje rzeczywiście rozmyta.

W jaju siedzi

Wspomniany już wyżej Honmyô-kai Shônin poprosił, aby zamurowano go jeszcze za życia, pozostawiając tylko niewielki otwór, przez który słychać było, jak bezustannie, choć coraz ciszej śpiewa inwokację do Buddy Amitabhy, i delikatnie trąca dzwonek modlitewny, aż stopniowo wszelkie znaki życia ucichły. Gdy uczniowie wiele dni później zajrzeli do środka, stwierdzili, że ich nauczyciel nie porusza się, jednak nie zdradza żadnych oznak świadczących o śmierci. Należy uznać, że to ten właśnie paradoksalny stan – nie żyje, ale i nie umarł – jest ostatecznym celem i istotą przemiany, o której tu mówimy.

Ważna będzie dla nas historia samego założyciela *shingon* – japońskiego mnicha Kōbō Daishiego, znanego też jako Kūkai, żyjącego na przełomie VIII i IX wieku n.e. W ostatnich miesiącach życia Kūkai całkowicie zrezygnował z pożywienia i napojów, siedząc w pozycji medytacyjnej w coraz głębszym *samadhi*. Jak opowiadali później jego uczniowie, „jego postawa nie ulegała zmianie, jego twarz była tak spokojna i stabilna jak zawsze. Jego oczy były zamknięte i wyglądał po prostu jak śpiący mężczyzna, choć z czasem oddychał coraz wolniej i wolniej". Odnotowana w tradycji data jego „śmierci" to 22 kwietnia 835 r., jednak uczniowie zaglądający później do groty, w której go zamknięto, nie tylko nie stwierdzili oznak śmierci, ale orzekli, że włosy wciąż mu rosną, choć znacznie wolniej niż za życia. Shingoniści uważają, że Kūkai nigdy tak naprawdę nie umarł, lecz, zgodnie ze swoją zapowiedzią, czeka na przybycie następnego Buddy, zwanego w Indiach Maitreja, a w Japonii Miroku.

Sugestywne są też ostatnie słowa, które pozostawił po sobie w testamencie Cihang – tajwański mnich, który stał się „żywą mumią" w 1954 r.: „Nie opuszczę tego świata, dopóki pozostaje na nim choć jeden człowiek, który nie przyjął Dharmy". Cihang zostawił też wyraźne instrukcje: po „śmierci" ciało jego miało zostać zamknięte w pojemniku o kształcie wielkiego jaja, a po trzech latach komisyjnie otwarte i poddane inspekcji. ↦

↦ Procedurę tę udało się przeprowadzić dopiero 19 maja 1959 r. w atmosferze napiętego oczekiwania – czy ciało rzeczywiście uległo mumifikacji? Ostatecznie spośród 202 zgromadzonych mnichów 162 zagłosowało za otwarciem pojemnika. Ciało Cihanga nie nosiło istotnych śladów zepsucia i wciąż siedziało w pozycji lotosu i swobodnie opuszczonymi rękami, choć mocno wysuszone i czarnobrązowe. Stwierdzono też, że od momentu zapieczętowania jaja Cihangowi urosły włosy na głowie, brwi oraz broda.

Przemiana taka może wydawać się niepokojąca, jednak doświadczony fizjolog może rozpoznać w niej cechy powszechnego zjawiska biologicznego, jakim jest anabioza – zawieszenie życia na czas nieokreślony. Wiele organizmów w reakcji na określone warunki decyduje się na spowolnienie, a nawet zatrzymanie wszystkich swoich funkcji życiowych. Skromną próbką „życia utajonego" jest hibernacja, ale to niewłaściwy trop: zwierzę przygotowujące się do „snu zimowego" gromadzi zapasy energii. Prawdziwej anabiozie towarzyszy raczej utrata masy ciała i, zwłaszcza, wilgoci. Niesporczak potrafi odwracalnie stracić nawet 99 proc. wody i obniżyć swoją aktywność metaboliczną dziesięć tysięcy razy, a następnie „wybudzić się" kilkadziesiąt lat później. W 2018 r. doniesiono o ożywieniu nicieni, odwodnionych i zamrożonych w syberyjskiej zmarzlinie przez 42 tys. lat. Biologia przewiduje więc możliwość uniknięcia śmierci poprzez jej (nieograniczone?) odwleczenie.

Choć człowiek, jako ssak, nie ma do dyspozycji takiego programu metabolicznego, jest też ssakiem szczególnym, zdolnym do kontrolowania fundamentalnych procesów życiowych za pomocą metod nieznanych innym zwierzętom. Najbardziej twardogłowy racjonalista przyzna, że mnich obniżający sobie siłą woli tętno czy temperaturę ciała inicjuje te procesy w regionach układu nerwowego innych niż pień mózgu czy przysadka – głęboki stan medytacyjny to tylne wejście do mechanizmów kontroli ciała.

Kuglarze indyjscy nie przebijają się szpikulcami, by pokazać, jak dobrze znoszą ból, lecz aby pokazać, **że w ogóle go nie odczuwają.**

Czy możliwe jest wprowadzenie się w stan zawieszonego życia na drodze ćwiczeń duchowych? Opisano w dobrych źródłach medycznych przypadki głęboko medytujących joginów, którzy są w stanie skrajnie spowolnić swój oddech czy wytrzymywać wiele godzin w zabójczej temperaturze lub atmosferze; są znane pojedyncze przypadki wstrzymania akcji serca siłą woli. Nie wydaje się jednak, abyśmy mogli dowolnie daleko rozciągać czysto fizjologiczne wyjaśnienia fenomenu zmumifikowanych buddów. Nastał już ponadto czas, aby zadać pytanie znacznie ważniejsze niż „jak?". Pytanie to brzmi: „dlaczego?".

Czas rozcieńczony

Słowa Kūkai i Cihanga naprowadzają nas na buddyjskie wyjaśnienie, dlaczego człowiek na najwyższym stopniu rozwoju duchowego miałby zdecydować się na automumifikację – z powodu współczucia. W buddyzmie mahajany bodhisattwa to człowiek, który wstąpił na ścieżkę oświecenia dla dobra wszystkich świadomych istot. Nawet więc po osiągnięciu najwyższych stadiów tej ścieżki, które precyzyjnie wymienia „Daśabhūmikasutra", „Sutra o Dziesięciu Etapach" – a więc wtedy, gdy potrafi już w ułamku czasu otrzymać błogosławieństwo stu Buddów, wprowadzić w wibrację sto światów, żyć przez sto eonów i otworzyć sto drzwi doktryny – bodhisattwa wciąż nie opuszcza świata ziemskiego, ponieważ oznaczałoby to zejście z obranej ścieżki.

Gdy w pierwszych wiekach po przyjściu Mesjasza apostołowie przemierzali Eurazję z Ewangelią na ustach, logicznych Greków w doktrynie chrześcijańskiej najbardziej odrzuciło stworzenie z nicości. Mahajanistów – Nauczyciel, który opuścił swoich uczniów, w niebo wstępując. Bodhisattwa zbyt silnie współczuje swoim braciom i siostrom, aby całkowicie ich opuścić, a nawet siedząc w bezruchu promieniuje zrozumieniem i ułatwia im wstąpienie na ścieżkę Dharmy.

Jeśli wciąż trudno nam zrozumieć, jak można wytrwać w takim stanie przez setki tysięcy lat, które, jak twierdzą niektórzy, miną przed przyjściem Buddy-Maitreji, przypomnijmy sobie naukę o względności czasu. Wiemy dziś, że gdy materia nieograniczenie skupia się w jednym miejscu, przyglądający się jej z oddali obserwator ujrzy, że w otoczeniu tego osobliwego punktu czas nieograniczenie zwalnia, choć gdybyśmy to my sami znajdowali się w miejscu tej niezwykłej koncentracji masy, wciąż odczuwalibyśmy w piersi zwykłe bicie swojego serca. To byłaby chyba matryca najlepiej przemawiająca do naszej współczesnej wyobraźni – wystarczy przyjąć, że analogiczny proces może nastąpić również wskutek nieograniczonej koncentracji duchowej.

Dżinista wiele tygodni po wygłoszeniu formuły *samlekhana*, będący już na progu *samadhi-marana*, taoistyczny mnich niemal całkowicie wysuszony po latach popijania sosnowego soku, wyznawca *shugendo* zamknięty w swojej krypcie i prawie już nieporuszający ustami, tak że tylko nieznaczny ruch powietrza znaczy kolejne sylaby mantry – każdy z nich z upływem kolejnych godzin, dni i lat coraz silniej rozrzedza swój wewnętrzny zegar, aż ostatecznie dla zgromadzonych wokół uczniów wydaje się, jakby on ustał. A ponieważ, w przeciwieństwie do zastygłego w gawrze niedźwiedzia, w stan ten wprowadziła ich praktyka duchowa, a nie sygnał chemiczny, również impuls duchowy jest potrzebny, aby ich z tego stanu wybudzić.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygn. akt I Ns 185/21, na wniosek Zakładu Ubezpieczeń Społecznych Oddział w Siedlicach, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Karpińskim, zm. 10 marca 2020 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w miejscowości Chrośla.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 44/2022

Książki w tygodniku

Na początku był rytm

MONIKA OCHĘDOWSKA

Literatura może mieć moc regeneracji, znoszenia zmęczenia. W ciemności przymkniętych oczu łatwiej poddać się rytmowi, wprawić ciało w relaksujący pląs – zatańczyć.

Piszą o sobie, że są jak Wyspiański na mefedronie. Ciężko konkurować z tak zadziorną frazą. Założyciele klezmerskiej post-rockowej grupy Kirszenbaum – Jakub Wiśniewski i Kacper Szpyrka – nieprzypadkowo potrafią dokonać tak zręcznej autoprezentacji. Skrzypek Szpyrka jest tłumaczem z angielskiego i hiszpańskiego, ostatnio do księgarń trafiła przełożona przez niego książka filozofa i pisarza Miguela de Unamuno „Jak się tworzy powieść". Z kolei Wiśniewski (gitara, stombox) zadebiutował jako prozaik – z początkiem roku ukazała się oparta na biblijnych wątkach „Myja" (Biuro Literackie), jesienią zaś „Robak" (Filtry).

Ale żeby zidentyfikować związki Wiśniewskiego i Szpyrki z literaturą, nie trzeba studiować ich biogramów, wystarczy spojrzeć na tytuły piosenek, które nagrali: „DJ Tołstoj", „Herling", „Franz Pu-Kafka", „Émile Zola & kokakola". Cola nie jest tu zresztą tylko dla rymu do autora „Nany" – ujawnia związki duetu Kirszenbaum z codziennością, dokładnie taką spod znaku myśli brytyjskiego filozofa Marka Fishera, kiedy łatwiej nam jest wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu.

Obok swawolnych nawiązań do klasyków literatury oraz ich dzieł, w piosenkach duetu pojawiają się więc „święci" naszej poczciwej popkultury i właściwie oni wszyscy, nawet jeśli doznają wniebowstąpienia, wydają się nieuleczalnie przygnębieni i samotni. Nikomu niepotrzebny, bezrobotny Batman jeździ bezrozumnie w kółko batmobilem, a Gagarin doświadcza kompleksu kosmonauty – krąży po orbicie, daleko od Słońca. Przed oczami ma tylko spalone gwiazdy.

„Mam osobny plik z pomysłami do piosenek i osobny plik z pomysłami do prozy" – przyznawał w jednym z wywiadów Wiśniewski – ale „zdarzają się między nimi mocno szemrane transfery". Te pokątne transfery sprawiają, że zarówno piosenki Kirszenbaum, jak i proza Wiśniewskiego to podróż do wewnątrz, do tkwiącego głęboko w żołądku jądra

Kirszenbaum – Kacper Szpyrka i Jakub Wiśniewski (na krześle)

MATEUSZ WOLIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

ciemności (autor „Robaka" jest wnikliwym czytelnikiem Josepha Conrada), ku żółci, nikczemności, złu. Bohaterowie Wiśniewskiego są w jakiejś mierze zawsze przegrani, skazani na grawitację, uwięzieni przez „bezprawie fizyki", ale nie słabi, niepozbawieni marzeń. Czasem zimni i bezwzględni, nawet „w piekle spaleni", bo nigdzie nie pasują, ale jednocześnie sportretowani z należną czułością.

Wiśniewski jest dobrym pejzażystą, sprawdza się w kreśleniu rzeczywistości, kilkoma zdaniami sprawnie odtwarza realia czasów i przestrzeni – małe krakowskie bary, stare kafejki internetowe, mroczne zaułki, deszczowe ulice. Tyle że tak naprawdę fotograficzne odwzorowywanie świata go nie interesuje. Realizm jest w jego piosenkach i prozie jedynie punktem zaczepienia, miejscem, w którym przypniemy hak, skacząc w przepaść wibrującej (w muzyce usłyszymy tę intensywność od razu) opowieści – najczęściej snu, ale też przestrzeni wirtualnych. Wiśniewski zachęca: zamknij oczy, poddaj się rytmowi słów, sprawdź, dokąd nas zaprowadzą.

Dla Franza Kafki (pana PuKafki) literatura była zamknięciem oczu, sposobem na wyrzucenie rzeczywistości z umysłu. Dziś, wobec masy hiperwidzialnych obrazów, zamknięcie oczu nie jest na dłuższą metę możliwe, a przynajmniej nie jest łatwe. Szybka zmiana obrazów, a z taką ma do czynienia bohater „Robaka" Wiśniewskiego, bezimienny mężczyzna uzależniony od pornografii, nie pozostawia czasu nawet na mrugnięcia. Przymus bycia obecnym – uczestniczenia, oznaczania się, logowania, tłitowania, ale też bycia usatysfakcjonowanym, przymus osiągnięcia orgazmu – utrudnia sen i jest odpowiedzialny za nasze coraz większe wyczerpanie. „Robak" to z jednej strony metafora zjadającego naszą seksualność kapitalizmu, a z drugiej – każda i każdy z nas zanurzony w długim, wyczerpującym śnie o kafkowskiej przemianie w maszynę, która powinna wytrwale maksymalizować swoją wydajność, także seksualną. Zresztą od surrealistycznego, przedziwnego snu zaczyna się ta książka: dręczącego snu o libido, po którym następuje właśnie karmiona pornografią, jak surowym mięsem, bezsenność – dzikie zwierzę.

Ale może w tym narastającym zmęczeniu, którego doświadczają bohaterowie Wiśniewskiego, ostatecznie jest dla nas jakaś szansa? W końcu – jak pisze Austriak i literacki noblista Peter Handke, a za nim urodzony w Korei Południowej, piszący także po niemiecku, filozof Byung-Chul Han – zmęczenie to „stawanie się dostępnym", „przenikalnym dla świata", dotykanym i dotykającym. Zmęczenie to pozwolenie sobie na zamknięcie oczu. To zmęczenie, o którym piszą Handke i Han, oczywiście różni się od wyczerpania czy wypalenia uniemożliwiającego zrobienie czegokolwiek.

Żeby wyjaśnić tę różnicę i metaforę, Handke przywołuje postać zmęczonego Odyseusza, który w trakcie swojej wędrówki zyskał szczodrość Nauzykai, córki króla Alkinoosa i królowej Arete. Nauzykaja po skończonej pracy bawiła się piłką nad brzegiem strumienia. Gdy piłka wpadła z pluskiem do wody, obudziła skrytego pod kupą suchych liści króla Itaki. Nauzykaja zaopiekowała się nagim, bezbronnym, zmęczonym Odysem, zaprowadziła go do pałacu i nakarmiła, podarowała także naczynie z oliwą, aby mógł się namaścić. Wyjątkowa delikatność sceny z Nauzykają była skądinąd podkreślana przez wielu komentatorów, nie tylko Handkego czy Hana, także Samuela Butlera, autora angielskich przekładów „Odysei", który spekulował, że autorką dzieła mógł być wcale nie Homer, a ktoś taki jak księżniczka, „prehistoryczna Jane Austen".

Znaczyłoby to dla nas tyle, że literatura może mieć moc regeneracji, znoszenia zmęczenia. W ciemności przymkniętych oczu łatwiej poddać się rytmowi, wprawić ciało w relaksujący pląs – zatańczyć. Sprowadzając kwestie z porządku mitu na klubowy parkiet: na jednej z pierwszych polskich płyt z muzyką napisaną dla dyskoteki Halina Żytkowiak – znana z występów z Trubadurami i Amazonkami – radziła: „gdy masz świata dość, zamknij oczy, jakbyś śnił".

Wiśniewski – w duchu „Odysei" skądinąd – lubi powtarzać, że artysta nie musi bawić, ale powinien wabić. Doskonale robi to swoim głosem Piotr Rogucki, który także – jak wokalista Kirszenbaum – śni o robakach, tyle że kolorowych ↦

REKLAMA

Członkowie Rodziny Obrabków bardzo lubią zabierać cudze rzeczy. Po prostu nie potrafią się powstrzymać. W każdym razie tata Zbiro, mama Cela i Elka. Za to Ture lubi robić tylko to, co dozwolone, i nie bierze niczego bez płacenia. W dodatku przyjaźni się z policjantem! Rodzice i siostra trochę się o niego martwią. Co z tego chłopaka wyrośnie?

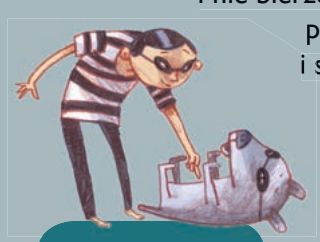

Kryminał na opak!

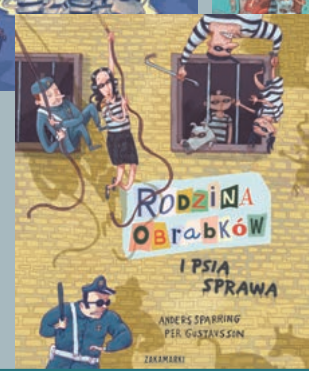

Oto pierwsze trzy tomy serii dla początkujących czytelników oraz do głośnego czytania.

Gwarantujemy dużo śmiechu!

nowość

zakamarki.pl

↦ (utwór „Marianna”). „Tyle tu prądu, cały tu błyszczę” – śpiewa na wydanej właśnie płycie „Czułe kontyngenty” – „tyle tu światła, że zamykam oczy, żeby nie przestać istnieć”.

Dużo w nowych piosenkach duetu Karaś/Rogucki słońca, kolorów, atmosferycznych wyładowań. Po wydanym dwa lata temu „Ostatnim bastionie romantyzmu”, w którym następowały po sobie katastrofy drogowe i klęski żywiołowe, a także wojny i „masowe migracje z Południa”, w „Czułych kontyngentach” Rogucki pozwala uwierzyć, że nadal wokół może być – jakkolwiek naiwnie to zabrzmi i zaszeleści papierem – pięknie. Drogi w jego nowych utworach są proste, woda czysta, ocean spokojny, a każdy przechodzący przez głowę obraz może dostać swoją nazwę, bo „jeżeli zechcę, zamieniam go w wiersze” – oto nowa utopia, nowa Arkadia. Nawet w największym mroku, „gdzieś w piwnicach miejsc, ja widzę światło, które łączy mnie ze wszystkim” – wyznaje były wokalista Comy, który już w „Ostatnim bastionie...” okrzyknął się zawsze dostępną „centralą dobrych uczuć”. Ratunkiem jest miłość, dzięki której „nazywamy rzeczy po prostu”, choć nie bez świadomości, że być może tak jest po prostu lżej.

Co ciekawe, to połączenie wszystkiego ze wszystkim („złote kropki układają się w kosmosie, nareszcie zrozumiałem, że są częścią mnie”), czyli w jakimś sensie także postludzka przyszłość – zupełnie jak cyberpunkom, o których pisze kilka stron dalej Piotr Kofta – nie jawi się Roguckiemu jako zagrożenie, lecz szansa na wyzwolenie. Do tej ożywczej, cyberpunkowej myśli i czasów nawiązuje także muzyka Kuby Karasia – nurzająca się w estetyce lat 80., wiele zawdzięczająca nurtowi new romantic i shoegaze.

Rogucki nie tylko świetnie buduje pluszowy nastrój, potrafi znaleźć wciąż świeże metafory. Pogoda jest w jego tekstach z papieru, lokomotywy przypominają łososie, a miasta kładą się do snu jak smutne psy. I nawet jeśli prawdopodobnie wszystko to dzieje się na niby (nie zapominajmy, że Rogucki nagrał kiedyś płytę z bajkami „Sen o 7 szklankach”), to dzięki czułym kontyngentom, czyli transportom życzliwych słów zawartych na tej płycie, udaje się słuchaczom i słuchaczkom wyrwać na moment z chaosu i codziennego zmęczenia. Ten sam rodzaj bliskości (choć bardziej dekadencki, ciemny i miejski) proponował ostatnio Baasch, czyli Bartosz Schmidt, na płycie „Noc”, regularnie robi to również w swojej twórczości Błażej Król (przykrywający czasem czułość ironią).

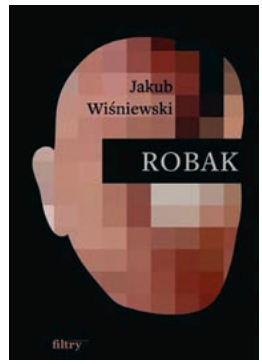

Jakub Wiśniewski
ROBAK
Filtry, Warszawa 2022

Karaś/Rogucki
CZUŁE KONTYNGENTY
Kayax, 2022

Pablopavo i ludziki
MOZAIKA
Karrot Kommando, 2022

Zaskakująco ironiczny jest także na „Mozaice” Paweł Sołtys, autor zbioru opowiadań „Mikrotyki” (nominacja do Nike, Nagroda Gdynia w kategorii proza) oraz „Nieradości” (Czarne 2019). Wyczulony na drobiazgi i niuanse tekściarz Ludzików bawi się tu językiem urzędowym (utwór „Prowadzimy czynności”), ale też popularnymi gatunkami (świetnie wypadają fragmenty rapowane, słuchałabym Sołtysa w duecie z Łoną!). Ale przede wszystkim jest Sołtys, jak w swojej niezwykle czułej prozie, wnikliwym reporterem pospolitości. Zupełnie inaczej niż Wiśniewskiego, autora „Nieradości” najbardziej interesuje czekająca tuż za drzwiami okolica – patodeweloperka, Aldi, Biedronki i Żabka. Mimo tej różnicy wniosek jest dla obu pisarzy ten sam – dla każdej i każdego z nas zostaje w coraz ciaśniejszej przestrzeni tylko tyle miejsca, ile znajdziemy we własnej głowie. Z Roguckim łączy Sołtysa z kolei niezbywalne pragnienie słońca, poszukiwanie mocnego źródła światła. Ale moim ulubionym utworem na „Mozaice” jest wyrażający depresyjny „tumult i szkwał” utwór „Odtąd” z wierszem Marcina Sendeckiego, opowiadający o koszmarze rodzinnego weekendu. Obok tekstów o codziennym zmęczeniu, jest tu niezaprzeczalnie jakaś wabiąca syrenia melancholia.

Kiedy piszę ten tekst, zaczyna się pierwsza edycja nowej, jesiennej imprezy Artura Rojka realizowana we współpracy z Łodzią – festiwal Great September stworzony z myślą o młodych polskich artystach przed debiutem. Organizatorzy nazywają swoje przedsięwzięcie stacją przesiadkową pomiędzy garażem czy piwnicą, w których rodzi się muzyka (choć dzisiaj to już chyba najczęściej laptop), a scenami takich festiwali jak katowicki OFF. Bogaty line-up świadczy o tym, że polska muzyka ma się – również poza rozpychającym się i pęczniejącym wciąż na listach przebojów dość przeciętnym rapem – całkiem nieźle, a szczególnie dobrze ma się w polskiej piosence język. Co ciekawe, również w Łodzi przeprowadzono w zeszłym roku pierwszy Konkurs Songwriterski im. Roberta Brylewskiego. Składanki konkursowej można posłuchać na Spotify. Na początku poczujecie rytm, potem pojawią się słowa.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

WSPÓŁWYDAWCA FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PARTNEREM WYDANIA JEST STOWARZYSZENIE AUTORÓW ZAIKS
zaiks sprzyjamy wyobraźni
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 44/2022
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | SKŁAD: Andrzej Leśniak
KOREKTA: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
OKŁADKA: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / Do Lasu

REKLAMA

DOM WYDAWNICZY REBIS
ZAPRASZA NA TARGI KSIĄŻKI W KRAKOWIE, STOISKO D22

REBIS

Kontynuacja przygód detektywa Williama Warwicka.

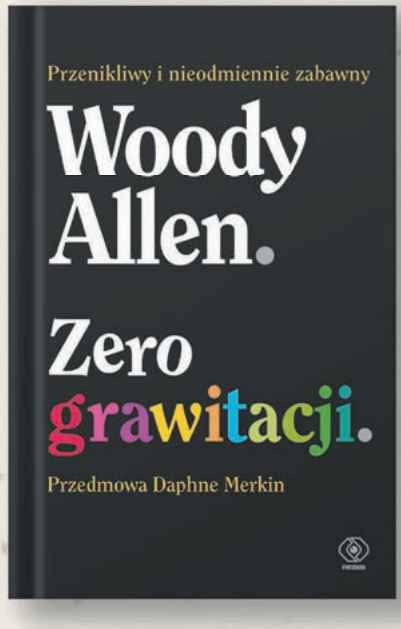

Po piętnastu latach Woody Allen powraca z kolejnym zbiorem humoresek w swoim najlepszym stylu!

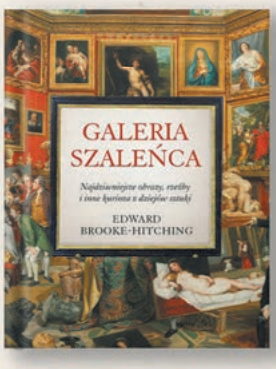

Najdziwniejsze obrazy, rzeźby i inne kurioza z dziejów sztuki.

Francis Drake, Elżbieta I i burzliwe początki brytyjskiego imperium

Osobiste i artystyczne losy najsłynniejszego polskiego rzeźbiarza

Klęski, katastrofy i nieszczęścia na każdy dzień roku

Niezwykłe kobiety w izraelskich tajnych służbach

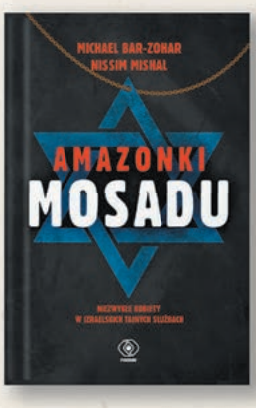

Służby specjalne Rosji w walce o dominację nad światem 1917-2036

JURIJ FELSZTYNSKI
WŁADIMIR POPOW
OD DZIERŻYŃSKIEGO DO PUTINA
SŁUŻBY SPECJALNE ROSJI W WALCE O DOMINACJĘ NAD ŚWIATEM 1917–2036

REBIS Dom Wydawniczy Rebis Sp. z o.o. www.rebis.com.pl FB/REBIS

Fantastyka tubylców

PIOTR KOFTA

Współczesna polska fantastyka naukowa jest otwarta, transgresyjna i programowo niezainteresowana kwestią polskości.

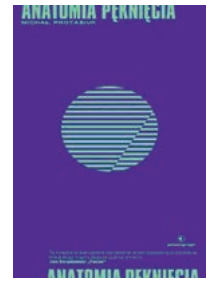

Science fiction zaznało w swojej powojennej historii dwóch kluczowych przełomów. Pierwszym był sformułowany w latach 60., pośród wielu „nowych fal" w sztuce, postulat „nowej fali" fantastyki, który podźwignął literaturę SF z poziomu testosteronowych opowieści o kosmicznych podbojach ludzkości do rangi „fikcji spekulatywnej" (określenie Harlana Ellisona), posługującej się, na równi z fizyką i kosmologią, narzędziami zaczerpniętymi z antropologii, socjologii, feminizmu, religioznawstwa, ekologii, teorii postkolonialnej czy psychiatrii.

Drugim – narodzony w latach 80. cyberpunk, gdy kolejna generacja twórców zorientowała się, że żyje w techno-przyszłości, w przeddzień nastania świata postludzkiego. Cyberpunk brał się z buntu – wymierzonego w przemysł rozrywkowy (osobliwie zaś w nasączone baśniowymi archetypami kino wielkiej przygody spod znaku „Star Wars"), korporacyjny kapitalizm, zimną wojnę, apoteozę chciwego egoizmu epoki Reagana i Thatcher. Cyberpunkom przyszłość – postludzka, cyfrowo-wirtualna, cyborgiczna – nie jawiła się jako jednoznaczne zagrożenie, raczej jako podbudowana anarchią szansa na ucieczkę i wyzwolenie.

Dziś, mimo braku wtyczek w głowach, jesteśmy solidnie okablowani, usieciowieni, wplątani w rzeczywistość social mediów i technologicznych usprawnień. Emocje odczuwamy raczej dekadenckie – doświadczamy pandemii i katastrofy klimatycznej, czekają nas niechybne wielkie migracje i wojny o zasoby. Czeka nas też zapewne Osobliwość – moment, gdy na scenę dziejów wejdzie samoświadoma sztuczna inteligencja i wszystko dokumentnie się odmieni. Współczesna literatura SF pozostaje dłużniczką nowej fali i cyberpunku, ale ich dawne odkrycia stają się współczesnymi banałami: jest to w pewnym sensie, w odniesieniu do świata ogarniętego permanentnym (nie tylko cyfrowym) kryzysem, literatura oswojona, tubylcza, antybohaterska, pozbawiona – rozmyślnie – futurystycznego rozmachu i bardzo mało zainteresowana roztrząsaniem historiozoficznych uwikłań Polski i Polaków, co było znamienne dla lokalnej fantastyki ubiegłych dekad.

Tak jest choćby w świetnym zbiorze opowiadań **„Anatomia pęknięcia" Michała Protasiuka** (Powergraph 2021), rzetelnym SF wychodzącym od naukowego konkretu – do tego stopnia, że Protasiuk w posłowiu omawia literaturę przedmiotu i poleca dalsze lektury (podobnie czyni choćby wybitny kanadyjski twórca SF Peter Watts). Nie jest to jednak, czego można by się obawiać, literatura tendencyjna podszyta scjentystycznym pozytywizmem.

Protasiuk, eksplorując niedaleką przyszłość, ma zmysł dramaturgiczny i dobre pomysły. Koncepty rządzące poszczególnymi opowiadaniami nie przysłaniają tego, że chodzi tu przede wszystkim o próbę zdefiniowania, czym może być normalne życie w świecie, który utracił stabilność i nie da się już w nim, na przykład, przeprowadzić demokratycznych wyborów (opowiadanie „Fikcja polityczna"), ponieważ politycy zyskali pełną wiedzę o naszych preferencjach i, jak pisze Protasiuk, „mogą kierować różne – nierzadko sprzeczne – komunikaty do różnych grup wyborców. Ekstrapolując ów trend do absurdu, można sobie wyobrazić sytuację, kiedy poparcie dla jednego kandydata sięga 100 proc. – jeśli komunikuje się indywidualnie z każdym wyborcą i mówi dokładnie to, co ów wyborca chce usłyszeć". Podobne ekstrapolacje w tej książce dotyczą choćby możliwości sprzężenia sieci informatycznych i biologicznych („Grzybiarze"), sztucznej inteligencji („Ciała za mało", „Sześć") czy nawet praw rządzących historią („Przeciw naturze").

SF – jeśli nie jest po prostu alegorią – uważnie patrzy w przyszłość. Ale sytuacje pełnego odcięcia, sposobność budowy czegoś całkowicie od nowa, to marzenia i mrzonki apokaliptyków, zwykle sprawy mają się inaczej: przyszłość składa się w dużej mierze z pamięci o przeszłości, jest tkaniną indywidualnych i zbiorowych wspomnień, wypadkową minionych decyzji. Lubię książkę, która umiejętnie to pokazuje – „Hello world" Michała R. Wiśniewskiego (Wyd. Krytyki Politycznej 2017). Powieść ta, stanowiąca udany miks narracji obyczajowej i cyberpunkowej fantastyki, przypatruje się przygodom młodzieńczego idealizmu w zderzeniu z twardą rzeczywistością, a ściślej: rodzicielstwem. Towarzyszy kolejnym pokoleniom młodych rodziców – od generacji stanu wojennego, przez millenialsów, po tych, którzy teraz dopiero przychodzą na świat – próbując subtelnie przeniknąć ich pragnienia, intencje, lęki i odziedziczone traumy. Wiśniewskiemu udaje się o tym wszystkim opowiedzieć bez wznecania moralnej paniki, że wszyscy wyginiemy – wręcz przeciwnie, ciekawi go przyszłość, w której posiadanie dziecka z krwi i kości może być gestem kontrkulturowego buntu, demonstracyjnym opuszczeniem świata wirtualnej iluzji.

Moment szokującego wypłynięcia na powierzchnię wirtualnego oceanu opisuje Michał Cetnarowski w powieści „Gnoza" (Powergraph 2021). Bohaterka książki zostaje porwana przez tajemnicze służby specjalne, ale to porwanie jest też aktem odarcia jej z wielu warstw sieciowej toż-

samości – we własnej skórze, „naga”, będzie, początkowo wbrew sobie, coraz silniej angażować się w pewną kosmiczną misję. „Gnoza” to nie tylko spektakularna wizja przyszłości, lecz także dowód na to, jak sprawnie współczesna literatura SF poczyna sobie z refleksją metafizyczną, na różne sposoby zmyślnie tę metafizykę materializując – w powieści Cetnarowskiego zły gnostycki Demiurg naprawdę istnieje: jest tajemniczym obiektem o wewnętrznie sprzecznej fizyce, nawiedzającym Układ Słoneczny. Podobnej materializacji Absolutu przy wykorzystaniu klasycznego w SF motywu odnalezienia artefaktu o nieznanym pochodzeniu dokonuje również Wojciech Gunia (skądinąd jeden z najciekawszych polskich twórców w nurcie new weird) w noweli „Ciemność jest ogromna i cierpliwa” (**„Ku gwiazdom. Antologia Polskiej Fantastyki Naukowej 2021”**, Wydawnictwo IX 2021) – to świetny, sugestywny tekst o bezgranicznej samotności.

Bardzo lubię też powieść „Płomień” Magdaleny Salik (Powergraph 2021), odwołującą się do równie kanonicznego leitmotivu pionierskiej wyprawy międzygwiezdnej. Oto Ziemia wysyła pierwszy w historii statek kosmiczny mający dostarczyć kolonistów na planetę typu ziemskiego w sąsiednim układzie – jest to przedsięwzięcie niezwykle skomplikowane (i Salik znakomicie oddaje tę komplikację, nie popadając przy okazji w technologiczny fetyszyzm) na wielu poziomach, w tym na poziomie etycznym: jeden z awaryjnych scenariuszy ekspedycji przewiduje bowiem zmapowanie mózgów ludzkich operatorów i przeniesienie ich elektronicznych kopii do pokładowych komputerów. Kim będą więc ci, którzy – jeśli coś pójdzie nie tak – dotrą do gwiazd? W tej przyjemnie subtelnej, kameralnej, oryginalnej konstrukcyjnie książce zadaje się najważniejsze pytania filozoficzne.

Gdy myślę o obawach poprzedniego pokolenia fantastów, że czytelników SF zaleje teraz fala tęczowej i dżenderowej perwersji, przychodzi mi do głowy brawurowa **„Selkis” Gai Grzegorzewskiej** (Wydawnictwo Literackie 2022). Jeśli łamać z trzaskiem moralne kręgosłupy, to właśnie tak! Grzegorzewska dotąd pisywała dość łobuzerskie kryminały, jej najnowsza książka to jednak pełną gębą kampowa *space opera* – charakterna Selkis zaś jest przedstawicielką humanoidalnej rasy Scorpów (włochatych i ogoniastych), która w szczególnych okolicznościach, ciężko ranna, trafia na pokład wojskowego krążownika. Ta powieść – bezczelna, zabawna, okrutna – zawiera w sobie i wielopoziomowe śledztwo w sprawie pewnego morderstwa, i elegancki pastisz filmowych widowisk w rodzaju „Star Treka” czy „Battlestar Galactica”, i ognisty romans o mocnym zabarwieniu erotycznym, i czytelne queerowe aluzje, a zarazem stanowi mocny, wręcz dosadny głos przeciw rasizmowi, przemocy i nietolerancji. Ekranizowałbym.

Na koniec zostawiłem książkę, która właściwie fantastyką nie jest, choć zawiera w sobie liczne scenariusze dystopijnych końców świata z udziałem Polaków. Zawiera te scenariusze – i w pewnym sensie je unieważnia. Mam tu na myśli wybitną powieść **„Bella, ciao” Piotra Siemiona** (Filtry 2022), osadzoną w bezczasie i chaosie każdego powojnia historię bezprizornych polskich żołnierzy (spokojnie dałoby się ich nazwać „wyklętymi”), którzy pod samozwańczym przywództwem niejakiego Tyńskiego trafiają do miasteczka Lanzig, gdzieś na Pomorzu. Lanzig – wypalone, na wpół opustoszałe, jeszcze niemieckojęzyczne, co i rusz okupowane przez inne wojska – staje się areną, na której każdy jest, przynajmniej pozornie, zdany tylko na siebie i będzie musiał dokonać iście conradowskiego wyboru (swoją drogą, jakże inaczej mogłaby wyglądać polska literatura, gdyby uważniej i w lepszych tłumaczeniach czytano niegdyś u nas Josepha Conrada).

Rzecz w tym jednak, zdaje się mówić Siemion, celowo uniemożliwiając nam zidentyfikowanie roku, w którym rozgrywa się fabuła „Bella, ciao” – w przeszłości? w przyszłości? – że wygrać można tylko, odważnie stosując reguły gry o sumie niezerowej. A co można wygrać? Skrawek osobistego szczęścia, odrobinę satysfakcji, możliwość zachowania twarzy, czyjąś miłość. I z tych kawałków da się może, ewentualnie, uskładać z powrotem Polskę. „Bella, ciao” to fascynująca powieść o potencjale narodowej i społecznej zgody. Fantastyczna. ©

REKLAMA

Totalnie nie nostalgia

KATARZYNA BOROWIECKA

Polski komiks ma wiele do zaoferowania. Jest tu materiał i na świetny serial wojenny, i na „Z Archiwum X" w realiach PRL-u. Jest też gotowa satyra na środowisko filmowe oraz tych, którzy do niego aspirują.

O tym, że komiksy stanowią niewyczerpany, stale odnawiający się zapas historii dla kina, Hollywood i okolice przekonały się już dawno. Obok najbardziej kasowych i najmocniej promowanych mitów superbohaterskich na półkach z komiksami znaleźć można opowieści o dojrzewaniu osadzone właściwie pod każdą szerokością geograficzną (to m.in. „Koniec zxxxanego świata" Charlesa Forsmana, na podstawie którego powstał serial Netfliksa, czy „Ghost World" Daniela Clowesa), wszelkiego rodzaju wariacje sci-fi, postapo i fantasy, a także wnikliwe analizy współczesności i ludzkiej kondycji – od reportażowych komiksów Guya Delisle'a po nominowaną do Bookera „Sabrinę" Nicka Drnaso. Apetyt studiów filmowych na komiks bywa tak niepohamowany, że twórcy czasem wręcz kreują świat przedstawiony tak, by był niemożliwy do sfilmowania. Tak zrobili Brian K. Vaughan i Fiona Staples w znakomitej serii „Saga".

W Polsce relacje między światem filmu i światem komiksu są nieco mniej dynamiczne, choć zainteresowanie twórców filmowych i serialowych, zwłaszcza tytułami z półki z klasyką i powszechnie rozpoznawalnymi bohaterami, jest niezaprzeczalne. Powstało już 26 odcinków serialu animowanego na podstawie „Kajka i Kokosza" Janusza Christy (Ego Film). To samo studio zapowiedziało film i serial na podstawie serii o Tytusie, Romku i A'Tomku Henryka Jerzego Chmielewskiego.

Do młodej widowni skierowany będzie też „Diplodok" (studio Human) oparty na motywach komiksów Tadeusza Baranowskiego. Wojtek Wawszczyk, reżyser i scenarzysta „Diplodoka", debiutował w 2011 r. animowaną adaptacją komiksu „Jeż Jerzy", reżyserowaną wspólnie z Kubą Tarkowskim i Tomaszem Leśniakiem (współautorem pierwowzoru).

– To był absolutnie szalony eksperyment, coś pomiędzy filmem studenckim a radosną anarchią, świetna szkoła, jakich błędów unikać – wspomina Wawszczyk. Pomysł na „Diplodoka" zrodził się tuż po „Jeżu Jerzym", w 2012 r., pierwsza wersja scenariusza była gotowa dwa lata później. – Trudno było zgromadzić budżet – przyznaje. – Produkcja wystartowała późno, ale dzięki temu mieliśmy długi okres przygotowawczy, precyzyjnie określiliśmy też grupę odbiorców.

Diplodok – projekt postaci do filmu „Podróż smokiem Diplodokiem"

HUMAN ARK / MATERIAŁY PRASOWE

W przypadku ekranizacji kultowych komiksów, a do takich należą te autorstwa Christy, Papcia Chmiela czy Baranowskiego, twórcy z jednej strony mierzą się z kwestią uwspółcześnienia narracji, historii, sposobu opowiadania i przystosowania ich do upodobań młodych widzów, z drugiej zaś czują się zobowiązani odpowiedzieć na oczekiwania widzów dorosłych, napędzanych nostalgią i wspomnieniami dziecięcych lektur.

Wawszczyk z góry założył, że w tę nostalgiczną otchłań wpadać nie chce, więc scenariusz „Diplodoka" napisał na motywach komiksowych historii Baranowskiego, nie trzymając się kurczowo pierwowzoru.

– Ten film ma być uniwersalny, powstaje z myślą o międzynarodowej widowni. Rodzice jego docelowych widzów będą być może musieli pogodzić się z brakiem dowcipu o gąsce Balbince. Premiera zaplanowana jest na rok 2024.

Zdaniem Szymona Holcmana z wydawnictwa Kultura Gniewu „Diplodok" może otworzyć drogę dla innych komiksowych ekranizacji – do tego potrzebny jest duży tytuł na podstawie dużej marki, a takie marki, jak do tej pory, powstały w polskim komiksie właściwie wyłącznie przed 1989 r.

Tymczasem trwają prace nad adaptacjami popularnych współczesnych komiksów dla dzieci: „Ryjówki przeznaczenia" na podstawie Tomasza Samojlika (Ego Film), „Bajki na końcu świata" Marcina Podolca (Ego Film), „Kościska" Karola Kalinowskiego (ekranizacja jego „Łaumy" niestety utknęła w martwym punkcie) czy „Tymka i Mistrza" na podstawie serii Rafała Skarżyckiego i Tomasza Leśniaka. Twórcy oryginałów często są zaangażowani w powstawanie wersji filmowych.

O ile w przypadku produkcji dla młodych widzów most pomiędzy ekranem i komiksem wydaje się trwały i chętnie uczęszczany, historie dla widzów dorosłych z komiksowym rodowodem zdarzają się w polskim kinie wciąż zdecydowanie rzadziej. Ale plany są. Szymon Holcman: – Mam wrażenie, że w ostatnich latach to się bardzo zmieniło, polscy filmowcy szukają materiału wszędzie, pewnie wynika to z tego, co się dzieje na Zachodzie. Może jeszcze tego nie widać w realizacjach, ale większość naszego katalogu wydawniczego jest przez filmowców napoczęta. W tym miejscu warto

wspomnieć choćby o „Będziesz smażyć się w piekle" Krzysztofa Owedyka, brawurowej, rozpisanej na wiele wątków historii członków heavymetalowego zespołu Deathstar (scenariusz jest już gotowy), czy o powracających planach ekranizacji kultowego komiksu Michała „Śledzia" Śledzińskiego „Osiedle Swoboda".

Próbę ożywienia relacji na linii komiks–film podjęto na ubiegłorocznym festiwalu filmowym w Gdyni. Podczas sesji pitchingowej twórcy i wydawcy zaprezentowali dziesięć bardzo różnorodnych tytułów – od opowieści o dorastaniu z szarzyzną PRL-u w tle („Totalnie nie nostalgia. Memuar" Wandy Hagedorn i Jacka Frąsia) przez komiksowy reportaż o klubie muzycznym (Marcina Podolca „Fugazi Music Club") po szpiegowską satyrę (seria „Yorgi" Dariusza Rzontkowskiego i Jerzego Ozgi) i postapokaliptyczną wizję miasta rządzonego przez tyrana („Bardo" Daniela Odiji i Wojciecha Stefańca).

Choć efektów w postaci konkretnych produkcji po tym spotkaniu jak dotąd nie ma, to, jak mówi Szymon Holcman, cieszy samo zainteresowanie w Gdyni tym tematem: – Coraz więcej filmowców zdradza zainteresowanie komiksem, jak chociażby Mateusz Rakowicz, reżyser filmu „Najmro. Kocha, kradnie, szanuje", w którym komiks pojawia się wprost na ekranie [„Funky Koval" – KB], a w jednej ze scen widzimy Tadeusza Baranowskiego. Nie mamy jeszcze takich spektakularnych przykładów jak „Życie Adeli" (reż. Abdellatif Kechiche, Złota Palma w Cannes) czy „Persepolis" (reż. Marjane Satrapi, Vincent Paronnaud, Nagroda Jury w Cannes, nominacja do Oscara). Nie powstała też adaptacja polskiego komiksu, która wyjechałaby z nagrodą z Gdyni, ale myślę, że to się prędzej czy później wydarzy.

Wojtek Wawszczyk, także uczestnik gdyńskiej sesji z własnym komiksem „Pan Żarówka", uważa, że kluczem do sukcesu jest to, by wyjść z niszy i myślenia o tym, że komiks może być realizowany tylko za pomocą animacji. Z drugiej strony zarówno animacja, jak i komiks są traktowane jak ubodzy krewni filmu aktorskiego i literatury. Po chwilowym uniesieniu po Złotych Lwach dla filmu Mariusza Wilczyńskiego „Zabij to i wyjedź z tego miasta", który dobitnie udowodnił, że animacja otwiera drogę do innowacyjnego sposobu opowiadania – wszystko wróciło na stare tory. Trudno się oprzeć wrażeniu, że jakoś łatwiej idzie, kiedy za ekranizację komiksów, niekoniecznie swoich, wezmą się twórcy komiksowi, by wymienić choćby Tomasza Leśniaka, Michała Śledzińskiego czy właśnie Wojtka Wawszczyka.

Polski komiks ma wiele do zaoferowania. Historie intymne i epickie, współczesne, z przyszłości i przeszłości, ujmujące minimalizmem i zachwycające nieokiełznaną bujnością, realistyczne i wizyjne. Jest tu materiał i na świetny serial wojenny (seria „Bradl" Tobiasza Piątkowskiego i Marka Oleksickiego), i na polskie „Z Archiwum X" w realiach PRL-u (seria „Wydział 7" pisana przez Tomasza Kontnego i Marka Turka). Jest też gotowa satyra na środowisko filmowe i tych, którzy do niego aspirują, łącząca absurdalny humor z iście barejowskim spojrzeniem na rzeczywistość, w oszczędnym stylistycznie, wielokrotnie nagradzanym komiksie Jacka Świdzińskiego „Powstanie. Film Narodowy". To zaledwie parę tytułów, które aż się proszą, by przenieść je na ekran. ©

REKLAMA

POWIDOKI CODZIENNOŚCI – Roch Sulima

DOM POD WIECZNYM PIÓREM – Jan Polewka

TO JEST ZJAWISKO, I NA TO NIE MA RADY – Antoni Kroh

ISKRY

Czytajcie książki ISKIER

WIĘCEJ INFORMACJI: www.iskry.com.pl Wydawnictwolskry wydawnictwoiskry

Książki w pigułce

Nerwy i wirusy

Eseje koreańskiego filozofa można czytać w parze z książką Jonathana Crary'ego „24/7. Późny kapitalizm i koniec snu". Han opowiada o świecie, który wymaga nieustannej dostępności, prowadzącej do zmęczenia i wyczerpania. Ale ciekawie wypada tu konfrontacja z teoriami włoskiego filozofa Roberta Esposita, autora koncepcji z zakresu biopolityki. Han odrzuca jego punkt widzenia, ogłaszając (w tekstach sprzed pandemii) koniec „wieku wirusów" i wejście w „wiek neuronów". Kiedy jednak przychodzi do zamykania granic i tworzenia obostrzeń, musi do teorii immunizacji Esposita powrócić. Otwarte pozostaje pytanie, jak doświadczenie przechorowania COVID-19 wpłynęło na każdego z nas. Nawet jeśli wyparliśmy lęk, long covid objawia się poprzez problemy z pamięcią i koncentracją. „Przemoc neuronalna", która miała świadczyć o zmierzchu teorii Esposita, przyszła ze strony nowego, globalnego wirusa.

©℗ MOC

▪ *Byung-Chul Han*
SPOŁECZEŃSTWO ZMĘCZENIA I INNE ESEJE
przeł. Rafał Pokrywka, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022

Agent Kupfer

Czy można napisać coś rewolucyjnego o tak poczciwej postaci jak Mikołaj Kopernik? Okazuje się, że być może nie znamy nawet prawdziwego nazwiska astronoma. W dokumentach, które przywołuje Orliński, ojciec Kopernika figuruje jako drobny kupiec handlujący miedzią. Zbiegiem okoliczności miedź to po łacinie *copper*, *cuprum*, po niem. *Kupfer*. Autora „Rewolucji" interesuje Kopernik polityk, dyplomata i potencjalny szpieg, nawet podwójny agent, człowiek niespokojnej epoki, trochę podobnej do naszej. Dużo tu zagadek i domysłów. Jakie były jego relacje z Kościołem? Dlaczego był związany z Warmią, w której pierwsze wyższe uczelnie pojawiły się dopiero w drugiej połowie XX w.? Wiemy, że studiował we Włoszech, ale z drugiej strony – mało tam śladów na jego temat w jakichkolwiek dokumentach. Dlaczego?
W końcu powszechnie spisywano wtedy wspomnienia, prowadzano dzienniki podróży i bogatą korespondencję prywatną. ©℗ MOC

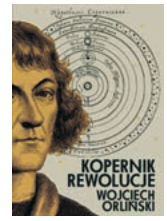

▪ *Wojciech Orliński*
KOPERNIK. REWOLUCJE
Agora, Warszawa 2022

Wierzyć i dbać

Irmina Wolniak jest jedną z liderek zielonoświątkowego zboru Radość Życia w Gdańsku, graficzką oraz absolwentką szkoły biblijnej. Od kilku lat popularyzuje duchowość zdrową emocjonalnie – czyli podejście do wiary, w którym ważną rolę odgrywają przeżywane uczucia. Jesteśmy stworzeni na Boży obraz i dotyczy to również sfery emocjonalnej – podkreśla. Z takiego podejścia wyrastają jej refleksje biblijne. Nasza wiara – zaznacza pastorka – jest chrystocentryczna, „umieszczenie Jezusa w centrum własnych myśli, słów i tego, co robimy, pozwala je uporządkować w momencie, kiedy przychodzi zwątpienie, chaos i trudności". Przypomina też, że zbawienia nie osiąga się w wyścigu na dobre uczynki, ale przez łaskę. To nauczanie oczywiste dla współczesnej katolickiej teologii (i dzielone z wieloma odłamami protestantyzmu), ale mało obecne w duszpasterstwie i katechezie. Tym bardziej warto wychylić się za płot naszego wyznaniowego podwórka.* ©℗ MACIEJ MÜLLER

▪ *Irmina Wolniak*
ZDROWY EMOCJONALNIE PLAN CZYTANIA BIBLII VOL. 1
2022, książka dostępna w wersji elektronicznej w internetowym sklepie autorki

Głos rewolucji

Wielka poetka języka portugalskiego, pierwsza kobieta-laureatka Nagrody Camõesa. Jej twórczość była dotąd w Polsce słabo znana, teraz tę lukę wypełni wybór jej utworów, który przygotował Gabriel Borowski. Dodajmy, że jest to wybór dokonany nie z całej twórczości poetki, lecz z książek, które ukazywały się od roku 1962 – w jakimś sensie przełomowego dla jej poetyckiej drogi. Była poetką równowagi. Nie przypadkiem sławę przyniosły jej wiersze, które były reakcją na rosnącą opresję reżimu Salazara, a później na uwolnienie od niego, jakie przyniosła rewolucja goździków. Opisywała doświadczenie wygnania we własnym kraju, życia wśród demagogii i półprawd, ale potrafiła też zapisać moment wyzwolenia, chwilę wyjścia „z nocy i z ciszy". Wybrana przez nią poetyka pozwoliła wyrazić to, co było przeżyciem zbiorowym i jednocześnie najgłębiej osobistym – odzyskania głosu, a tym samym odzyskania rzeczywistości. *

© WOJCIECH BONOWICZ

▪ *Sophia de Mello Breyner Andresen*
OTO JA. WIERSZE WYBRANE
przeł. Gabriel Borowski, Wydawnictwo Lokator, Kraków 2022

* PEŁNE WERSJE W SERWISIE KSIĄŻKI W TYGODNIKU: TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIAZKI

Książki w pigułce

Pustynna czerwień

Druga część wiernej adaptacji dzieła Franka Herberta. Autorzy ilustracji to wybitni rysownicy, laureaci najważniejszych nagród w świecie komiksu, pracujący m.in. dla Marvela, DC Comics, zapraszani do współpracy przez Davida Lyncha. Charakterystyczna dla tej serii jest oszczędność kolorów, operowanie monochromatyczną skalą. Wybrane partie opowieści odpowiadają w ten sposób konkretnemu miejscu akcji oraz jej czasowi, dzięki czemu widać, jak pustynia przenika bohaterów Herberta, jak powoli stają się oni jej organiczną częścią. Chwyt doskonale zresztą znany miłośnikom słynnej, wielokrotnie nagradzanej serii czarnych kryminałów „Blacksad", w której kolory reprezentowały różnice poglądów bohaterów, polaryzacje poszczególnych grup itd. Nieco nudna, nieprzemyślana jest część dialogowa, przez co kadry momentami zbyt mało różnią się między sobą, nie oddając wystarczająco dobrze emocji postaci. ©℗ MOC

▪ *Frank Herbert, Brian Herbert, Kevin J. Anderson, il. Raul Allen, Patricia Martin*
DIUNA. POWIEŚĆ GRAFICZNA. KSIĘGA 2. MUAD'DIB
przeł. Marek Marszał, Andrzej Jankowski, Rebis, Poznań 2022

Inna babcia

Dorośli czytelnicy uśmiechną się już przy pierwszym zdaniu tej książki, wprowadzającym w małą rozprawkę na temat natury dobrej opowieści. „Zauważyliście, że każda się jakoś zaczyna? Zwykle od tego, że w życiu głównego bohatera coś się wydarza. Coś bardzo doniosłego i znaczącego". Tytułową Maję poznajemy w najważniejszym dniu jej życia, gdy mama zapowiada, że muszą prędko odbyć naradę rodzinną. Otóż rodzice, naukowcy zajmujący się badaniem klimatu, informują dziewczynkę, że planują dłuższą delegację na stację badawczą na Spitsbergen – krainę fok, morsów i maskonurów. Maja będzie musiała zostać pod opieką babci Irenki, właścicielki kota Rumianka i kanarka Pepe. Jak dziewczynka zareaguje na tę wiadomość? Jakie przygody czekają ją w tajemniczym domu i ogrodzie nietuzinkowej Ireny? I co kryje tajemnicza szuflada? W środku wyjątkowo ciepłe (mimo że pozbawione koloru) rysunki wrocławskiej ilustratorki Katarzyny Kołodziej. ©℗ MOC

▪ *Agnieszka Krawczyk, il. Katarzyna Kołodziej*
MAJA I TAJEMNICZA SZUFLADA
Frajda, Poznań 2022

Sezonownik

Najpierw rzucają się w oczy świetne, dynamiczne ilustracje Justyny Kulik złożone z dużych, barwnych plam, pokazujące nie tylko bohaterów historii, ale i świat przedstawiony, w dużych zbliżeniach albo z odległych perspektyw. Kulik tworzy własną narrację, co sprawia, że książkę obejrzymy nieraz. Na przykład śledząc, jak z miesiąca na miesiąc (książka napisana jest w porządku kalendarzowym, z podziałem na dwanaście części) zmieniają się barwy – z zimowo-chłodnych szarości i błękitów w cytrynowo-słoneczne, a potem słomiano-rude. Następnie przejdziemy do samych historii z życia Ignasia i jego starszej siostry Michasi, którym na co dzień towarzyszy – trochę jak u Krawczyk – babcia Helena, zupełnie jednak inna niż babcia Irenka. Opowieść o przyjaźni, dzieleniu się, kolorach, przyjemnościach, odpowiedzialności za innych oraz – *last but not least* – modlitwie. ©℗ MOC

▪ *Hanna Sołtysiak, il. Justyna Kulik*
PREZENT Z NIEBA. 12 HISTORII OD PRZYJACIELA
Wydawnictwo W drodze, Poznań 2022

Pirat Jej Królewskiej Mości

Najnowsza książka amerykańskiego dziennikarza i autora biografii Marco Polo oraz bestselleru o pamiętnym rejsie Magellana „Poza krawędź świata". Bergreen tym razem przedstawia burzliwe przygody sir Francisa Drake'a, który – potajemnie wysłany przez Elżbietę I w rejs dookoła świata – zdobył sławę przede wszystkim za sprawą swoich pirackich dokonań. Jednocześnie Drake był pierwszym kapitanem, który opłynął świat – Magellan zmarł bowiem podczas podróży, nie doczekawszy jej finału. W ojczyźnie został legendą, skrzyżowaniem niedoścignionego odkrywcy z bohaterem w typie Robin Hooda, choć przecież handlował także niewolnikami. Znacząco przyczynił się do powstania imperium brytyjskiego, uosabiał przemianę Anglii w Wielką Brytanię. Przez całą karierę, będąc narzędziem imperialnych ambicji Elżbiety, skrupulatnie gromadził rodzinny majątek. ©℗ MOC

▪ *Laurence Bergreen*
W POSZUKIWANIU IMPERIUM
przeł. Tomasz Hornowski, Rebis, Poznań 2022

Łamigłówki, nie łamignaty

ANNA MARCHEWKA

Ostatnie lata przyniosły widoczną zmianę w polskiej literaturze kryminalnej. Najciekawsze są próby wyjścia poza krąg świateł wielkich miast.

Licytacja na nowości, przebijanie, kto da więcej krwi, obrazów przemocy czy scen erotycznych (a najlepiej wszystko razem), z czasem okazały się wyczerpujące nie tylko dla czytających, ale też dla piszących. Rosnąca odporność tych pierwszych na szokujące sceny i nieustanna konkurencja („tego jeszcze nie było") doprowadziły do wytworzenia odmiany kryminału gore. Ale w ostatnich latach zaobserwować można też inne zjawisko, czyli nicowanie struktury kryminału, również w jego subwersywnej odmianie.

Znakomity debiut Anny Mazurek, „Dziwka" (Ha!art 2019) konfrontuje z pytaniem niewygodnym i zbywanym: co robię, gdy patrzę na przemoc? W czym właściwie biorę udział, rozkoszując się opisami rozczłonkowanych ciał dziewcząt i młodych kobiet? Powieść popularna nadal może spełniać funkcje dydaktyczne, można dzięki niej z powodzeniem dotrzeć do publiczności z istotnym przekazem, czego przykładem „Prowadź swój pług przez kości umarłych" Olgi Tokarczuk (Wydawnictwo Literackie 2009).

Autorka wróciła tą powieścią do źródeł powieści detektywistycznej, by przemycić istotne pytania o kondycję współczesnego świata zrównującego przemoc z siłą. Przypomniała też o emancypacyjnym potencjale literatury popularnej. Już samo obsadzenie w centrum współczesnego westernu dojrzałej, choć wciąż młodej duchem bohaterki musiało przynieść znaczące efekty.

W ostatnich latach okazało się także, że można pisać retro, nie powielając przemocowych stereotypów, że można wrócić do tradycji powieści detektywistycznej, odświeżając ją tak, by dawała możliwość zweryfikowania utrwalonych wyobrażeń o przeszłości. Kryminał retro zawdzięczamy Markowi Krajewskiemu – ten filolog klasyczny na przełomie tysiącleci jednym przypomniał, a przed innymi odkrył Breslau. Pisał o powojennej rzeczywistości tworzonej przez ocaleńców z Pierwszej Wielkiej Wojny, zmasakrowanych psychicznie. To oskarżenie normalizacji przemocy i toksycznego wzorca męskości (Eberhard Mock już nie może studiować poezji łacińskiej, jeśli chce być „prawdziwym mężczyzną", może za to bezkarnie maltretować żonę; zdradza bratanka zajmującego się sztuką, z lęku przed napiętnowaniem wybiera solidarność z homofobiczną normą brata, na pocieszenie zostaje mu podczytywanie klasyki). I przypomnienie dziedzictwa tamtej wojny, na długo przed sukcesami seriali takich jak „Boardwalk Empire" czy „Peaky Blinders".

Krytyczny potencjał wczesnej twórczości Krajewskiego nie został jednak dostrzeżony. Popularność autora wzbudziła za to modę na retro, inni też chcieli takiego sukcesu, a każde większe miasto – opowieści składającej się na zbiorowy, oparty na schematach portret społeczności. Być może spora część popularności retrokryminału związana jest z zamiłowaniem do skrótu, chęcią usprawiedliwienia sympatii do języka współcześnie niepoprawnego, piętnującego tak zwane mniejszości, odzwierciedlającego patriar-

Nagroda im. Józefa Tischnera dla Zbigniewa Nosowskiego oraz Grupy Granica i warszawskiego KiK-u

Nagrodę za pisarstwo otrzyma **ZBIGNIEW NOSOWSKI**, dziennikarz, publicysta, działacz katolicki, redaktor naczelny czasopisma „Więź". Z kolei w kategorii „zaangażowanie społeczne" laureatami nagrody zostały **GRUPA GRANICA** i **WARSZAWSKI KLUB INTELIGENCJI KATOLICKIEJ**.

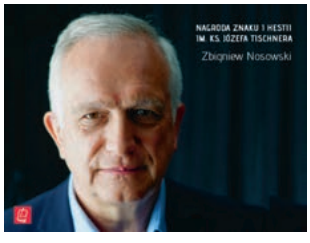

MATERIAŁY PRASOWE x3

W pierwszym przypadku jury doceniło cykl artykułów „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie", w którym Nosowski ujawnił przypadki krycia nadużyć seksualnych w diecezji szczecińskiej i gdańskiej, oraz książkę „Szukanie nadziei", czyli zbiór najważniejszych publikacji z ostatnich kilkudziesięciu lat. W drugiej kategorii kapituła nagrody wskazała na szczególną rolę obu organizacji w pomocy uchodźcom na polsko-białoruskiej granicy.

Gratulujemy i zapraszamy do Nowohuckiego Centrum Kultury na galę wręczenia Nagród Znaku i Hestii – 24 listopada o godz. 18.

„TYGODNIK POWSZECHNY" JEST PARTNEREM NAGRODY, A KS. ADAM BONIECKI PRZEWODNICZY JURY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BARTEK SADOWSKI / FORUM

Inscenizacja fragmentów „Festung Breslau" Marka Krajewskiego w ramach kampanii promocyjnej książki, Wrocław, sierpień 2006 r.

chalny porządek. Piszący długo bali się stracić czytelników przyzwyczajonych do utrwalonego, konserwatywnego (a brutalnego) wzorca opowiadania. A przecież właśnie tutaj, na literackim gruncie, eksperyment, działania ryzykowne i wywrotowe są na miejscu.

Tego właśnie spróbował ostatnio **Grzegorz Dziedzic**, autor **„Żadnych bogów, żadnych panów"** (Papierowy Księżyc 2021). Ten porywający debiut udowadnia, że można czytać przeszłość inaczej, nie dla samej rozrywki czy powielania przemocowych (wciąż atrakcyjnych) schematów, ale by zainteresować marginalizowanymi wydarzeniami historycznymi, losami ludzi uznawanych za zbędnych, niegodnych uwagi. „Żadnych bogów, żadnych panów" przybliża więc dzieje Polonii w Chicago na granicy starego i nowego świata: tuż przed zakończeniem Wielkiej Wojny i przed rozpoczęciem epoki Drugiej Rzeczypospolitej. Sierżant Teodor Rudzki, główny bohater powieści, ma roboty po same łokcie.

Autor pokazuje, jak pracować na materiałach źródłowych, by nie zostawiać w tekście śladów po szwach i kurzu archiwów. Potrafi opowiadać o nędzy, o trudach codzienności, o wykluczeniu i internalizowanej pogardzie, antysemityzmie, ksenofobii, brudzie, zanieczyszczonym, zniszczonym i niszczącym środowisku. Nie da się przecież w świecie, w którym zatruta jest woda i powietrze, żyć porządnie, trzymać się zasad. Z amerykańskiego snu zostaje guzik z pętelką. Uciekinierów ze starego świata czeka gwałt, a czasem nawet śmierć. Autor pokazuje, jak wypowiedzieć te doświadczenia bez wstydu. Dziedzic miał w planach powieść historyczną, wzorcowo udało mu się więc połączyć rozrywkę z nauką, a przyjemne z pożytecznym.

Zresztą nurt historyczny w kryminale, nie tylko tym retro, ma się nieźle. Autorzy i autorki próbują skłaniać nas do namysłu i przekierować uwagę na takie wydarzenia z przeszłości, które z rozrywką nie mają nic wspólnego, a które w pamięci zbiorowej są zatarte. Świetnie widać to w twórczości Małgorzaty i Michała Kuźmińskich, a za dobry przykład może służyć „Mara" (Wydawnictwo Dolnośląskie 2019), kto wie, czy nie ich najlepsza powieść.

Ale nie tylko antropologiczna i etnograficzna odmiana kryminału dźwiga pytania o przeszłość – z powodzeniem czyni to również odświeżona odmiana retro nawet nie tyle kryminału, co powieści detektywistycznej. Wydarzeniem była „Warszawianka" (Skarpa Warszawska 2019), pierwsza część cyklu (serie trzymają się mocno) Idy Żmiejewskiej. Pasjonatka historii XIX wieku zadała sobie trud zbudowania powieści o Warszawie z okresu średnio (jeśli w ogóle) znanego poza kręgiem specjalistów i specjalistek.

Debiutancka książka Żmiejewskiej zaczyna się w 1885 r., gdy miasto powoli dźwiga się spod represji po powstaniu styczniowym. Pieczołowicie oddane realia epoki nie przesłaniają jednak wątku śledztwa prowadzonego przez młodego rosyjskiego policjanta, Aleksandra Nikitycza Woronina, zdeklasowanego i wydziedziczonego przez ojca. Praca w Kraju Nadwiślańskim wydaje się mu rodzajem zesłania, jedynie dawny przyjaciel z pułku, Michaił Jurijewicz Kaługin osładza jej trudy. Niechęć, a nawet otwarta wrogość mieszkańców stolicy nie pomaga Woroninowi, a jego relacja z Leontyną Rapacką, córką zamordowanego adwokata, to nawet nie mezalians, to zdrada. Pierwszym polskim słowem, jakiego uczy się Woronin, jest „kłamstwo" – sieć tych kłamstw będzie musiał z czasem rozplątać. ↦

↦ Ta linia kryminału historycznego, trochę kostiumowego, podjęta została również przez Magdę Mrugalską w „Białej kalii" (Wydawnictwo Miejskie Posnania 2020). Poznańskie lato 1908 roku staje się scenerią mrocznej zbrodni. Rodzinne tragedie przedstawia Mrugalska z pietyzmem i szacunkiem, a Karl Prätorius, domorosły detektyw („przepadał za Arthurem Conan Doyle'em, a z jego bohaterem Sherlockiem Holmesem wręcz się utożsamiał"), ujmuje czytelnika – nie jest ani trochę przebojowy, rumieni się, ale za to potrafi skupić się na wykonywaniu zadania. Mrugalska portretuje inny Poznań niż ten, który znamy z książek Ryszarda Ćwirleja, odnowiciela powieści milicyjnej i sprawnego gracza w międzywojenne retro.

„Biała kalia" oprócz walorów literackich ma również te poznawcze, choć Mrugalska nie była pierwszą pisarką tak żywo zainteresowaną przeszłością Poznania. Trzeba przywołać nazwisko Katarzyny Kwiatkowskiej, autorki wybornych *cozy mysteries*, między innymi rozgrywającej się na początku XX wieku (a dokładniej w 1901 roku) „Zgubnej trucizny" (Znak 2017). Nazwiska tych autorek nie wybrzmiały jeszcze wystarczająco głośno, ich twórczość nie jest jeszcze wystarczająco dobrze znana, ale może jeszcze coś się w tej sprawie zmieni (oby!).

Ostatnio też za retro, zresztą za namową samego Krajewskiego, zabrał się **Michał Witkowski**. Jego olśniewające, kampowe **„Tango"** (Znak 2022) wzięło czytelniczki i czytelników przebojem (nie tylko dlatego, że powieść naszpikowana jest tekstami szlagierów z międzywojnia). Witkowski krytycznie czyta przeszłość, a jego książka dusi w zarodku ewentualne tęsknoty za „lepszymi" czasami. Widać, że kluczowa na kryminalnym gruncie jest gra z konwencją i takie jej użycie, by nie brała góry nad przekazem, by nie przejmowała władzy. Witkowskiemu ta sztuka ogrywania konwencji udała się z nadatkiem. Kostium potrzebny jest nie po to, by zachwycać się jego krojem, by – jak niegdyś Herkules Poirot – zamykać się w dandysowskim futerale, nośniku genialnej głowy. Kostium należy rozpruć, by lepiej zrozumieć proces szycia. Oraz – śmiać się i dobrze się bawić. Bo co w powieści detektywistycznej może jeszcze wydarzyć się na serio?

Z konwencji kpi także z wdziękiem Maryla Szymiczkowa, czyli twórcze małżeństwo: Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński. W „Złotym rogu" (Znak 2020), najlepszej chyba powieści w dorobku Szymiczkowej (wcześniej ukazały się „Tajemnica domu Helclów", „Rozdarta zasłona" i „Seans w Domu Egipskim"), przepisana została historia bronowickiego wesela Lucjana Rydla – okazało się, że profesorowa Szczupaczyńska, bohaterka całego cyklu i detektywka-amatorka, dostrzec mogła więcej niż sam Wyspiański.

Gra w literaturę doprowadzona została przez Szymiczkową do nieomal doskonałości, może nawet Szymiczkowa jest godną następczynią nie tyle Agathy Christie, co Joanny Chmielewskiej? Przecież to wypisz wymaluj tradycja „Przekroju", z którego Chmielewska czerpała już w debiutanckim „Klinie"! Twórczość Szymiczkowej jest pochwałą mieszczańskiej kultury literackiej. Może ten właśnie rodzaj poczucia humoru, samodzielnie wypracowany na wielowarstwowej bazie lektur, jest nam teraz najbardziej potrzebny.

Ale do komedii kryminalnych niełatwo się przekonać, o czym świadczy wypowiedź Wiery Jezierskiej, bohaterki serii powieści Agnieszki Jeż. Jezierska nie może zrozumieć, a może nawet nie może znieść istnienia komedii kryminalnych, bo co niby jest śmiesznego w mordowaniu ludzi? Czy można żartować z zabójstwa? Przecież opowiadanie o poszukiwaniach przestępców, gdy zaczyna być traktowane zbyt serio – a we wzniosłość trzeba też umieć grać – zaczyna niebezpiecznie wesoło pobrzmiewać. Niebezpiecznie, bo niezamierzenie. Gdzie, jeśli nie w prozie gatunkowej, można przekraczać granice? Jeśli ciężar literackiej zbrodni jest nie do dźwignięcia, może potrzebne są inne sposoby na oddech?

Cozy misteries znalazły dla siebie miejsce i na polskim gruncie literackim, zaspokajają bowiem silną potrzebę skupienia na zagadce kryminalnej, odpowiadają na potrzebę wiary w moc intelektu zdolnego pokonać złoczyńców. Nie znajdziemy tu szczegółowych opisów zbrodni, śledztwu towarzyszą napoje raczej gorące niż wysokoprocentowe, a także analityczne rozmowy. Jak w klasycznej powieści detektywistycznej, tak i tutaj pocieszenie niesie zwycięstwo intelektu połączonego ze specjalistyczną wiedzą. Zwycięstwo nad brutalnością i bezsensownym złem, które na dokładkę serwowane bywa w komplecie z niewidowiskową poczciwością umożliwiającą przełamanie obowiązkowej w czarnym kryminale samotności.

Jednak najciekawszym zjawiskiem we współczesnej polskiej powieści kryminalno-detektywistyczno-sensacyjnej są próby wyjścia poza krąg świateł wielkich miast. Polska powieść kryminalna długo trzymała się kurczowo ich granic, a tak zwana prowincja była przestrzenią wyśmiewaną, podobnie jak ludzie ją zamieszkujący. Jeszcze przecież w głośnym „Uwikłaniu" Zygmunta Miłoszewskiego tak lubiany prokurator Teodor Szacki docina swojemu współpracownikowi w sposób, który nie zostawia wątpliwości: ośmieszany kolega musi być ze wsi,

jeśli nie dosłownie, to mentalnie (słynne, krążące w obiegu powiedzonka o oborze czy snopku zastawiającym wejście). Jeszcze w pierwszej dekadzie XXI wieku takie śmieszkowanie przyjmowane było bez protestów. Ślady pochodzenia niewielkomiejskiego i nieinteligenckiego zacierano z zapałem, stawką było być albo nie być w obiegu literackim – któż by chciał zadawać się z prowincjuszem czy prowincjuszką.

Ostatnie lata przyniosły widoczną zmianę. Okazuje się, że można opisać światy pozawielkomiejskie w zajmujący i niestereotypowy sposób, bez poczucia wyższości i bez zapędów kolonizatorskich. Potrzebne było wypracowanie innych środków wyrazu, stylu, trybu opowiadania – zniuansowanego, niespiesznego, wymagającego również po stronie osób czytających zmiany nawyków lekturowych. Te kameralne dramaty wcale nie tracą siły rażenia, w wielu przypadkach udaje się w ich obrębie zrealizować nawet więcej spraw, często w trybie terapeutycznym: uwolnić odziedziczony ból w nadziei na oczyszczenie.

Nowe powieści retro nie powielają przemocowych stereotypów, odświeżyliśmy także tradycję powieści detektywistycznej.

Tak dzieje się w powieściach Jędrzeja Pasierskiego, Izabeli Janiszewskiej, Marka Stelara, Roberta Małeckiego, Hanny Greń czy Jakuba Żulczyka („Wzgórze psów"). Ale niekwestionowaną mistrzynią jest tutaj **Anna Kańtoch**, autorka (między innymi) „Wiary", „Łaski", „Pokuty" oraz znakomitej serii z Krystyną Lesińską (ostatnio ukazała się **„Jesień zapomnianych"**, Marginesy 2022). Pisarka latami doskonaliła warsztat w okolicach fantastyki, nie stroniła nawet od *science fiction*, wciąż konfrontuje się z pytaniem „skąd zło". Prawdziwą zagadką bywa w jej książkach zmowa milczenia. Jak ma wyglądać wymierzanie sprawiedliwości, gdy wszyscy wiedzieli o zbrodniach?

Kańtoch stroni od widowiskowych strzelanek, pościgów, inaczej niż spece od sensacji pracuje z czasem i przestrzenią, potrafi budować napięcie tak, by trudno było je znieść. Fascynuje stworzona przez nią Krystyna Lesińska, policjantka – specjalistka od spraw trudnych czy nawet niesamowitych. Chyba nie było jeszcze takiej bohaterki (bo jednak została napisana inaczej niż Janina Duszejko): dojrzałej, niespokojnej, prześladowanej przez przeszłość, ale jakże inaczej niż zwykły śledczy z czarnego kryminału. Lesińska ma w sobie tajemnicę, choć zdaje się nie wyróżniać. Ma naddatek jakiegoś daru, nosi ciężar cierpienia, ugina się pod żałobą, której nie da się zagłuszyć.

W prozie Kańtoch nie ma łatwych recept i rozwiązań. Rodzinne dramaty nie kończą się na zawołanie, na ulgę nie ma co liczyć. Zostaje znój codzienności, pisany ściszonym głosem, ale przecież tym dobitniejszy i tym bardziej dojmujący.

© ANNA MARCHEWKA

REKLAMA

WERONIKA BILSKA / NIFC / MATERIAŁY PRASOWE x2

Kampania społeczna „Wykluczeni / Konserwacja sztuki”

ZAWÓD: ARTYSTA

JACEK MARCZYŃSKI

Znane powiedzenie głosi, że artystą się nie jest, lecz się nim bywa, co brutalnie sprawdza się wtedy, gdy z uprawiania sztuki trzeba się utrzymać. Nowa ustawa ma ustabilizować tę chwiejność artystycznego losu.

Informacje o zarobkach artystów pojawiają się w sytuacjach skrajnych. Wtedy, gdy media chętnie donoszą, ile znany aktor zarabia za dzień pracy na planie filmowym lub jakie honorarium otrzyma gwiazda w czasie „Sylwestra Marzeń”. A z drugiej strony – sławne przez dekady piosenkarki i aktorki skarżą się, że przez całą karierę uzbierały jedynie na kilkusetzłotową emeryturę. Regularnie pojawiają się doniesienia o spontanicznie organizowanych zbiórkach na rekonwalescencję po ciężkiej chorobie czy remont dachu w domu zasłużonego artysty. Sytuacje takie podsumował brutalnie w 2014 r. na Facebooku legendarny założyciel Brygady Kryzys Robert Brylewski: „Po ponad 30 latach grania tzw. muzyki alternatywnej w kraju zwanym Polską dziś nie stać mnie na jedzenie, papierosy, nie mówiąc o prezentach dla dzieci”.

Nie tylko przypadki jednostkowe, ale i dane ogólne są brutalne. Mediana przychodów brutto (dane z okresu przed pandemią) ludzi teatru wynosi 2800 zł, artystów plastyków – 2600 zł, tancerzy – 2200 zł, artystów ludowych – 1300 zł. Tylko część środowiska korzysta z zabezpieczenia, jakie daje zatrudnienie etatowe, większość żyje od zlecenia do zlecenia, przygotowując się – nieraz po kilka tygodni lub miesięcy – do koncertu, premiery albo w samotności tworząc dzieło. Niechętnie też zakładają jednoosobową działalność gospodarczą, bo w okresach, gdy nie otrzymują honorariów, składki – emerytalne i zdrowotne – i tak trzeba płacić.

Pandemia i lockdowny sprawiły, że sytuacja licznych artystów stała się dramatyczna. Wielu przemieniło się w kurierów, rozwozicieli pizzy, usiadło za kierownicą taksówki, zajęło się remontami cudzych mieszkań. Paradoksalnie pandemia przyniosła też pozytywne skutki. Właśnie w tym okresie przyspieszenia nabrały prace nad kształtem Ustawy o artystach zawodowych.

NA ŚWIECIE I U NAS

Problem nie jest nowy i nie dotyczy wyłącznie Polski, ale jego rozwiązanie staje się coraz pilniejsze, zwłaszcza gdy rozwój nowoczesnych technologii ułatwił rozpowszechnianie treści artystycznych w stopniu dotychczas niespotykanym, nie gwarantując przy tym twórcom odpowiednich gratyfikacji. W 2007 r. Parlament Europejski w specjalnej rezolucji wezwał państwa członkowskie do opracowania i wdrożenia odpowiednich norm prawnych. Chodzi o zabezpieczenie społeczne, ubezpieczenie zdrowotne i kwestie podatkowe uwzględniające specyfikę profesji artystycznych, w których częste są miesiące pozasezonowego przestoju czy wręcz okresy bezrobocia.

W niektórych krajach takie rozwiązania już funkcjonują – we Francji, Niemczech czy we Włoszech. Od pięciu lat w Korei Południowej działa fundacja powołana ustawą, wspierająca zasiłkami i świadczeniami pomostowymi twórców i wykonawców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Kształt polskiej ustawy nie jest wzorowany na żadnym tego typu dokumencie, choć większość rozwiązań ma przynieść podobny skutek.

Na pytanie, dlaczego w Polsce prace trwają tak długo, odpowiedzi jest kilka. Samo rozeznanie stanu faktycznego przyniosły dopiero w 2018 r. badania zespołu pracującego pod kierunkiem prof. Doroty Ilczuk z Uniwersytetu SWPS. Pozwoliły one ustalić, ilu jest w Polsce artystów i w jakiej znajdują się sytuacji. To grupa licząca ok. 60 tys.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

osób. Znajdziemy w niej wszelkie możliwe formy zatrudnienia, olbrzymie zróżnicowanie rytmu pracy, ogromny przekrój zarobków i różnorodne koszty działalności.

Krokiem drugim była Ogólnopolska Konferencja Kultury, organizowana w latach 2017-2018. Uczestniczyło w niej kilkaset stowarzyszeń, zrzeszeń, związków twórczych i grup nieformalnych. Trudno wskazać inny dokument, który powstał u nas w wyniku tak szerokiej dyskusji środowiskowej. Chodziło jednak o to, by nie tylko stworzyć rozwiązania dające zabezpieczenia życiowe, ale też rozwiać różne wątpliwości. W początkowym okresie nie brakowało głosów, że ustawa może ograniczać twórczą swobodę i dla władzy stać się rodzajem systemu kontrolnego. Nie można bowiem stworzyć systemu pomocy bez zdefiniowania zawodów artystycznych i mechanizmów ich późniejszego monitorowania.

FUNDUSZ WSPARCIA

Projekt ustawy zakłada, że o uprawnienia artysty zawodowego będą mogły ubiegać się osoby o udokumentowanym dorobku, potwierdzonym przez tzw. organizacje reprezentatywne – stowarzyszenia i związki zawodowe twórców. Co trzy lata konieczna będzie aktualizacja uprawnień poprzez oświadczenie o przychodach z działalności artystycznej lub kolejne przedstawienie dorobku z ostatniego okresu. Po przepracowaniu 20 lat (w przypadku tancerzy 15 lat) uprawnienia będą przyznawane dożywotnio. Z kolei absolwenci uczelni artystycznych lub ogólnopolskich szkół baletowych o uprawnienia będą mogli się ubiegać na podstawie uzyskanego dyplomu w ciągu pięciu lat od jego zdobycia.

Artysta zawodowy skorzysta z obniżonej podstawy naliczania składek ubezpieczeniowych, jeśli nie będą one opłacane np. w wyniku umowy o pracę. Samodzielnie będzie mógł opłacać składki zdrowotne i społeczne liczone od minimalnego wynagrodzenia. Jeśli w ciągu roku osiągnie zaś dochód mniejszy niż 80 proc. średniego wynagrodzenia w gospodarce narodowej, będzie mógł ubiegać się o dopłatę z Funduszu Wsparcia Artystów Zawodowych. Wszyscy będą mieli też opłacony pakiet ubezpieczeń – zdrowotnych, emerytalnych i tych uprawniających do zasiłków chorobowych, macierzyńskich, rentowych i powypadkowych. Dla środowiska artystycznego jest to zmiana rewolucyjna.

Z Funduszu Wsparcia będą też wypłacane stypendia twórcze i zapomogi dla osób w szczególnie trudnej sytuacji życiowej. Zakłada się, że w pierwszych latach funkcjonowania ustawy Fundusz ma dysponować sumą ok. 400 ml zł rocznie, pozyskanych głównie z tzw. opłaty reprograficznej. Pobiera się ją za nieodpłatne korzystanie z twórczości artystycznej poprzez dozwolone, prywatne odtwarzanie utworów. Takie rozwiązanie funkcjonuje w wielu krajach, częściowo także w Polsce, tym niemniej stosowane rozwiązania nie nadążają za rozwojem technologicznym. W wielu krajach opłatą objęte są także urządzenie elektroniczne, laptopy, tablety czy smartfony, a te wpływy (jest to zazwyczaj od 1 do 4 proc. ceny urządzenia) trafiają do artystów. W Polsce sprawa ta wciąż budzi wiele burzliwych dyskusji, stąd np. kwestię opłaty reprograficznej od smartfonów pozostawiono do dalszych konsultacji.

Udało się natomiast rozwiać inne wątpliwości zgłaszane przez środowisko, jak choćby konieczność ubiegania się o przyznanie statusu artysty zawodowego wyłącznie poprzez którąś z działających organizacji. Ustawa zakłada jednak, że nie trzeba być członkiem żadnej z nich. Wiele pytań dotyczy też sposobu dysponowania Funduszem Wsparcia. Czy nie będzie on służył ministerstwu jako rodzaj nacisku na artystów poprzez stypendia i formy wsparcia?

W tej kwestii ustawa wprowadza unikatowe na gruncie polskim rozwiązanie. Jest to Polska Izba Artystów, decydująca o udzielaniu statusu i karty artysty zawodowego oraz zarządzająca Funduszem Wsparcia. Ma ona łączyć cechy samodzielnej organizacji pozarządowej i instytucji państwowej. Będzie nią kierować 21-osobowa rada, a dwie trzecie jej członków wybiorą organizacje reprezentatywne. Dopiero jednak praktyka potwierdzi (lub nie) skuteczność tego rozwiązania, a także innych zapisów ustawy, choćby wykazu zawodów artystycznych, których ma dotyczyć. W świecie nieustannego rozwoju nowych technologii oraz ciągłych poszukiwań interdyscyplinarnych w sztuce ta lista będzie przecież wymagać uaktualniania. ©

Kampania społeczna „Wykluczeni / Taniec”

THE
NORTH
FACE

CO WIDZI OKRĘT

JACEK BŁAWUT, REŻYSER:

Zatracałem siebie i swoje życie. Czułem, że są miejsca, do których nie powinienem wchodzić. Świat moich bohaterów mnie pożerał. Odbierał mi życie osobiste i opanowywał wyobraźnię.

BARTOSZ MARZEC: Zrobił Pan film fabularny, ale czy zdecydowałby się Pan – zgodnie ze swoją specjalnością – wyreżyserować film dokumentalny o historii ORP „Orzeł", gdyby przeżył chociaż jeden jego załogant?

JACEK BŁAWUT: Trudne pytanie. Informacje o życiu na okręcie zaczerpnąłem z bardzo szczegółowych opisów w książce „Patrole Orła", autorstwa podporucznika Eryka Sopoćki, który na „Orle" pływał. Dzięki jego wspomnieniom nasz film dość precyzyjnie oddaje atmosferę i warunki życia w głębinach morza. Ale gdyby żył któryś z członków załogi, może opowiedziałby mi więcej? Wtedy na pewno powstałby inny film.

Opowiadamy jednak o prawdziwych osobach, z imienia i nazwiska. Dla mnie trudne byłoby zrobienie z jednego z tych marynarzy psychopaty, aby osiągnąć jakiś dodatkowy efekt dramaturgiczny. Mam dla członków załogi „Orła" wielki szacunek. Zginęli bardzo młodo, niektórzy pewnie jeszcze nie zdążyli się nawet zakochać. Niektórym dopiero co urodziły się dzieci.

U nas bohaterami są przede wszystkim ich oddech i duszność, narastający lęk i klaustrofobiczna przestrzeń, głucha cisza i metaliczne odgłosy dobiegające z trzewi okrętu. Chciałem sprawić, by widz chociaż otarł się o to, co przeżywali członkowie załogi pod wodą, w sytuacji osaczenia.

Jakie środki miały temu służyć?

Jednym z członków załogi uczyniliśmy kamery. Kamera subiektywna, „z ręki", podpatruje emocje, zagląda w twarze, wręcz w oczy załogantów. Nazwaliśmy tę kamerę „ludzką". Ale była jeszcze kamera „orłowa". Pokazywała to, co załoganci starają się przed sobą ukryć. Oni przecież muszą grać pewne role, na przykład udawać opanowanie, bo nie mogą okazywać niepokoju czy paniki. Mają być jednym organizmem – wyćwiczonym, działającym perfekcyjnie. Ich lęki można podpatrzeć z punktu widzenia okrętu, dlatego „orłowa".

Ta kamera patrzy z nietypowych punktów widzenia. Odsłania coś, czego bohaterowie nie są w stanie sami dostrzec.

Takie było założenie. Dzięki temu także widz wie więcej niż załoga. Organizm, który współtworzą, powoli umiera razem z okrętem. Bo „Orzeł" jest w gruncie rzeczy filmem o umieraniu – długim, powolnym zaciskaniu się pętli. Okręt ulega postępującej destrukcji, zaczyna się rozpadać i pękać, marynarze z kolei coraz słabiej widzą i słyszą. Jest coraz goręcej i duszniej, uwalniają się trujące związki chemiczne.

Nie zależało mi wcale na scenach batalistycznych. Bitwa odbywała się w głowach marynarzy. Chciałem pokazać okrucieństwo zbliżającej się śmierci. Pojawienie się i narastanie świadomości tego umierania. Wróg osacza i zabija, ale go nie widzimy. Nie możemy się z nim zmierzyć, bo znaleźliśmy się w potrzasku, w pułapce.

Kiedy oglądałem „Orła", przypominały mi się realizacje polskiej szkoły filmowej, które opowiadały o fatalnym losie polskiego żołnierza i powstańca w okresie II wojny światowej.

Gdybym miał powiedzieć, do którego filmu z tego nurtu mi najbliżej, wskazałbym oczywiście „Kanał" Andrzeja Wajdy. Moje pokolenie wychowało się na polskiej szkole, więc patrzymy na polski patriotyzm właśnie przez jej pryzmat. On jednak nie przystaje już do dzisiejszych czasów. Kiedy robiłem dokumentację, starałem się dowiedzieć, jak wyglądali marynarze w przededniu II wojny światowej. To byli szlachetni ludzie. Aż się płakać chce, że straciliśmy to niezwykłe pokolenie – i to zupełnie bez sensu. W filmie chciałem pokazać jego piękno. Dlatego zdecydowałem się na taki casting.

Czy doświadczenie dokumentalisty było przydatne w pracy z uznanymi, ale młodymi aktorami?

Praca z nimi była dla mnie najważniejszą częścią realizacji „Orła". Próbowałem zbudować pewną bliskość i wzajemne zaufanie. Rzeczywiście, pracowałem jak z bohaterami filmów dokumentalnych. ↦

JACEK BŁAWUT
jest operatorem i reżyserem. Autor wielu filmów dokumentalnych. Właśnie miał premierę jego drugi film fabularny – „Orzeł. Ostatni patrol".

BARTOSZ MROZOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

↦ Chciałem dotrzeć do tego, jak Ziętek, Kościukiewicz czy Schuchardt dzisiaj przeżywają historię „Orła". Tak po ludzku. Zależało mi na zdjęciu z nich aktorskiego pancerza i pokazaniu tego, co mają w sobie najpiękniejsze. Nie chodziło mi o rutynowe zadania aktorskie, klasyczne wyjaśnianie „skąd, dokąd, po co" albo jakie są relacje i konflikty między bohaterami. Mam w sobie dokumentalistyczną ciekawość drugiego człowieka. Interesuje mnie, co myśli i dlaczego, co dzieje się w jego wnętrzu.

Jak dotrzeć do tego, co myśli i czuje człowiek?

Otóż, wbrew pozorom, jest to dość proste. Musisz sam się otworzyć, żeby ktoś ci zaufał. W filmie fabularnym nazywają to reżyserią (*śmiech*).

Bohaterowie Pana filmów dokumentalnych to mocni mężczyźni siłujący się z losem, którzy znajdują rozwiązanie swoich trudności w czymś delikatnym i ulotnym, jak miłość, solidarność czy religia. Z drugiej strony bohaterowie pozornie słabi potrafią zawstydzić swoją wewnętrzną siłą niejednego dorosłego. Te dwa pierwiastki: siły i delikatności splatają się w postaci kapitana Jana Grudzińskiego, którego zagrał w „Orle" Tomasz Ziętek. Już wiele razy musiał się Pan tłumaczyć z tego wyboru.

Tłumaczę się z tego bez przerwy. Wybrałem do tej roli Tomasza Ziętka pod wpływem książki „Szum młodości" Stefana Łaszkiewicza, w której Grudzińskiego opisywał jego kolega ze szkoły kadetów. Grudziński miał ksywę „Panienka". Używałem jej w filmie, ale doszedłem do wniosku, że musiałbym wciąż tłumaczyć sens tego słowa. Nie chciałem, żeby odczytano je niewłaściwie. Grudziński był delikatny, introwertyczny, słabo komunikował się z załogą. Znaczące jest to, że od komunikacji z załogą miał porucznika Piaseckiego. Sam pozostawał w wewnętrznym skupieniu.

A ta druga strona oblicza kapitana Grudzińskiego?

Gdzieś znalazłem informację, że w trakcie alarmu lotniczego, kiedy wydał komendę, wszyscy pobiegli do włazów, a on do karabinów maszynowych! Spotkały się w nim więc dwa światy, dwie galaktyki.

Wszyscy załoganci kochali „Orła", to była ich matka, ich świat, ich miłość. Ale tylko Grudziński miał jakąś specjalną, tajemniczą łączność z okrętem. W skupieniu dotykał ścian i burt. Jakby czegoś szukał, jakby chciał wsłuchać się w mowę okrętu. W filmie słyszy więcej niż reszta załogi, dzięki czemu potrafi wyprowadzić okręt z opresji. Brzmi to metafizycznie, ale chciałem, żeby właśnie takie było. Zresztą i mnie podobne odczucia nie są obce. Uważam, że miewamy łączność z przedmiotami, czujemy nawet potrzebę rozmawiania z nimi. Trochę upraszczając: ja na przykład rozmawiam z moim samochodem (*śmiech*).

W książce „Bohater w filmie dokumentalnym" deklaruje Pan, że najbardziej ciekawi Pana „człowiek w tych momentach życia, w których musi walczyć, pokonywać swoje słabości i w których musi dokonywać wielkich czynów, żeby żyć". Kiedy opowiada Pan o walce, jaką toczy załoga „Orła", mam wrażenie, że w ciągu 12 lat, odkąd wydano książkę, nic się nie zmieniło.

Nic. A wie pan, jakie jest największe wyzwanie, przed którym stają ludzie?

No jakie?

To śmierć. Starość, umieranie. O godzeniu się z odchodzeniem opowiadał film „Jeszcze nie wieczór". Ja przez cały czas opowiadam o różnych ograniczeniach. „Nienormalni" są o mierzeniu się z ograniczeniami. To są zmagania, z których można wyjść wewnętrznie bogatszym, dowiedzieć się więcej o sobie, ludziach i świecie. O tym był też „Wojownik" i moje filmy o walce z alkoholizmem. „Orzeł" również mówi o ograniczeniach, o najtrudniejszych chwilach, w jakich może znaleźć się człowiek.

ORP „ORZEŁ" był okrętem podwodnym Marynarki Wojennej od 2 lutego 1939 r. Wziął udział w początkowym okresie obrony polskiego Wybrzeża. Internowany w stolicy Estonii, pozbawiony map, zdołał zbiec do Wielkiej Brytanii. Z niewyjaśnionych przyczyn zaginął wraz z całą załogą podczas patrolu na Morzu Północnym na przełomie maja i czerwca 1940 r.

A relacje między bohaterami?

Czasem spotykam się z opiniami, według których powinienem zbudować ich więcej. To w gruncie rzeczy zarzut, że nie zrobiłem innego filmu niż ten, który chciałem zrobić. Bo bohaterowie „Orła" w okresie, o którym opowiadam, płyną razem już dziewięć miesięcy. Powiedzieli sobie wszystko. Stali się jednym organizmem. Są nastawieni na walkę, na zniszczenie wroga, który w tym czasie zabija ich bliskich i sąsiadów, pali ich domy. Bohaterowie nie mogą dopiero zaczynać się poznawać, bo znają się na wylot. Oni już w lutym 1939 r. byli jedną załogą. Łączyły ich relacje inne niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni w filmach o okrętach podwodnych. I całe szczęście, bo inaczej zrobiłbym „Okręt" Wolfganga Petersena. To świetny film, ale nie chodziło mi o to, żeby go powtórzyć. Podstawowa różnica polega też na tym, że mój rejs to krótki patrol w płytkim Morzu Północnym, a tamten to wielomiesięczny patrol w głębinach Atlantyku.

A więc to portret męskiej wspólnoty w sytuacji krytycznego zagrożenia. Mam przy tym wrażenie, że rozwija się on w głąb, a nie w przód. Akcent położony jest na zanurzenie w świat załogi, ale nie na to, co się wydarzy.

Zdecydowanie. Zresztą, co miałoby się wydarzyć? Przecież z góry wiemy, jak skończy się ich historia. Żeby finał był inny, musielibyśmy fantazjować. Nie chciałem zmyślać. Zależało mi, żebyśmy weszli do okrętu i popłynęli razem z jego załogą do kresu.

Ukończył Pan Wydział Operatorski łódzkiej Szkoły Filmowej. Jak układała się współpraca na planie „Orła" z wybitną autorką zdjęć Jolantą Dylewską?

Przed rozpoczęciem realizacji spotykaliśmy się z Jolą od czasu do czasu i za każdym razem dopytywała mnie o „Orła". Intuicja podpowiadała mi, że kobieca wrażliwość dostrzeże i poczuje coś szczególnego w historii grupy mężczyzn. Opowiadałem Joli o moim projekcie i liczyłem w duchu, że w końcu spodoba się jej na tyle, że będzie chciała wziąć w nim udział. No i któregoś razu powiedziała, żebym wziął pod uwagę jej kandydaturę. A ja już wtedy wiedziałem, że jesteśmy w „Orle" razem.

Dostawałem od moich bohaterów niezwykle dużo, ale w pewnym momencie proporcje zmieniły się i ich świat zaczął mnie pożerać. **Odbierał mi życie osobiste i opanowywał wyobraźnię.** Czyli mój świat.

BARTOSZ MROZOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Jacek Bławut, Gdynia, maj 2019 r.

Rozumieliśmy się z Jolą bez słów. Była między nami chemia.

W czym się przejawiała?

Na przykład potrafiliśmy rozstrzygać, jak okręt się poci. Jak to się dzieje? Jak uzyskać odpowiednią fakturę zdjęć? Czy krople mają spływać po obiektywie? Rozmawialiśmy o różnych rodzajach oświetlenia, o bliskiej nam kolorystyce. Szukaliśmy inspiracji w malarstwie. Nasze założenia oczywiście zmieniały się w trakcie pracy nad filmem. Kiedy wydawało się, że mamy skrystalizowaną koncepcję, okazywało się, że powinniśmy ją zmodyfikować, aby nie popaść w schemat, w którym coś konsekwentnie pokazujemy w zimnych odcieniach, a coś innego w ciepłych. Każde ujęcie rozpatrywaliśmy indywidualnie. Bohaterowie byli coraz bardziej zmęczeni, narastał niepokój, a okręt ulegał stopniowej degradacji: parował intensywniej, uszkodzenia były coraz poważniejsze. Zależało nam, żeby uszkodzenia mechaniczne szły w parze z emocjami załogantów, na przykład jakieś pęknięcie dopowiada i podkreśla to, co w danej chwili czuje któryś z bohaterów.

Kapitan Grudziński umiera, gdy okręt się rozlatuje. I na odwrót – okręt rozlatuje się wraz z umieraniem kapitana Grudzińskiego.

„Orzeł" to Pana kolejny film, którego bohaterami są mężczyźni. Z czego to wynika?

Zadaję sobie to pytanie od lat. Może robię filmy o mężczyznach dlatego, że ich nie znam? Może dlatego, że ojciec zmarł, kiedy byłem chłopcem? Może dlatego, że wychowałem się z mamą na odludziu, w średniowiecznym zamku? Może dlatego, że przez całe życie czułem lęk i zagrożenie? Nie wiem.

Nie rozumie Pan mężczyzn?

Sądzę, że można ich poznać w sytuacjach granicznych. Faceci sprawiają wrażenie, jakby swoje żagle nastawiali tak, by wiatr prowadził ich na granicę przepaści. Do miejsca bez odwrotu. I dopiero kiedy stają w takim miejscu, zrzucają maski i przynajmniej na chwilę stają się sobą.

Dzięki kinu udało się Panu lepiej zrozumieć mężczyzn?

Skłamałbym, gdybym powiedział, że tak. Ale moja droga przez życie z kinem daje mi możliwość zobaczenia czegoś więcej i poznania samego siebie. Filmy mnie zmieniały i kształtowały. Każdy dawał mi coś niezwykłego i zostawiał trwały ślad. Dzięki nim więcej widzę. Ile jeszcze mogę zobaczyć? Idę dalej, ta droga jeszcze się nie skończyła.

Mówił Pan: „Robię filmy, bo muszę. Tak samo jak muszę oddychać, jeść, spać. Robię filmy, bo nie znalazłem bardziej fascynującego sposobu na poznanie życia we wszystkich jego wymiarach".

Takie przeżywanie, uczestniczenie w życiu swoich bohaterów to coś niezwykłego. Nie tylko w filmie dokumentalnym. W okresie pracy nad „Orłem", kiedy wstawałem rano, nie mogłem się doczekać, aż odpalę komputer i znowu wejdę do tego świata – będę poznawał załogę i żył z nią. To jak wejście w inną rzeczywistość. Ale wie pan, jak trudno wraca się z takich wypraw? Co wtedy się zastaje? Zastaje się pustkę. I człowiek szuka sposobu, żeby znów wyruszyć w podróż. Robienie kina pod tym względem trochę przypomina wyprawy wysokogórskie. Poszukuje się emocji, chce się doświadczać czegoś wyjątkowego. W pewnym momencie już trudno bez tego żyć.

Brzmi pasjonująco, ale też groźnie.

Oczywiście. Robiąc filmy o ludziach chorych na alkoholizm, „Szczura w koronie" i „Ja, alkoholik", w pewnym momencie poczułem, że sam ginę i tonę. To mnie przerażało, chciałem się od tego uwolnić. Zatracałem siebie i swoje życie. Czułem, że są miejsca, do których nie powinienem wchodzić. Dostawałem od bohaterów niezwykle dużo, ale w pewnym momencie proporcje zmieniły się i ich świat zaczął mnie pożerać. Odbierał mi życie osobiste i opanowywał wyobraźnię. Czyli mój świat.

Mimo to uważam, że nie ma w życiu nic ważniejszego niż dawanie ludziom nadziei. Wierzyłem, że moimi filmami mogę komuś pomóc wyjść na prostą.

Czasami to się udawało.

A czasem nie. Mam jednak wiarę w to, że komuś w czymś pomogłem. Po premierze „Orła" na festiwalu w Gdyni jeden z konsultantów przedstawił mi swojego kolegę z pracy. Okazało się, że on zna na pamięć moje filmy, zwłaszcza „Szczura w koronie". Powiedział, że kiedy był na dnie, stracił wszystko i był bardzo blisko śmierci, one go uratowały. Odkąd obejrzał „Szczura w koronie", jest trzeźwy. Od tego czasu minęły już lata. A kiedy dopada go kryzys, wraca do tego filmu. On ratuje jego i jego najbliższych. Wiem, że takich osób jest więcej. To dla mnie największa nagroda.

© Rozmawiał BARTOSZ MARZEC

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WEINSTEIN GALLERY, SAN FRANCISCO

Tamara Łempicka, Blask (L'Éclat), 1932 r., Collection Rowland Weinstein

Kwestia gustu

PIOTR KOSIEWSKI

Starannie kreowała siebie jako kobietę wysublimowaną, piękną, modną i bogatą. Jej sztuka szybko stała się stylem biznesowych i kulturalnych elit. Usunięta na artystyczny margines, teraz powraca.

Wielkie zainteresowanie twórczością Tamary Łempickiej przyszło wraz z modą na *art déco*. Jej obrazy nabyli m.in. Madonna, Jack Nicholson czy Barbra Streisand. Jednak nadal znajdowała się na marginesie historii sztuki XX wieku, podobnie jak wiele innych artystek i artystów, którzy w dwudziestoleciu międzywojennym dostosowali awangardowe eksperymenty do gustów ówczesnych elit i osiągnęli popularność. Prace Łempickiej nadal były nieobecne w ważnych ekspozycjach poświęconych sztuce jej czasu.

Obecnie można obejrzeć dwie wystawy jej poświęcone: w krakowskim Muzeum Narodowym oraz w Muzeum Villa la Fleur w podwarszawskim Konstancinie. Obie przyciągają tłumy, ale czy mogą sprawić, że Łempicka trafi do kanonu ubiegłowiecznej sztuki? Obie ekspozycje poprzedziła trzecia, zorganizowana w tym roku w Muzeum Narodowym w Lublinie. Ją też obejrzało blisko 87 tys. osób, co było ogromnym frekwencyjnym sukcesem.

Na miękko

Grzegorz Musiał napisał o niej powieści („Ja, Tamara" i „Tamara, córka wulkanu"), John Krizanc poświęcił jej sztukę teatralną, doczekała się też kilku biografii. Trafiła do kultury masowej, jednak jej historia, przedstawiana w sensacyjnej stylistyce, przysłania dorobek. Same dzieła były zaś sprowadzane do luksusowych bibelotów lub zwykłych gadżetów, np. jako motywy nadrukowywane na apaszki czy skarpetki, których nabycie sprawia, jak można dowiedzieć się w reklamówce ich producenta, że „nosisz ze sobą jej: – oryginalność, – odwagę, – tajemniczość, – sukces".

Skandalizująca otoczka, banalizacja i medialny szum powodują, że łatwo zignorować dorobek Łempickiej. Tym bardziej że od jej biografii nie można jednak uciec. Starannie ją przecież konstruowała i wykorzystywała do popularyzacji twórczości. Nie stroniła od manipulowania faktami, także najbardziej podstawowymi. Podawała różne daty urodzenia, a to 1896 r., a to 1900 r. A także miejsca – zapewne przyszła na świat w Moskwie, w rodzinie polsko-żydowskiej. Jednak przyznawała się do Warszawy – polskość była ważnym elementem jej publicznej tożsamości.

Po rewolucji bolszewickiej z mężem Tadeuszem Łempickim wyjechała do Paryża. Studiowała malarstwo, najpierw u Maurice'a Denisa, a następnie w pracowni André Lhote'a. Szybko się usamodzielniła – po raz pierwszy jej prace zostały wystawione na Salonie Jesiennym w 1922 r. Szybko też wypracowała rozpoznawalny styl: wyidealizowane portrety i akty o formach zapożyczonych z kubizmu i futuryzmu, o nasyconej gamie barwnej i dopieszczonej fakturze płótna. Nieprzypadkowo Lhote określił jej malarstwo mianem „miękkiego kubizmu".

Elegancko

Lata spędzone w Paryżu to czas największych sukcesów Łempickiej. Twórczość

TAMARA DE LEMPICKA ESTATE LLC / MATERIAŁY PRASOWE X2

Tamara Łempicka, Modelka II, ok. 1957 r.

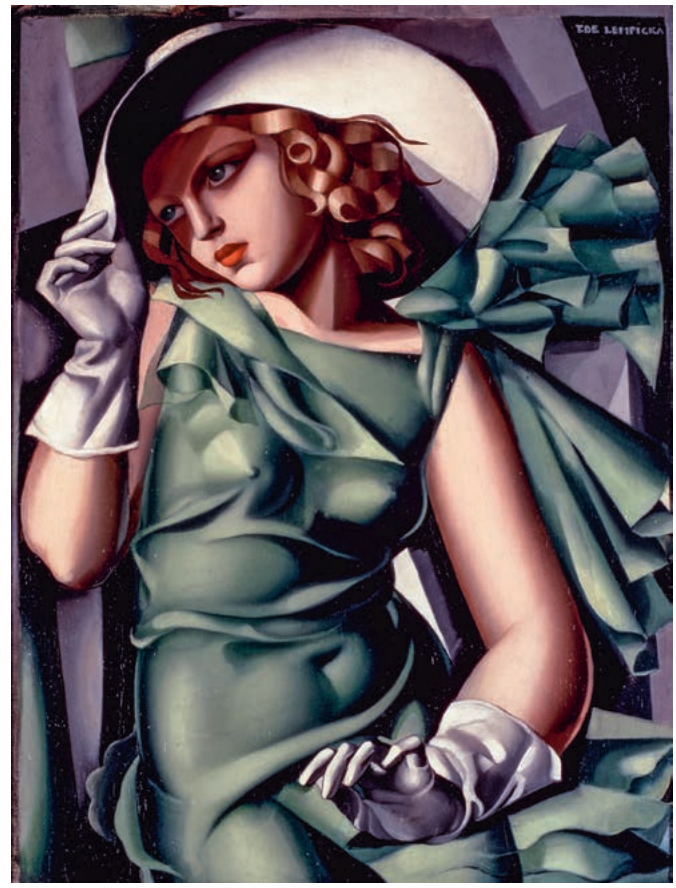

Tamara Łempicka, Dziewczyna w zieleni, 1927-1930 r.

z tego okresu dominuje też na wystawie w Muzeum Narodowym. Znalazło się na niej 35 obrazów pochodzących z muzeów oraz zbiorów prywatnych w Europie i Stanach Zjednoczonych. Są wśród nich najbardziej znane prace Łempickiej: „Kizette na balkonie" z 1927 r., powstały w kolejnym roku nieukończony portret męża artystki Tadeusza czy „Dziewczyna w zieleni" (1927-1930). Są również obrazy późniejsze, w tym przykłady jej malarstwa abstrakcyjnego z lat 50.

Wystawa w Konstancinie jest większa. Znalazło się na niej ponad 70 dzieł, w tym wczesne prace Łempickiej. Oprócz obrazów są tu jej rysunki i grafiki oraz pamiątki, w tym biżuteria i korespondencja. Wreszcie, co było bardzo dobrym pomysłem, zaprezentowano prace artystek i artystów jej współczesnych, m.in. Alicji Halickiej, Marie Laurencin i Lhote'a. Pokazują one dobrze konteksty, w których tworzyła.

Specjalnością Łempickiej stały się portrety. Postaci wypełniają niemal całą przestrzeń obrazu. Ich twarze oddawała z wielką precyzją, dbając o staranne wykończenie płaszczyzny. Całą resztę – ubrania, tło – sprowadzała do geometrycznych, uproszczonych form, bliskich dziełom kubistów. W niektórych portretach, jak w przedstawieniu starca z mandoliną czy „Matce przełożonej" (oba z 1935 r.), zbliża się do stylistyki niemieckiej Nowej Rzeczowości, malarstwa Otto Diksa czy Christiana Schada z ich upodobaniem do weryzmu, chociaż brak jej bezkompromisowości spojrzenia i krytycznego oglądu rzeczywistości społecznej właściwych najwybitniejszym przedstawicielom tego nurtu.

Jak podkreślała, dla niej ważne było „stworzenie nowego stylu, jasnych świetlistych kolorów i wyczuwanie elegancji w modelach". Nie zamierzała obnażać portretowanych, ujawniać ich niedoskonałości. Przeciwnie, nie stroniła od idealizacji. Słowem kluczem był „gust", który stał się dla niej najważniejszą wartością. Powstawały zatem obrazy bardzo dekoracyjne, ale większość z portretowanych przypomina marionety zatrzymane w wystudiowanych pozach. Z rzadka udawało jej się przełamać tę sztywność, jak w przypadku „Saint Moritz" z 1929 r., ostatniego wykonanego przez Łempicką portretu Iry Perrot, z którą przez wiele lat była w związku.

Nowocześnie

Na twórczość Łempickiej można spojrzeć jako na jeden z przykładów powrotu do figuracji, który nastąpił w latach 20. Zwrotu ku formom klasycznym, ale ze świadomością awangardowych eksperymentów z początku XX wieku. Była to „nowoczesność oswojona", która szybko stała się stylem biznesowych i kulturalnych elit. Potem zaś usunięto ją na margines.

Łempicka wręcz celebrowała nowoczesność. Pokazywała ludzi otwartych na zmiany cywilizacyjne i kulturowe. Miasto to podstawowa przestrzeń, w której rozgrywają się jej obrazy. Widoki oglądanych przez nią w 1929 r. nowojorskich wieżowców pojawiają się w tle portretowanych osób. Sama siebie także przedstawiała jako nowoczesną kobietę. Dziś najbardziej znanym jej dziełem jest – przywołany w Konstancinie niestety jedynie reprodukcją – autoportret „Tamara w zielonym bugatti". Zamieszczony w lipcu 1929 r. na okładce berlińskiego czasopisma „Die Dame", uczynił ↦

↦ z Łempickiej symbol współczesnej artystki. I za taką była uznawana – wzięła udział m.in. w pokazie „Les femmes artistes d'Europe", zorganizowanym w 1937 r. w paryskim Jeu de Paume przy okazji Wystawy Światowej.

Ale w twórczości Łempickiej są silnie obecne wątki zupełnie nieoczywiste. Jeden z nich to postacie o ambiwalentnej tożsamości płciowej, kobiety silne i pewne siebie, o ostrych rysach i krótko obciętych włosach. Intrygujące i zarazem niepokojące, jak sportretowana (nago!) w 1933 r. słynna pieśniarka i aktorka kabaretowa Suzy Solidor. Jednocześnie Łempicka była autorką aktów przestawiających kobiety w niezwykle erotycznych pozach – jak „Piękna Rafaela" z 1927 r. – bezpruderyjnie prezentujące swą cielesność. Będące obiektami męskiej pożądliwości, ale świadome własnej seksualności oraz gry, jaką prowadzą.

W nowatorski sposób budowała swój wizerunek. Sprawnie inscenizowała własne życie i używała go jako narzędzia reklamy, wykorzystując nadarzające się okazje, jak wizytę w 1926 r. u Gabriela D'Annunzio, włoskiego poety, dramaturga i prozaika, jednej z najbardziej wpływowych postaci tego czasu. Z tego spotkania, podczas którego, jak określiła biografka Łempickiej Gioia Mori: „wszystko się stało – czy raczej nic się nie stało", malarka stworzyła opowieść pełną niejednoznaczności, a D'Annunzio ofiarował jej wiersz z dedykacją: „La Donna d'Oro".

Starannie kreowała siebie jako kobietę wysublimowaną, modną i bogatą. Ważnym elementem tej kreacji były filmy i sesje zdjęciowe zamawiane u wybitnych fotografów mody – ich wybór jest prezentowany na obu wystawach. Można zobaczyć film „Un bel atelier moderne" z 1932 r., pokazujący Tamarę Łempicką w jej paryskiej pracowni wzniesionej według projektu głośnego architekta Roberta Malleta-Stevensa, którą nabyła w 1928 r. Pracuje właśnie nad portretem w jasnych, przestronnych wnętrzach, wypełnionych meblami m.in. autorstwa René Herbsta oraz swojej siostry Adrianny Górskiej de Montaut. To nowoczesna artystka, zajmująca nowoczesną pracownię i otoczona nowoczesnymi przedmiotami, w przeciwieństwie do mężczyzn-artystów pokazanych w tym filmie.

Celebrowała nowoczesność. Pokazywała ludzi otwartych na zmiany cywilizacyjne i kulturowe, najczęściej na tle miejskiego pejzażu. **Siebie także przedstawiała jako kobietę nowoczesną.**

Na nowo

W latach 30. jest zaniepokojona sytuacją w Europie. Zanim jeszcze Hitler dochodzi do władzy w Niemczech, maluje przejmujących „Uchodźców" (1931). Jej drugi mąż, a wcześniej kolekcjoner prac Łempickiej, baron Raoul Kuffner po Anschlussie Austrii w 1938 r. wywozi część swojego majątku do Szwajcarii. Ostatecznie oboje w 1939 r. wyjeżdżają do Los Angeles i zamieszkują w willi wynajętej od reżysera Kinga Vidora. Łempicka na nowo tworzy swój wizerunek, wykorzystując także nowy, arystokratyczny tytuł. Jako „baronowa z pędzlem" maluje dla elity towarzyskiej Zachodniego Wybrzeża. Jednak, co sama zauważa, jej malarstwo staje się coraz bardziej archaiczne.

Poszukuje nowego stylu. Przygląda się twórczości surrealistów, ale bliższa jej była twórczość dawnych mistrzów – od dawna się nimi fascynowała. Powstają martwe natury, wystudiowane, precyzyjnie wykonane, ale też chwilami ocierające się o kicz. Próbuje swych sił w malarstwie abstrakcyjnym, by ostatecznie zacząć tworzyć pejzaże czy martwe natury malowane szpachlą, o bogatej fakturze. Tym razem „oswojenie" ówczesnych nowatorskich poszukiwań, połączenie nowoczesności z tradycją nie spotyka się z zainteresowaniem publiczności.

Umiera w 1980 r., kiedy jej najciekawsza twórczość jest właśnie na nowo odkrywana. © PIOTR KOSIEWSKI

ŁEMPICKA, Muzeum Narodowe, Kraków, wystawa czynna do 12 marca 2023, kurator: Światosław Lenartowicz

TAMARA ŁEMPICKA A ART DÉCO, Muzeum Villa la Fleur, Konstancin-Jeziorna, wystawa czynna do 17 grudnia 2022, kuratorzy: Maria Muszkowska, Artur Winiarski

TP NOMINACJE DLA AUTORÓW „TYGODNIKA"

Dwanaście materiałów dziennikarskich otrzymało nominacje do tegorocznej Nagrody Radia Zet im. Andrzeja Woyciechowskiego. Pośród nominowanych autorów jest nasz publicysta, **TOMASZ STAWISZYŃSKI**. Nagrodę otrzymują autorzy materiałów, które zdaniem Kapituły łamią stereotypy, wykraczają poza schematy i zaglądają za kulisy otaczającej nas rzeczywistości. Wyniki już 16 listopada.

Fundacja EFC

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI został nominowany do Nagrody im. prof. Romana Czerneckiego w kategorii „publicystyka" za teksty: „Lekcja pokoju w czasie wojny" (rozmowa z pedagogiem dr. Michałem Paluchem), „Nieobecność usprawiedliwiona", „Niewychowanie fizyczne" – opublikowane na łamach „Tygodnika Powszechnego". Nagrodę tę Fundacja EFC przyznaje naukowcom, praktykom i dziennikarzom za publikacje o edukacji. Wyniki poznamy 28 listopada.

SERDECZNIE GRATULUJEMY WSZYSTKIM NOMINOWANYM!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ROBERT PALKA / NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

Produkcja serialu „Wielka woda", 2022 r.

My to nasz bohater

JAKUB MAJMUREK

Polskie filmy i seriale ostatnich lat rzadko portretowały obywateli, członków politycznej wspólnoty, próbujących angażować się na jej rzecz. W tym sensie „Wielka woda" to produkt wyjątkowy.

W nowym serialu Jana Holoubka i Kacpra Bajona, rozgrywającym się we Wrocławiu w trakcie wielkiej powodzi w 1997 r., mamy dwa główne wątki. Pierwszy można określić jako osobisto-rodzinny. Wykształcona w Holandii hydrolożka Jaśmina Tremer przyjeżdża do stolicy Dolnego Śląska nie tylko po to, by walczyć z zagrażającym miastu żywiołem, ale także, by zmierzyć się z własną przeszłością. Kobieta opuściła przed laty Wrocław, zostawiając za sobą bliskich i nierozwiązane sprawy rodzinne. Jak w gatunkowym schemacie hollywoodzkiego kina katastroficznego przystało, katastrofa naturalna staje się punktem wyjścia do odnowienia i potwierdzenia rodzinnych więzi.

Twórcy serialu deklarowali, że to właśnie ten wątek był dla nich najważniejszy. Gdyby „Wielka woda" ograniczała się tylko do niego, byłaby – mimo siły obrazów tonącego miasta – dość przeciętną produkcją. W serialu Netfliksa pojawia się jednak jeszcze jeden wątek, który można by nazwać „obywatelskim". „Obywatelskim", gdyż przedstawia bohaterów jako obywateli, portretuje ich relacje z państwem i jego instytucjami, stawia pytania o to, jak stan państwa, samorządu, instytucji i układy rządzących nimi interesów uniemożliwiły racjonalną odpowiedź na wyzwanie zbliżającej się katastrofy naturalnej, często wręcz pogłębiając problem.

Wątek ten dominuje w pierwszej połowie serialu, by zniknąć w dwóch ostatnich odcinkach. Przyznajmy: bywa dość powierzchowny. „Wielka woda" nie przedstawia tak przenikliwego obrazu miasta w kryzysie, jak David Simon w serialu „Prawo ulicy", gdzie każdy kolejny sezon przynosił nowe spojrzenie na Baltimore, pokazywane przez działanie – czy raczej dysfunkcję – różnych obecnych w mieście instytucji: od policji i gangów narkotykowych po lokalną prasę. Jednak już sam fakt, że w „Wielkiej wodzie" ta „obywatelska" perspektywa w ogóle się pojawia, czyni ją produkcją wyjątkową na tle powstających w Polsce po roku '89 filmów i seriali.

Zwrot anty-polityczny

W ostatnich dekadach polskie kino i telewizyjna produkcja wycofały się w prywatność. Dziś się to pomału zmienia, ale jeszcze 10-15 lat temu można było śmiało przyjąć, że losowo wybrany reżyser powie w wywiadzie coś w stylu: „mnie nie interesuje polityka i ideologia, tylko człowiek i jego uniwersalne problemy".

Naszych filmowców znacznie bardziej niż rodząca się demokracja i społeczeństwo obywatelskie interesowała gospodarka rynkowa i wszystkie związane z nią zjawiska: nowe hierarchie społeczne budowane na pieniądzu, brutalna walka o własność i pozycję – często toczona ↦

↦ z użyciem nielegalnych metod, a nawet zorganizowanej przemocy – czy, rzadziej, los tych, którzy przez nowe realia zostali wyrzuceni na margines społeczeństwa.

Bez problemu wskażemy polskie filmy o przedsiębiorcach budujących fortuny na początku lat 90., o gangsterach z bronią w ręku walczących o swoje miejsce przy stole czy zagubionych w realiach rynkowych inteligentach – o wiele trudniej wskazać tytuły mówiące o politykach, kampaniach wyborczych, codziennym funkcjonowaniu państwowych instytucji i wyzwaniach, z jakimi mierzyć się muszą kierujące nimi osoby, czy aktywistach, którzy próbują coś zmienić na lepsze.

Przełomowe wybory w 1989 r. doczekały się tylko jednego portretu na dużym ekranie, w „Przeklętej Ameryce" (1991) Krzysztofa Tchórzewskiego – choć tam były tylko tłem dla rodzinnego melodramatu. Właściwie jedyny polski film kampanijny – co w kinematografii amerykańskiej jest bardzo popularnym formatem – to „Gracze" (1995) Ryszarda Bugajskiego, osadzeni w trakcie pierwszych wyborów prezydenckich w Polsce, które obserwujemy z punktu widzenia młodego pracownika sztabu Wałęsy, Janka. „Gracze" utrzymani są w konwencji politycznego thrillera, widzimy w nich działania obcych służb, próbujących zdestabilizować rodzącą się demokrację przez kandydaturę Stana Tymińskiego. Za tą sensacyjną fabułą kryła się gorzka refleksja: wyborcza konkurencja niszczy solidarnościową wspólnotę. Prowadziło to twórców do konstatacji, że polityka jest tak brudna, że najlepiej trzymać się od niej z daleka.

Kino faktycznie się trzymało, podobnie jak telewizja. Właściwie jedynym polskim serialem, który bierze na warsztat politykę parlamentarną, była „Ekipa" (2007) Agnieszki Holland. Serial przedstawiał wcześniej nieznanego nikomu ekonomistę i politologa z Zamościa – Antoniego Turskiego – który nagle zostaje premierem. Choć wszyscy wieszczą mu rychłą klęskę, radzi sobie zaskakująco dobrze. Turski myśli bowiem niekonwencjonalnie, nie ogląda się na partyjne etykietki, zaprasza do współpracy niezależnych ekspertów z akademii i sektora prywatnego.

„Ekipa" wyraża często wracającą w polskiej przestrzeni publicznej fantazję o rządzie niezależnych fachowców, zdolnych rozwiązywać realne problemy społeczeństwa w poprzek partyjnych wojenek. Serial ma przy tym premierę w momencie, gdy krystalizuje się podział PiS-PO, a wraz z nim dominacja oligopolu dwóch profesjonalnych, wielkich maszyn partyjnych. Ten oligopol do dziś dba o to, by podobne marzenie pozostało w sferze fantazji.

Jak skorumpowane nie byłoby państwo, warto **zaangażować się w działania na rzecz jego naprawy** – mówią ostatnie dzieła Jana Holoubka i Kaspra Bajona.

Państwo bezradne i państwo-układ

Częściej niż polityków widzieliśmy na ekranie obywateli w relacjach z państwowymi instytucjami. Dominowały dwa podstawowe scenariusze: państwa bezradnego i państwa-układu.

W kinie i telewizji lat 80. państwo przedstawiane jest jako twór nachalny, uciążliwy, przeszkadzający obywatelom, którzy w wiecznie pogrążonej w kryzysie Polsce próbują ułożyć sobie życie. Tak państwo przedstawione jest jeszcze w produkcji, którą można uznać za granicę między kinem schyłkowego PRL-u a kinem III RP, filmie „Kapitał, czyli jak zrobić pieniądze w Polsce" (1989) Feliksa Falka. Nemesis głównego bohatera, Piotra Nowosada, naukowca, który wraca do Polski czasów przełomu z zagranicznego stypendium i próbuje sił w biznesie, jest niejaki Marian Dusza, który niszczy jego przedsięwzięcia biznesowe jako urzędnik kolejnych instytucji – raz sanepidu, raz skarbówki.

Kino szybko jednak rozpoznaje, że państwo tak naprawdę pozostaje bezradne wobec nowej rzeczywistości, tak jak bezradny w trakcie swojej pierwszej poważnej policyjnej akcji okazuje się Franz Maurer z „Psów" (1992) Władysława Pasikowskiego. Starzy ubecy przeniesieni do policji kryminalnej są równie niekompetentni jak policjanci z nowego naboru, obława na motel, gdzie ukrywać się ma szajka przemytników samochodów, kończy się masakrą funkcjonariuszy. Scena ta daje się czytać jako metafora bezsiły państwa wobec eksplozji zorganizowanej przestępczości i związanych z nią zjawisk, pojawiających się w warunkach ustrojowego przełomu. W serialach policyjnych – „Ekstradycji" (1995-98), „Pitbullu" (2005-08), „Glinie" (2010) – wraca podobny obraz: zmęczeni życiem, kiepsko opłacani policjanci toczą beznadziejną walkę ze światem zorganizowanej przestępczości, który ciągle wydaje się o jeden krok przed słabym, zdezorganizowanym, zabiedzonym i bezsilnym państwem.

Obraz bezradności państwa najbardziej dramatyczny ton przyjmuje w „Długu" (1999) Krzysztofa Krauzego. Film jest oparty na prawdziwej historii. Dwójce przyjaciół terroryzowanych przez gangstera, odbierającego im wszystko na rzecz spłaty wziętego z powietrza „długu", policja w żaden sposób nie jest w stanie pomóc. Funkcjonariuszka, do której przychodzi jeden z mężczyzn, oferuje co najwyżej wezwanie gangstera na przesłuchanie i pouczenie go. „Nie będzie się czuł bezkarny" – mówi, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, jak absurdalna jest jej propozycja.

Podobną diagnozę stawia „Pewnego razu w listopadzie" (2017) Andrzeja Jakimowskiego: widzimy tam, jak państwo abdykuje wobec dzikiej reprywatyzacji warszawskiego zasobu mieszkaniowego, która wpycha emerytowaną nauczycielkę i jej studiującego prawo syna w bezdomność. Jedyną instytucją gotową pomóc tej dwójce okazuje się anarchistyczny skłot, zaatakowany w trakcie Marszu Niepodległości przez nacjonalistów przy obojętności policji.

Obok obrazu państwa bezradnego pojawia się też wspomniana figura państwa jako układu. Zakłada ona, że demokracja i rządy prawa to w III RP tylko fasada, kryjąca rzeczywistą władzę nad państwem korupcyjnych czy wprost przestępczych układów, często zakorzenionych w służbach dawnego ustroju lub obcych państw.

Obraz państwa przejmowanego przez układ obecny był już w „Psach", ale po-

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE

Agata Kulesza w filmie „Pewnego razu w listopadzie", 2017 r.

tem powracał, jak kanon, w policyjnych serialach i kinie sensacyjnym. W różnych konfiguracjach powtarza się też w kinie Wojciecha Smarzowskiego. W jego pierwszym „Weselu" (2004) państwo na prowincji to bogaty gospodarz, zaprzyjaźniony z nim policjant i przedstawiciel władz lokalnych, wszyscy połączeni nićmi nieczystych interesów. W „Drogówce" (2013) korupcyjne układy oplatają zarówno warszawską policję, jak i krajową politykę.

W „Układzie zamkniętym" (2013) Ryszarda Bugajskiego opanowane przez ludzi dawnego systemu prokuratura i skarbówka niszczą obiecujący, nowoczesny biznes trójki młodych ludzi, by przejąć go dla siebie. W „Smoleńsku" (2016) Antoniego Krauzego nitki wiodą wprost do Kremla, który morduje polskiego prezydenta, bo podjął z Rosją wielką geopolityczną grę o wolność państw powstałych z rozpadu ZSRR.

We wszystkich tych narracjach obywatel pozostaje bezradny, a jego próby przełamania układu czy korupcji skazane są na klęskę. Wszystko to prowadzi albo do nihilistycznej rezygnacji, jaka przebija z obrazów Smarzowskiego, albo do swoistego upojenia się nihilistyczną wizją społecznej rzeczywistości – z czym mamy do czynienia w malujących Polskę czarnym na czarnym dziełach Patryka Vegi, wśród nich „Polityką" (2019).

Przestrzeń do zaangażowania

Na tle tych obrazów „Wielka woda" jest produkcją wyróżniającą się. Podobnie jak poprzednie dzieło Jana Holoubka, „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy" (2020). W tamtym filmie widzieliśmy państwo bezradne wobec brutalnych mordów i gwałtów popełnianych na młodych kobietach, zdolne jednak skutecznie wrobić w przestępstwo człowieka, który w oczywisty sposób jest niewinny. Przepracowane sądy okazują się tu niezdolne przyjrzeć się wszystkim wątpliwościom co do narracji prokuratury i wyznaczonego z urzędu obrońcy, który w sprawie swojego klienta nie zamierza robić nic więcej niż to, co absolutnie konieczne. Więzienie okazuje się piekłem na ziemi, gdzie nie ma mowy o przestrzeganiu podstawowych praw człowieka, a strażnicy nie mają najmniejszego zamiaru chronić osadzonych przed przemocą współwięźniów – chyba że grozi to psującą statystyki śmiercią na oddziale.

„25 lat niewinności" nie ucieka jednak w nihilizm. Państwo okazuje się ostatecznie zdolne do oczyszczenia. Nie samo, ale za sprawą determinacji zarówno Komendy, jak i grupy prokuratorów, którzy nie tylko rozpoznają, że skazany został niewinny człowiek, ale także decydują się zaangażować, by doprowadzić do unieważnienia niesprawiedliwego i bezsensownego wyroku. Jak skorumpowane nie byłoby państwo, warto zaangażować się w obywatelskie działanie na rzecz jego naprawy – mówi filmowa historia Komendy.

W „Wielkiej wodzie" także widzimy państwo, które w momencie dziejowej katastrofy nie zdaje egzaminu. Z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że nie nadąża za zbyt szybko zmieniającą się rzeczywistością. Jego kadry ciągle tkwią głęboko w przeszłości, w systemie, który skończył się przy Okrągłym Stole. Szef wrocławskiej policji wspomina z rozrzewnieniem, jak to w latach 80. rozpędzał demonstracje opozycji, ale zupełnie nie radzi sobie z przeprowadzeniem sprawnej interwencji wobec ludności bezprawnie blokującej wysadzenie wałów przeciwpowodziowych. Wojsko jedną nogą jest już w NATO, ale mentalnie wciąż w przeszłości. Hydrolodzy, z którymi spiera się Jaśmina, doktoraty robili gdzieś za późnego Gomułki. Władze wojewódzkie nie są w stanie dostarczyć aktualnych map dorzecza Odry, na których widać byłoby przemiany, jakim uległy okolice rzeki w związku z ekspansją nowej, rynkowej gospodarki – przez co robione na podstawie starych danych symulacje okazują się nic nie warte.

Państwo w „Wielkiej wodzie" nie jest kontrolowane przez układ, ale paraliżują je różne małe układziki, prywatyzujące publiczne zasoby. Nie da się np. spuścić na czas wody ze zbiornika retencyjnego, bo urzędujący wiceminister zaplanował sobie na nim regaty jako część swojej kampanii wyborczej. Państwo nie budzi też zaufania obywateli. Mieszkańcy wioski, która ma zostać zalana, by ocalić Wrocław, nie wierzą w żadne zapewnienia władz, pamiętają tylko, że premier powiedział, że trzeba się było ubezpieczyć. Suma indywidualnych egoizmów, większych i mniejszych układzików, zwykłej niekompetencji i bezwładności publicznych instytucji uniemożliwiają skuteczną ochronę miasta przed żywiołem.

Jaśmina i drugi główny bohater, zastępca wojewody Jakub Marczak, ponoszą klęskę w walce nie tylko z żywiołem, ale też z dysfunkcjonalnym państwem. Ale produkcja nie zostawia nas z poczuciem, że ich zaangażowanie nie miało sensu. W tle ich historii widzimy, jak wielka mobilizacja mieszkańców Wrocławia, z prezydentem na czele, chroni centrum miasta przed jeszcze gorszą katastrofą.

Rzeczywistość nie będzie lepsza, jeśli nie zaangażujemy się w nią jako obywatele – wydaje się mówić serial. Warto docenić ten przekaz – rzadko zdarza się polski film lub serial traktujący widzów poważnie jako obywateli właśnie.

© JAKUB MAJMUREK

W piekle milczenia

ANITA PIOTROWSKA

Bystra, ambitna, wyzwolona dziewczyna staje się konspiratorką i przestępczynią, gdyż postanowiła ukończyć studia i w przyszłości zostać matką na własnych warunkach.

Działo się to niedługo po tym, jak film stworzył nową kobietę, a ona wylansowała zalotny stanik zwany bardotką. Na potańcówkach wywijało się rock'n'rolla, dopiero co zakończyła się wojna w Algierii, a Jean-Paul Sartre zdążył się okazać „pożytecznym idiotą". Był rok 1963 i we Francji obowiązywało surowe prawo antyaborcyjne, które zostanie zliberalizowane dopiero dwanaście lat później. Pisarka Annie Ernaux miała wtedy dwadzieścia trzy lata i jako studentka pochodząca z ubogiej rodziny robotniczej szczególnie boleśnie doświadczyła, czym jest strach związany z niechcianą ciążą. I jak smakuje kobieca samotność tudzież związana z nią zmowa milczenia.

Przenosząc na ekran „Zdarzyło się", autobiograficzną powieść dzisiejszej noblistki, francuska reżyserka i współscenarzystka Audrey Diwan, mająca korzenie libańskie, stosuje częsty w filmach o tej tematyce „tryb szeptany". Aborcja jest, ale o tym się nie mówi – pewne słowa wręcz nie mogą przejść przez gardło. Kiedy Anne, prymuska na wydziale literatury uniwersytetu w Angoulême, przestaje miesiączkować, oznacza to „koniec świata".

Dla niej – przerwane studia, koniec marzeń o społecznym awansie i pisaniu, powrót na prowincję i samotne macierzyństwo z nieślubnym dzieckiem. Dla najbliższych – zawiedzione nadzieje i chybioną inwestycję. Dziewczynę gra pochodząca z Rumunii wielkooka aktorka Anamaria Vartolomei (rocznik 1999) i całym swym napiętym ciałem odtwarza milczący dramat Anne. Jego kolejne akty są niczym kartki z kalendarza nieubłaganie odmierzające czas, który pozostał do przeprowadzenia nielegalnego zabiegu. A więzienie grozi lekarzowi, pacjentce i wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób by w tym pomogli. Stąd film Diwan to w dużej mierze historia odbijania się od kolejnych drzwi i studium różnych, naznaczonych strachem reakcji.

Z polskiej perspektywy „Zdarzyło się" wygląda cokolwiek egzotycznie. Nikt tu bowiem nie roztrząsa kwestii etycznych ani religijnych i chociaż polityka funkcjonuje jedynie w domyśle, to żywy pozostaje kontekst klasowy tej opowieści. Paragrafy tworzą atmosferę szczególnego terroru, bo problemem jest nie tylko ich złamanie, ale i dotkliwy w tym przypadku ciężar finansowy, nie mówiąc o ryzyku utraty zdrowia czy nawet życia w warunkach chałupniczo przeprowadzonego zabiegu.

Diwan wiernie podąża za swą bohaterką. Pokazuje jej coraz większą determinację i zarazem coraz większe wyobcowanie – w żeńskim akademiku, w salach wykładowych, gabinetach ginekologicznych, w rodzinnym domu... Bystra, ambitna, wyzwolona dziewczyna staje się konspiratorką i przestępczynią, gdyż postanowiła ukończyć studia i w przyszłości zostać matką na własnych warunkach.

Jedna z najczęściej przywoływanych scen, szczególnie rezonujących z naszą rzeczywistością, rozgrywa się w bibliotece, gdzie Anne ukradkiem kartkuje fachowe książki o kobiecej fizjologii. Możemy sobie wyobrazić, jak sześćdziesiąt lat później polska Ania szuka w internecie podstawowych informacji na temat zapłodnienia i ciąży. Raczej już poniewczasie, dlatego chwilę potem wpisuje w okienko to brzydkie słowo na „a", po czym szybko kasuje historię wyszukiwań.

Mamy więc odpowiedź na pytanie, dlaczego Ernaux wróciła do swojej aborcyjnej historii w 2000 roku, a dwie dekady później zainteresowała się nią Diwan. Chodzi o uświadomienie zmian, jakie zaszły w zakresie praw reprodukcyjnych i które wcale nie są dane raz na zawsze. Niecały rok po tym, jak adaptacja „Zdarzyło się" otrzymała Złotego Lwa i nagrodę krytyki na festiwalu w Wenecji, konstytucyjne prawo do aborcji straciły Amerykanki. Choć film nie przejmuje zawartej w książce dzisiejszej perspektywy, to jednak odżegnuje się od bycia dziełem *stricte* historycznym.

Wystarczy wsłuchać się w finałowe brzmienia ścieżki dźwiękowej autorstwa braci Galperine'ów – muzyki nowoczesnej, repetytywnej, jakby wybijała zdecydowany rytm kroków Anne, idącej pod prąd swoich czasów. Również lata 60. zostały odmalowane na ekranie w taki sposób, by nostalgicznymi stylówkami nie odwracać uwagi od problemu. Współczesna jest także praca kamery Laurenta Tangy'ego, przyklejonej do karku Anne, oddanej jej w każdym momencie i, co istotne, całkowicie wyzbytej tzw. męskiego spojrzenia. Widać to zwłaszcza w sposobie filmowania kobiecych ciał: bez podglądactwa, bez seksualizacji.

MATERIAŁY PRASOWE

ZDARZYŁO SIĘ
(L'événement) – reż. Audrey Diwan. Prod. Francja 2021. Dystryb. Aurora Film. W kinach od 28 października.

Najciekawsze filmowe tytuły na temat aborcji związane są z jej zakazem, patrz: „Vera Drake" Mike'a Leigh, „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni" Cristiana Mungiu, „Nigdy, rzadko, czasami, zawsze" Elizy Hittman, „Lingui" Mahamata-Saleha Harouna. Polski film fabularny, nie licząc surrealistycznej krótkometrażówki „Alicja i żabka" Olgi Bołądź czy „misyjnego" pato-kina Patryka Vegi, konsekwentnie milczy.

Ciało u Diwan bywa nagie, lecz nie rozebrane, aczkolwiek bezpośredni stosunek do cielesności może niektórych szokować. Na przekór tabu związanym z przerywaniem ciąży i jednocześnie wychodząc naprzeciw estetyce szoku uprawianej przez „proliferów" reżyserka bywa w tej materii bardzo dosłowna. Bo nawet jeśli Anne nie przeżywa moralnych dylematów, to zabieg, przeprowadzany pokątnie, prawdopodobnie przez amatorkę, w warunkach nieambulatoryjnych, musi być dla niej – i dla nas – traumą, wraz ze wszystkimi jego fizjologicznymi następstwami.

Film „Zdarzyło się" został nakręcony przeciw hipokryzji otaczającej aborcję i inne kobiece doświadczenia. W pewnym momencie przygnębiona bohaterka próbuje zasugerować swemu profesorowi, dlaczego nie jest w stanie skupić się na przygotowaniach do egzaminu. Mężczyzna, mimo że dostrzega w niej naukowy potencjał, udaje, że nie rozumie, o co studentce chodzi. Przyjaciółka z akademika, zdeklarowana dziewica, wie o seksie więcej niż niejedna „praktykująca". Przypadkowy kochanek nie poczuwa się do współodpowiedzialności za wpadkę, inny chłopak próbuje wykorzystać jej stan do uprawiania bezpiecznego seksu, a pomoc ostatecznie przychodzi z najmniej spodziewanej strony. Coś się zdarzyło, lepiej o niczym nie wiedzieć i tylko Anne będzie musiała się z tym mierzyć.

Nie jest to kino wielkiego formatu ani wykalkulowanego wstrząsu. Rządzi nim prostota i przeźroczystość – jego przekaz ma być jasny. Charakterystyczna, bezosobowa forma tytułu wskazuje na kolektywny charakter kobiecych doświadczeń, o czym Ernaux pisała w końcówce „Lat". Chciała tam „uratować coś z czasu, w którym się już nigdy nie będzie", czyli odtworzyć czas, „który przesunął się od odległych chwil do dnia dzisiejszego" (przeł. Magdalena Budzińska, Krzysztof Jarosz). Młodsza o połowę reżyserka pojmuje ów „czas wspólny" jeszcze szerzej, bo niekoniecznie musiał on być osobiście przeżyty. Najważniejsze, że dziś jest solidarnie współprzeżywany. ©

Lektor: *Redaktor, poeta i jego żona*

▪ *Mieczysław Grydzewski, Kazimierz i Halina Wierzyńscy*
LISTY. TOM I 1920-1947. TOM II 1948-1952. TOM III 1953-1957. TOM IV 1958-1969.
Opracowała Beata Dorosz przy współpracy Pawła Kądzieli. Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN, Warszawa 2022, ss. 584+688+658+768+il.

Cztery tomy – tyle miejsca zajmuje nie w pełni przecież zachowana korespondencja między Mieczysławem Grydzewskim, redaktorem przedwojennych „Wiadomości Literackich" oraz ich emigracyjnych kontynuacji, i Kazimierzem Wierzyńskim, jednym z wielkiej piątki poetów Skamandra. Halina, druga żona Wierzyńskiego, jest pełnoprawną uczestniczką tej rozmowy, choć nie ma jej na okładkach, na których znalazły się szkicowe portrety obu panów autorstwa Zdzisława Czermańskiego i Feliksa Topolskiego.

Ponad 1100 listów i pół wieku przyjaźni. A ściślej – opowieść o emigracyjnych losach poety i redaktora, bo z Dwudziestolecia nie ma prawie nic. Rówieśnicy (urodzili się w 1894 r.) pochodzili z różnych środowisk, połączyło ich wspólne doświadczenie młodości, poczucie misji wobec Polski i polskiej kultury oraz odrzucenie ustroju zaprowadzonego po 1945 r. nad Wisłą. Rozdzielający ich ocean nie zatarł wspomnień pozwalających grać w listach towarzyskimi szyframi. Dramatyzm losów i zagłada przedwojennego świata nie odebrały im poczucia humoru i z powagą umawiają się na niemożliwe – bo przecież Grydzewski mieszka w Londynie, a Wierzyńscy na wschodnim wybrzeżu Ameryki – za to wykwintne kolacyjki.

Sprawy najpoważniejsze mieszają się ze środowiskowymi plotkami, sądy o ludziach bywają pochopne, ale ewoluują, by wspomnieć choćby Antoniego Słonimskiego – kolegę ze Skamandra, który został w kraju. Pracoholik i samotnik Grydzewski heroicznie walczy o swoje pismo, potem bierze na siebie edycję wierszy zebranych przyjaciela. Wierzyński odnawia swoją poetycką dykcję, korzysta ze spokoju ustronia na Long Island, ale angażuje się cały czas w emigracyjne debaty, w końcu zaś decyduje się wrócić do Europy. I dramatyczny finał: we wrześniu 1966 r. Grydzewski doznaje wylewu krwi do mózgu, potem przychodzi drugi. Redaktor kieruje „Wiadomościami" z domu opieki, ale jego stan się pogarsza. Pierwszy jednak umrze Wierzyński, tuż po zamknięciu kolejnego tomu wierszy („Sen mara") i po napisaniu elegii na śmierć Jana Palacha – czeskiego studenta, który spalił się w Pradze w proteście przeciw „normalizacji" po sowieckiej inwazji. Grydzewski złoży kondolencje wdowie, wkrótce jednak nie będzie już pamiętał, że przyjaciel nie żyje... ©℗

L. ZADOŃ / FRESH FRAME / MATERIAŁY PRASOWE X3

Hina Maeda, laureatka I miejsca.

Po prawej od góry:
Meruert Karmenova, laureatka II miejsca,
Qingzhu Weng, laureat III miejsca.

Ani diabelskie, ani anielskie

Na Konkurs Wieniawskiego tym razem trzeba było czekać aż sześć lat. To chyba więcej, niż się może wydawać.

Konkursy, które odbywają się w rytmie 5-letnim (tym razem z powodu pandemii przesuniętym o dodatkowy rok), w każdej swojej edycji z założenia gromadzą nowy nabór kandydatów. Rzadko tylko pojawiają się kolejne podejścia, gdy ktoś stara się poprawić swój wynik, mieszcząc się wciąż w limicie wieku. Mimo że limit ten jest szeroki. W tym roku najstarsza uczestniczka miała 29 lat (Meruert Karmenova, II miejsce), a najmłodsi – po 17. To i tak nic, jeżeli spojrzymy w historię: w 1935 roku, w I Konkursie, brały udział cudowne dzieci (9-letnia Ida Haendel otrzymała VI miejsce, 11-letni Józef Chasyd wyróżnienie), później także wygrał turniej 16-letni Piotr Janowski. Nasuwa się wniosek, że nastolatkowie z talentem i odpowiednią edukacją są już w pełni artystami – nawet jeżeli doświadczenia i dojrzałość będą gromadzić przez całe życie. To zresztą najwyraźniej ewidentnie idealny wiek do grania muzyki Wieniawskiego – zachwyt tą porywającą wirtuozerią jest wręcz wpisany w młodość i kilka najbardziej pamiętnych kreacji obu arcytrudnych Koncertów skrzypcowych polskiego kompozytora dokonanych zostało przez artystów w wieku jak najbardziej konkursowym: Michael Rabin miał lat 21, Gil Shaham 19, a fenomenalna Camilla Wicks, gdy występowała pod batutą Stokowskiego, ledwie 18.

W każdym razie – z reguły na tego typu imprezach młodsi wykonawcy mają znacznie więcej do powiedzenia niż ci dojrzali. Także tym razem było to oczywiste: wybitne talenty w tym wczesnym wieku lśnią już blaskiem sobie tylko właściwym. W 2022 roku zalśniły przede wszystkim niezwykłe zdolności Qingzhu Wenga (III nagroda) – muzycznego narratora i malarza, stroniącego od technicznej wirtuozerii, którą często kojarzy się z azjatyckimi muzykami, za to grającego artykułowaną frazą, budującego dźwiękowe wypowiedzi, wyrafinowane i logiczne, od pierwszego dźwięku do końcowej pointy. Zapamiętamy jego Chaconnę Bacha, a zwłaszcza odkrycie fascynującej jakości Sonaty skrzypcowej Paderewskiego i niezwykle piękne „Driady i Pan" Szymanowskiego. Na koniec zalśnił też radosny i wdzięczny talent Hiny Maedy (I nagroda), z występu na występ grającej coraz lepiej – aż do najlepszego Koncertu Brahmsa w finale.

MATERIAŁ PARTNERA

Co nie mniej ważne, nowe pokolenie skrzypków miało do powiedzenia coś jeszcze. Do wiolinistyki szeroką ławą wszedł historyzm. XX-wieczny styl gry, z nieustannym wibratem, ale i belcantem, szeroką, rozśpiewaną frazą melodyczną, wyraźnie przemija. Z popisowymi, epatującymi ekstrawertyzmem patetycznej lub lirycznej melodyki Koncertami Wieniawskiego zmagali się (zamiast nimi się cieszyć) niemal wszyscy kandydaci. W innych utworach z reguły też trudno było dosłuchać się swobodnego gestu, który do tej pory był właściwy dla skrzypiec. Najciekawsi artyści stali się analitykami, rozbierającymi frazę i pokazującymi jej konstrukcję i detale, nie rozmach. Skrzypce przestały być czarodziejskim lub diabelskim instrumentem prestidigitatorów i prawdziwych magików, a stały się narzędziem narracji – jak gdyby przyswojono sobie z nagła elementy sztuki Gidona Kremera lub, z młodszych prekursorów, Aliny Ibragimovej. Co nie oznacza, że wszyscy mają ich możliwości i że nie powinno się jednak docenić techniki – której owym „wzorcom" nigdy nie brakuje. Bez tego potencjalnie intrygujący nowy rozdział w wiolinistyce nie będzie jednak w pełni przekonujący. © JAKUB PUCHALSKI

W trakcie Konkursu Wieniawskiego na stronie **tygodnikpowszechny.pl/wieniawski** prowadziliśmy serwis specjalny, gdzie Jakub Puchalski dzień po dniu przedstawiał rywalizację skrzypków.

16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego
POZNAŃ
7-21.10.2022

Organizator:

Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu

Współorganizacja i współfinansowanie:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego jest współorganizowany z Narodowym Instytutem Muzyki i Tańca ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

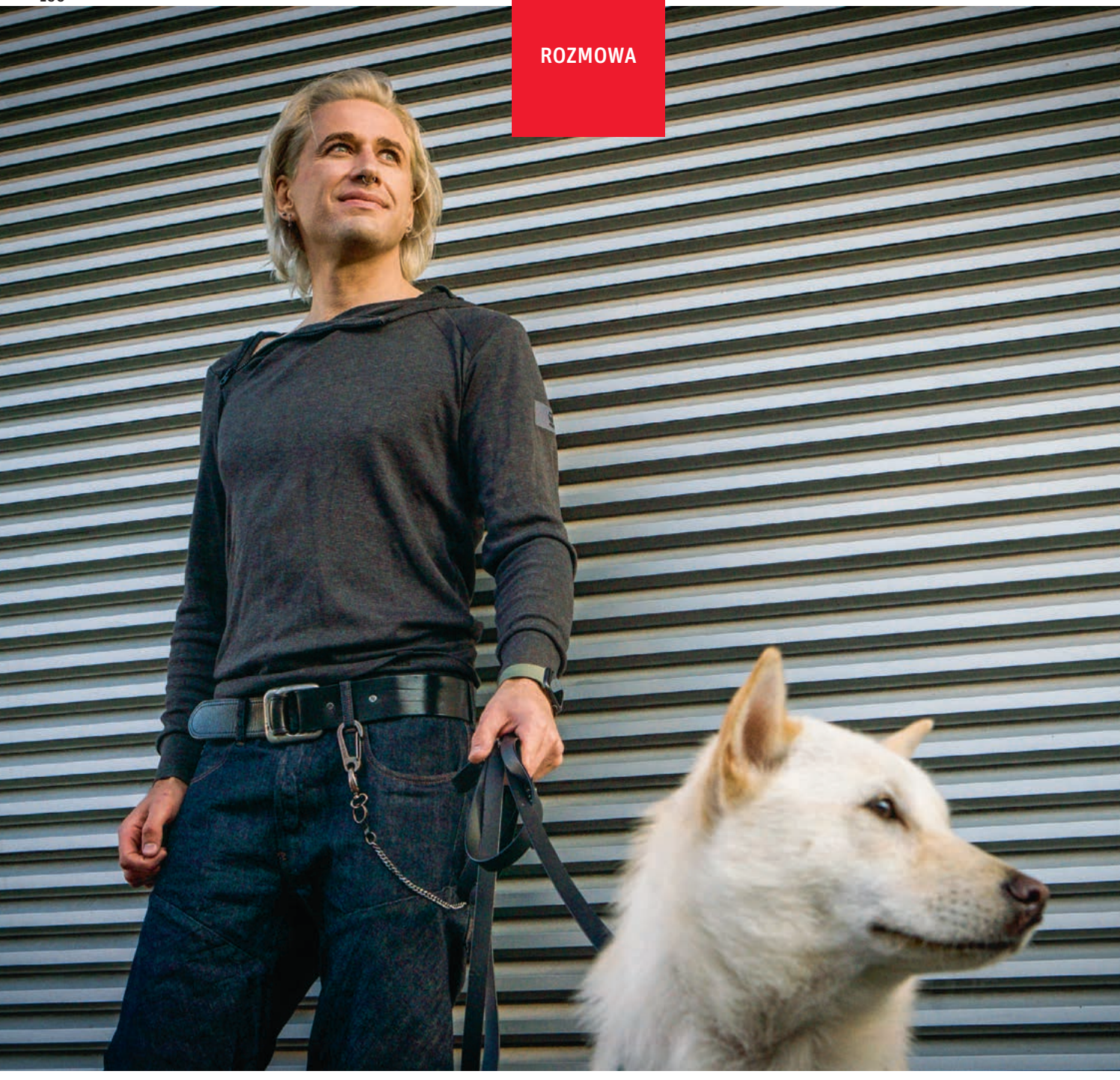

Z ZĘBAMI I W CZEPKU

ŁUKASZ KOZAK, HISTORYK:

Gadanie do siebie jest cechą charakterystyczną żywego upiora – znak, że ma dwie dusze, które muszą się ze sobą skonsultować. Poznamy go także po włosach na klacie i ich braku pod pachami.

ANNA REZULAK / KFP

ŁUKASZ KOZAK jest mediewistą, autorem prac naukowych i popularyzatorskich, wykładowcą. Współpracuje z instytucjami kultury i ośrodkami naukowymi przy tworzeniu nowych rozwiązań technologicznych dla zbiorów cyfrowych. W 2021 r. ukazała się jego książka „Upiór. Historia naturalna".

MONIKA OCHĘDOWSKA: Wieszcz to czarownik i przepowiadacz przyszłości, ale też człowiek, który po śmierci ma zostać upiorem. I rzeczywiście: taki Adam Mickiewicz, jak tylko ulokowano go na Wawelu, nieraz z grobu wyłaził.

ŁUKASZ KOZAK: Pierwszy znany materiał na ten temat to list do chłopskiego dwutygodnika napisany w sierpniu 1891 r. – czyli ponad rok po przewiezieniu trumny Mickiewicza na Wawel – przez Franciszka Wójcika, późniejszego działacza PSL i ministra w rządzie Moraczewskiego. Otóż Wójcik szczerze załamuje ręce, pisząc, że „jest się z czego doprawdy śmiać, a z drugiej strony litość bierze z powodu ciemnoty w naszej Galicyi", chłopi bowiem uważają, że Mickiewicz jest płanetnikiem i, choć umarły, sprowadza na okolicę deszcze.

Dlaczego akurat deszcze?

Płanetnik to człowiek, który ma władzę nad pogodą. Wójcik racjonalnie wyjaśnia, że być może chłopi przekształcili zasłyszane słowo „poeta" w „płanetnik" i stąd Mickiewiczowi przypadły akurat takie moce. Natomiast kiedy etnograf Seweryn Udziela opublikował obszerny materiał na temat płanetników z Małopolski, przytoczył m.in. wypowiedź członka rady gminnej z podkrakowskiego Tyńca, Marcina Widuraka, który stwierdził, że w Krakowie i okolicach „mokre lata rozpoczęły się od czasu, jak Mićkiewicza z Francyje do nos sprowadzili. Dopóki był we Francyji, to we Francyji były lata mokre, a teroz we Francyji są suche, a u nos mokre, bo Mićkiewicz był płanetnikiem".

Rzeczywiście, kiedy Mickiewicza pochowano na Wawelu – dodajmy: wbrew jego woli, bo nie życzył sobie wcale leżeć nad Wisłą, której nigdy w życiu nie widział, tylko u boku żony na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem – pogoda się popsuła. Chciał się widocznie poeta na krakusach odegrać.

Opowiedz od początku.

Jest 4 lipca 1890 r., największe chyba na ziemiach polskich wydarzenie od powstania styczniowego. Ze wszystkich zaborów do Krakowa ściągają ludzie, masa ludzi – nie tylko arystokracja, elity intelektualne, ale też chłopi z okolicznych wsi, którzy nie do końca kojarzą, o co chodzi, poza tym, że sprowadzają im do miasta trupa, ale takiego, który jakby żyje, bo mówi się o nim, że to „wieszcz".

Wszyscy nie czytali?

Oczywiście są i tacy – ofiary pozytywistycznych eksperymentów edukacyjnych – którzy Mickiewicza czytają. Świadczy o tym chociażby napis na jednej ze wstęg pogrzebowych wieńców, z której dowiadujemy się, że podarował go „chór włościan z Bieżanowa", dziś jednej z krakowskich dzielnic. Inna ze wstęg, moja ulubiona, opatrzona jest dedykacją: „Kasyno miejskie we Lwowie nieśmiertelnemu wieszczowi". Podkreślam: nieśmiertelnemu. Słowo „wieszcz", „wieszczy" ma wśród ludu upioryczne konotacje. W Wielkopolsce i na Kaszubach oznaczało wówczas upiora, a w Małopolsce funkcjonowało na pewno w formie żeńskiej jako „wieszczyca", czyli czarownica. Mówienie o Mickiewiczu „wieszcz" uruchomiło zatem powszechnie skojarzenia, że ma on związek z czarami.

Wspomniany fragment artykułu Udzieli z „Wisły" podchwyciła zresztą prasa codzienna, ironizując, że poeta rzeczywiście trafił pod strzechy, ale w bardzo dziwnej formie. Wiara w Mickiewicza-płanetnika była naprawdę rozpowszechniona i utrzymywała się do początku XX w.

Co trzeba było zrobić, żeby w końcu przestało lać?

Należało trumnę Mickiewicza wrzucić do Wisły. Udziela przytacza wypowiedź wójtowej ze wsi Przewóz, dziś również leżącej w obrębie Krakowa. Kobieta miała potwierdzić, że to się rzeczywiście wydarzyło. Mickiewicz był strzygoniem, mówiła wójtowa, wychodził z grobu, podgryzał świece, robił bałagan na ołtarzach. Księża wyciągnęli go zatem z grobu i wrzucili do rzeki.

Wójtowa skądinąd Udzieli wyjaśnia, dlaczego Mickiewicz się tak niegrzecznie zachowywał – bo miał dwie dusze i ten drugi, zły duch gadał wierszami. Mowa wiązana zawsze była oznaką natchnienia, ekstazy. Maria Janion – jeszcze na swoim przedfreudowskim etapie – napisała bardzo dobry tekst „Polacy i ich wampiry", w którym, kierując się wielką intuicją, nazywa Konrada z „Dziadów" – a zatem *alter ego* Mickiewicza – szamanem. To określenie dziś lekko niestosowne, kolonialne, ale nie ma chyba lepszego.

Po czym jeszcze można rozpoznać upiora, poza tym, że gada wierszem?

A mówimy o upiorze żywym czy takim, który nie żyje?

Najpierw powiedzmy o żywym. ↦

↦ Podstawową cechą wyróżniającą żywego upiora są – jak powiedziała wójtowa – dwie dusze. W pierwotnej, ludowej interpretacji, kiedy człowiek posiadający dwie dusze umiera, jedna z nich zostaje w ciele i ożywia trupa. Według niektórych wierzeń wszyscy rodzą się z dwiema duszami, trzeba tylko dokonać specjalnych zabiegów, żeby ta druga była spokojna. Częściej jednak uważano, że tylko wybrańców charakteryzuje taka podwójność i są to właśnie strzygi, strzygonie, wieszczy – wszystkimi tymi słowami w różnych miejscach nazywano kogoś, kogo w literackiej polszczyźnie przyjęło się określać zapożyczonym z Ukrainy mianem upiora.

Upiory są za życia – powtórzmy – kimś w rodzaju szamanów. To ludzie dysponujący inną percepcją, dostrzegający wielowymiarowość rzeczywistości, którzy mogą jedną ze swoich dusz odłączyć od ciała i odbyć ekstatyczną podróż w zaświaty.

A skąd wiadomo, że ktoś ma dwie dusze?

Gadanie do siebie jest cechą charakterystyczną – znak, że dusze muszą się ze sobą skonsultować. Upiora poznamy także po włosach na klacie i ich braku pod pachami, albo po fryzurze układającej się w dwa czubki. Czerwona, rumiana twarz to ważna cecha, a powiedzenie „czerwony jak upiór" funkcjonuje w Polsce gdzieniegdzie do dziś. Wegetarianizm jest oznaką upioryzmu... Jak widać, żywy upiór może się wyróżniać przeróżnymi, nawet drobnymi fizycznymi albo psychicznymi cechami, które uznawano za nietypowe, nienormatywne. Ale zawsze najważniejsze było to, że upiory dokonywały autodiagnozy. Upiorami byli ludzie, którzy po prostu wiedzieli, że są upiorami.

Skąd o tym wiedzieli?

Stwierdzano to przy urodzeniu. Narodziny z zębami i narodziny w czepku, czyli z resztkami błon płodowych na głowie, wiązały się z wierzeniami na temat dwoistości duszy. To zresztą nie tylko specyfika polska czy ukraińska, takie wierzenia są dobrze udokumentowane np. w Skandynawii czy na Syberii.

Mickiewicz w jednym z wykładów w Collège de France powiedział, że upiór co prawda rodzi się „z dwoistym sercem i dwoistą duszą", ale „aż do wieku młodzieńczego żyje nie znając sam siebie, nie mając świadomości swojego jestestwa". Jak to rozumieć?

Mickiewicz powoływał się na pionierskie badania antropologiczne ukraińskiego uczonego Iwana Wahylewycza. Dzięki materiałom z Ukrainy – w tym zeznaniom samych żywych upiorów – wiemy, że upiory funkcjonowały w swoistej mikrospołeczności, przeżywały momenty inicjacji czy osiągnięcia samoświadomości, choć niektórzy rodzili się od razu „znając wszystkie rzeczy na świecie". Wszystko to znów bardzo przypomina syberyjski szamanizm – o którym nota bene Mickiewicz też opowiadał na paryskich wykładach.

A można urodzić się bez czepka i zębów, a upiorem stać się dopiero za życia?

Tylko według katolickiej interpretacji, sformułowanej przez jezuitów. Jezuici wierzyli w istnienie upiorów, niektórzy nawet wspominają, że się z nimi zetknęli. Ale ponieważ nie mogą uznać heretyckiej wiary w dwie dusze, wymyślają coś, co jest w gruncie rzeczy błyskotliwe i mieści się w nauce Kościoła o opętaniu, a więc w tej części teologii, którą nazywamy demonologią.

Wedle zatem wersji jezuickiej upiór to martwe ciało opętane przez diabła. Jeżeli diabeł jest w stanie opętać żywego człowieka, to tym łatwiej pójdzie mu z trupem, w którym nie ma już duszy, a więc można do niego wejść jak do pustego pudełka, czy też – jak pisali teologowie – założyć sobie trupa jak płaszcz.

A jak diabeł, to musi być pakt?

Jasne: żeby to się stało, musi zostać zawarty – jego opis znamy bardzo dobrze dzięki ks. Benedyktowi Chmielowskiemu, autorowi słynnych „Nowych Aten". Do zawarcia paktu – pisze Chmielowski – niezbędna jest obecność czarownicy-akuszerki, diabła, nieochrzczonego dziecka oraz przyzwolenie boże, bez którego nic nie może się oczywiście wydarzyć. Czarownica oddaje nowo narodzone dziecko diabłu, który traci moc do jego duszy, gdy dziecko zostanie ochrzczone. Zachowa jednak prawo do ciała. Po śmierci, jakkolwiek przykładnie człowiek by żył, diabeł może wykorzystać jego trupa. To interpretacja różna od ludowej, ale i w niej kluczową rolę w powstawaniu upiora przypisuje się bytom duchowym. Upiór zawsze był zarówno ciałem, jak i duszą.

Jezuitów jakoś szczególnie kręciły upiory?

Wszystkie dziwne rzeczy. Weźmy żyjącego w XVII w. niemieckiego jezuitę Athanasiusa Kirchera, uczonego, jednoosobową wikipedię nowożytności. Kircher wiedział wszystko o smokach, drobiazgowo rozrysowywał plany Arki Noego. Mimo że nie podróżował zbyt wiele, napisał rozprawy o Chinach czy wnętrzu Ziemi, a nawet o podróży przez kosmos. To idealny typ jezuickiego uczonego – gromadzącego wiedzę, jakakolwiek by była.

Nauki jezuickie były podstawą edukacji kleru parafialnego. Stąd też ciągły przepływ informacji między jezuitami a ludem kształtował specyficzny świat synkretycznych ludowo-kościelnych praktyk, którego relikty dostrzegamy do dziś. Cała wspaniała religijność ludowa jest w jakimś stopniu związana z nowożytnymi jezuickimi zabiegami kaznodziejskimi.

Jak tak Cię słucham, to się już jakoś upiorów nie boję, więcej: sympatyzuję z nimi.

Choć jeszcze przez cały XIX wiek słowa „upiór" i „wampir" traktowano w polszczyźnie jak synonimy, to upioryzm szczęśliwie nie został tak zdeformowany przez kulturę popularną, jak wampiryzm. Upiory według źródeł mają umiejętność przepowiadania przyszłości, widzenia odległych wydarzeń, znajdywania zgubionych rzeczy i mogą tę moc wykorzystać, by pomagać innym, ale jednocześnie są takie jak my – mogą zwyczajnie chcieć zaszkodzić innym. Dobrymi upiorami byli np. wiedźmacy czy – mówiąc po dzisiejszemu – wiedźmini, którzy walczyli z czarownicami i martwymi upiorami. Zwłaszcza w źródłach ukraińskich mamy te awantury między upiorami a czarownicami bardzo dobrze zachowane.

Czego one dotyczyły?

Trudno jednoznacznie stwierdzić, być może był to konflikt zwyczajnie genderowy, bo żywego upiora częściej uważano za pomocnego, a czarownicę – za złośliwą. Wiadomo na pewno, że upiory i czarownice rozpoznają się wzajemnie, to dwa bieguny tego samego, niejednorodnego świata, który charakteryzują zarówno gwałtowne spięcia, jak i doraźne

sojusze. To tym bardziej skomplikowane, że upiory i część czarownic to byli często ludzie, których nazwalibyśmy dziś niebinarnymi albo genderfluidowymi. Osoby, które – jak piszą etnografowie – zmieniały swoją naturę i przez miesiąc żyły jako mężczyzna, a przez kolejny jako kobieta. To skądinąd bardzo ciekawy przyczynek do ludowego postrzegania płci, uświadamia, jak bardzo płynna była ta kategoria – nie spodziewalibyśmy się tego po kulturze, którą dziś uznajemy za konserwatywną i binarną.

Upiory były zatem dla społeczności cenne.

Stanisław Staszic pisał, że są upiory umarłe i upiory żywe. Żywe charakteryzują się tym, że są najlepszymi specjalistami od zwalczania upiorów umarłych. To jest, jak mi się wydaje, główna cecha, dla której upiory żywe były w swoich społecznościach akceptowane. Żywy upiór jest w stanie znaleźć, rozpoznać i unieszkodliwić umarłego upiora odpowiedzialnego za zarazę, klęski żywiołowe, wszelkie nieszczęścia.

Dopiero po śmierci upiór stawał się zły?

Tak, po śmierci właściwie wszystkie upiory były złe, choć oczywiście i tu mamy wyjątki. Strzygonie w okolicach Krakowa po wyjściu z grobu chodziły po wsi, piły wódkę, jadły kiełbasę i zacierki, wdawały się w bójki z parobkami, a choć czasem zabijały chuchnięciem, to zwykle pomagały żonom w gospodarstwie, a nawet płodziły dzieci. Żeby takiego krakowskiego strzygonia skutecznie przegnać, wystarczyło dać mu z liścia w twarz – naśladując przedsoborowy sakrament bierzmowania.

Łatwe.

Z drugiej strony, jeśli sięgniemy do XVIII-wiecznego kronikarza Żywiecczyzny, Andrzeja Komonieckiego, znajdziemy interesujący opis dwóch tamtejszych strzygoni. Ignacy Janota i Szymon Bułka byli wedle Komonieckiego po śmierci wprost nieznośni, nie zabijali co prawda, ale terroryzowali całą społeczność, rzucali kamieniami, wywracali łóżka po domach, straszyli. Straszenie może nam się dziś wydawać niewinne, ale potrafiło sparaliżować całą wieś. Komoniecki opisuje, jak Bułkę i Janotę unieszkodliwiano, robiąc do tego kilka podejść, ćwiartując stopniowo, a na koniec paląc ich ciała, dokładając na wszelki wypadek egzorcyzmy.

Strzygonie po wyjściu z grobu chodziły po wsi, **piły wódkę, a choć czasem zabijały chuchnięciem,** to zwykle pomagały żonom w gospodarstwie, a nawet płodziły dzieci.

Dobry moment, by uściślić: upiory, jeśli już piły, to raczej wódkę niż krew?

Picie krwi częściej zdarzało się ludziom, którzy unieszkodliwiali upiory. Po ścięciu głowy martwego upiora zbierano jego krew, mieszano z jakimś napojem i wypijano, by zabezpieczyć się przed działaniem upiora. Coś w rodzaju protoszczepionki.

Zresztą sama szczepionka także jest w pewnym sensie wynalazkiem czarownic. Lady Mary Wortley Montagu, żona angielskiego ambasadora w Stambule, podpatrzyła zwyczaj tamtejszej chrześcijańskiej biedoty polegający na nacinaniu skóry, często we wzór przypominający znak krzyża – co nadawało zabiegowi wymiar magiczno-religijny – i podawaniu weń materiału wyciśniętego z krost chorych na ospę. Robiły to według relacji kobiety z Tesalii – krainy słynącej z czarownic od starożytności.

Skutkowało?

Wszystko wskazywało na to, że po takim zabiegu ludzie się uodparniali. Lady Montagu postanowiła inokulować w ten sposób swojego syna i zadziałało. Wkrótce na temat tej metody docierają raporty do Royal Society of London, zaczyna się wielka debata, choć uczeni z początku nie są oczywiście w stanie zaakceptować zabiegów „ciemnych bab".

Ta ludowa praktyka, czasami nazywana „kupowaniem ospy", znana była również na terenach Rzeczypospolitej. Bardzo możliwe, że inokulację stosowano także wśród handlarzy niewolników. Mało jeszcze na ten temat wiemy, dopiero od niedawna zwracamy uwagę na historie ludzi wykluczonych.

Mówisz o ospie, zarazach. Pandemia uwidacznia śmierć – to wtedy upiory stają się szczególnie czynne?

Tak, w momentach krytycznych – klęsk żywiołowych, zarazy albo kiedy następuje pomór bydła – chłopi spieszyli na cmentarz sprawdzać, czy przypadkiem nie pojawiły się dziury w grobach, czy upiory nie wyłażą. Ale żeby nie pomylić przyczyny ze skutkiem – zaraza w ludowej logice była konsekwencją tego, że upiory wychodziły z grobów.

Plaga upioryzmu przypada na wiek XVIII, głównie w Ukrainie, na Podolu, gdzie następuje po sobie kilka epidemii i gdzie co chwila mówi się o upiorach, odbywają się samosądy na żywych i umarłych. Ale jeśli popatrzymy na materiały sądowe lub gazety z XIX, a nawet z pierwszych dekad XX w., okaże się, że wiara w upiory i praktyki antyupioryczne – wówczas uznawane za skrajny zabobon, za coś, co już od dawna nie powinno istnieć – wciąż miała się całkiem nieźle. Co parę miesięcy czytamy doniesienia prasowe o aresztowaniach ludzi, nie tylko na wsi, również w miastach, którzy odkopali trupa, odcięli mu głowę albo przebili kołkiem czy poćwiartowali, żeby uniemożliwić mu wychodzenie z grobu.

Czy były jakieś miejsca, w których upiory były szczególnie aktywne?

Upiory są wszędobylskie, ale rzeczywiście są dwa miejsca, które możemy uznać za zagłębie upiorów. To Kaszuby i Ukraina – całe pogranicze polsko-ukraińskie to ziemia upiorów. W czasach oświecenia, robiąc sobie w centralnej Polsce dobry PR, mówiono, że upiory to kwestia ruska, rusińska, ukraińska, stąd frazy „upiór ukraiński" albo popularne wierszyki o tamtejszych upiorach. Od znajomych Kaszubek i Kaszubów wiem, że pewne zabiegi apotropaiczne wykonywano po śmierci ludzi uznanych za wieszczych jeszcze pod koniec XX w., a nawet później. Upioryzm nie jest sprawą ani wyłącznie dawnych czasów, ani peryferii. Zapewne gdzieniegdzie do dziś unieszkodliwia się upiory.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

OLGA

Drenda: *A mury zostaną wyremontowane*

Nic tak chyba nie uświadamia tempa upływu czasu, jak bezpośrednie zetknięcie z nieaktualnym już, a nadal przez kogoś wykorzystywanym stylem czy estetyką. Na pewnym otwartym kąpielisku zdarzyło mi się widywać osoby, które pielęgnowały z upodobaniem szyk lat 70., prezentując niemal filmowej urody elvisowskie „pekaesy" i zabytkowe koszule męskie z tworzyw sztucznych. Nie był to przemyślany kostium, dla nich po prostu wciąż trwały młode lata. Na Górnym Śląsku zdarza się widywać ludzi, którzy kultywują etos subkulturowy, jakby świat się nie zmieniał, i chodzą w rynsztunku staromodnego metala. Nie uważam, żeby takie postacie były śmieszne czy egzotyczne. Raczej imponują mi wiernością wobec tego, co kiedyś uznały za ważne.

Zwracam na nie uwagę z jeszcze jednego powodu. Gdy jakiś symbol, element wizerunku, gest czy pojęcie przestają być wszechobecne i zmieniający się świat opływa je jak samotnego ostańca, wtedy naprawdę czuję, że chronologia istnieje. Jakiś obraz objawia mi się przed oczami w swojej nieaktualności i przebrzmiałości. Ponieważ „nie liczę godzin i lat", miewa to niemal cechy szoku, uświadomienia sobie, że tkwię w koleinie. A to zawsze pomocna rzecz i doceniam, gdy się zdarza.

Ostatnio doznałam takiego szoku, gdy dowiedziałam się o remoncie zabytkowego wrocławskiego bloku – mezonetowca (osobliwa nazwa, która zawsze kojarzyła mi się z mezonami, więc myślałam, że to taki „dom fizyka", w rzeczywistości pochodzi od francuskiego „maisonette", czyli mieszkanie dwupoziomowe). Eksperymentalny budynek znany był w ostatnich latach z goszczenia muralu Śląska Wrocław. Hasłu „Walcząca armio wyklęta – Śląsk Wrocław o was pamięta" towarzyszyły wilki i portrety żołnierzy antykomunistycznego podziemia. Niby typowe zjawisko dla ostatnich lat, ale niewprawna ręka niedzielnego muralisty wyróżniała tę pracę spośród dziesiątek podobnych malowideł na zadany temat. Zapewne ta kontrowersyjna uroda, obok lokalizacji w centrum, sprawiła, że mural stał się polem bitwy. To normalne zjawisko i zapewne każdy, kto umieszcza jakiś obraz czy tekst w przestrzeni, musi liczyć się z tym, że może on zostać poddany ironicznej albo antagonistycznej przeróbce, a im bardziej zaangażowany mural, billboard, szablon, tym większe prawdopodobieństwo, że tak się stanie. W przypadku nietypowej atrakcji Wrocławia przewrotni tricksterzy domalowywali wilkom np. tęczowe lasery. Teraz na ścianie mezonetowca pojawi się ceramiczna okładzina. Lata walk ulicznych zakończone. Kibice podobno negocjują z miastem, by mural namalować gdzie indziej. Być może tak będzie, ale trudno pozbyć się wrażenia, jakby stało się to kwestią mało istotną, a już na pewno nie zapalną.

Koń za to jest ponadczasowy.

OLGA DRENDA

Dziesięć lat temu zapewne mielibyśmy pretekst do ogólnopolskiej awantury. Wielu ludzi pasjonowała wówczas wojna symboliczna, w którą ładowali niebywałe emocje, zapewne często wynikające z prawdziwej frustracji rzeczywistością, która nie przystawała do retoryki „zielonej wyspy". Z jakichś przyczyn, by nabrać wiarygodności, potrzebowała ona sztafażu z II wojny światowej, schowania się za parawanem z historycznych wydarzeń i postaci, tak jakby głos człowieka z roku 2014 nie mógł się liczyć. W połączeniu z piłkarskimi afiliacjami dawało to stereotyp „kibola". Karykaturalnym antagonistą „kibola" był wówczas „hipster" czy, jak czasem mawiano, „leming" (słowo chyba równie zapomniane co „kseroboj") – człowiek poświęcający się bezrefleksyjnemu zarabianiu i konsumpcji, równie modny, co pusty. Te przerysowane grupy społeczne działały głównie na zasadzie malowanego diabła – wymyślania sobie wroga. Myślę, że istniały głównie w retoryce medialnej i internetowej, ale niektórzy uwierzyli w nie tak mocno, że zdarzały się momenty realnej, fizycznej grozy.

Złość i frustracja wyrażane w patriotycznym kostiumie przez jakiś czas wydawały się naprawdę nieprzewidywalne i niebezpieczne. Teraz jednak minęły lata i okazuje się, że to akurat paliwo symboliczne się skończyło. Pokolenie, które niedawno angażowało emocje w murale, ma inne problemy i inne powody do gniewu. Retoryka sprzed dekady przestała porywać i dziś kojarzy się z pełnym samozadowolenia, zakochanym w sobie rządem, więc zapewne wyrażą je już w inny sposób. Ale przede wszystkim, gdy rzeczywistość mówi „sprawdzam" i niedaleko zaczęła się realna wojna, trzeba przemyśleć swoje przekonania i sympatie. Zdecydować, jak można pomóc zaatakowanym sąsiadom, ale także zweryfikować, czy nasze własne deklaracje naprawdę służą krajowi i racji stanu. Rozmaite próby angażowania się w inscenizację roku 1945, nawet na polu symbolicznym, wydają się zupełnie niestosowne, gdy niebezpieczeństwo jest tu i teraz.

A co z muralami? Dużo podróżuję po Polsce i widzę, że o ile moda na nie osiąga prawdopodobnie szczytowy moment, to rzadko kiedy bywają one już patriotyczne w takim znaczeniu, jak rozumiano to w, powiedzmy, 2014 r. Militarna symbolika i martyrologia – to rzadkość. Zasłużony burmistrz, naukowiec z naszego miasta, strój ludowy, fantastyczna scenka, reklama filmu – proszę bardzo. Chcemy żyć w innej baśni, spokojniejszej i sytszej. Może trzeba to rozumieć jako życzenie czy zaklęcie na przyszłość. ©

PAWEŁ

Bravo:
Przydatność do spożycia

Siedem dni realnie trzymała władzę nieszczęsna Liz Truss: tak przynajmniej oceniał to niedawno tygodnik „The Economist". Czyli od objęcia urzędu aż po moment przedstawienia zabójczego – jak się okazało – projektu budżetu, minus okres żałoby po śmierci królowej, kiedy nic innego się nie liczyło i legendarna brytyjska służba cywilna radziła sobie sama z wyzwaniem. „Siedem dni, czyli mniej więcej tyle, ile wynosi okres przydatności do spożycia sałaty" – napisał autor prestiżowego tygodnika, co natychmiast podchwycił jeden z brukowców. Redakcja kupiła za grosze główkę lodowej sałaty, nałożyła nań blond perukę, postawiła na blacie, po czym włączyła kamerkę nadającą w internecie transmisję pod hasłem: co wytrzyma dłużej – sałata czy premierka?

Po tygodniu znaliśmy już odpowiedź. Nieszczęsna Truss przejdzie do annałów jako pokonana przez obleśnie ufryzowaną sałatę, a po tej historii zostanie parę niebłahych spostrzeżeń natury politycznej i spożywczej. Oto wyjaśniono nam, że w rządzie najważniejszy jest minister finansów/skarbu, bo to od chwili jego zwolnienia było jasne, że dni pani premier są policzone, a od wyroku „rynków" nie przysługuje odwołanie. Dostrzegliśmy również, jak paskudną rolę odgrywa w polityce Twitter – wymuszający na wszystkich aktorach politycznych błyskawiczne, bo inni już też się rzucili pisać, reagowanie na byle co, bez odczekania choćby do wieczora, by rozumnie oszacować wagę jakiegoś zdarzenia lub wypowiedzi.

Poodbierać czynnym politykom dostęp do kont na czas kadencji – jest w tym ewidentny interes publiczny, ale wiem, że propozycja wyda się wam jednak wzięta z sufitu. Zejdźmy więc na kuchenną podłogę, bliżej spraw, w których rozeznaję się nie gorzej niż publicyści „Economista". Wedle nich sałata wytrzymuje siedem dni... Co wy tam jecie w tym Londynie?! Do happeningu wzięto wprawdzie sałatę lodową, nieco trwalszą z racji struktury grubego liścia, ale poza lodówką nawet ta odmiana po tygodniu powinna być totalnie zwiędła, jeśli nie wręcz podgnita.

Jestem niepoprawnym sceptykiem, jeśli chodzi o urzędowo narzucone terminy przydatności – w przypadku serów i większości innych dobrych wyrobów z mleka wytłoczony na opakowaniu dzień to moment, kiedy dopiero robi się ciekawie. Ostatnio zjadłem jogurty z datą sierpniową, nie były jeszcze gorzkie, więc grzech wyrzucić. Widuję też ewidentne absurdy, jak dwuletnia data przydatności do spożycia miodu lub soli, która przeleżała bez szwanku w ziemi parę milionów lat, zanim organy Unii wydały z siebie rozporządzenie WE nr 178/2002, regulujące bezpieczeństwo żywnościowe. Ale jednak w przypadku warzyw i owoców wierzę w zepsucie i traktuję je jako rękojmię, że jem płód ziemi, a nie plastik. Boję się sałaty, która wytrzyma na blacie dłużej niż dwa dni. Dlatego kupuję ją tylko, kiedy jestem pewien, że zdążę do jutra zjeść. To wprawdzie tylko kłąb liści, ale żadnego jedzenia nie wolno z rozmysłem marnować.

Nie wiedzą o tym sfrustrowane szczeniaki, uprawiające ostatnio muzealny wandalizm „dla klimatu". Nie nazwę ich, choć w kółko używają tego słowa, aktywistami przez szacunek dla prawdziwego aktywizmu, który oznacza co najmniej wytrwałą pracę i przekonywanie innych, a często też narażanie własnego tyłka i gotowość na represje gorsze niż dwie godziny spędzone na angielskim komisariacie. W ostatnich dniach Van Gogh w Londynie oberwał pomidorową z puszki, a Monet w Poczdamie purée ziemniaczanym. „Co jest więcej warte – życie czy sztuka?" – pytała po spełnionym akcie miotaczka zupy. Sprzeczność pozorna. Otóż sztuka, czy ściślej: jej wywyższony, prawie religijny status świadczy o tym, że podporządkowujemy się także ideom, nie tylko prostym potrzebom fizjologii żywienia i rozrodu. Aktywizm zaś odwołuje się i próbuje wydobyć na plan pierwszy porządek idei. Gdyby ludzie nie hołdowali sztuce, żadne inicjatywy dla przyszłości nie miałyby sensu.

Może niepotrzebnie próbuję filozofować, kiedy chodzi tylko o drakę, a żywności mamy tak dużo, że może stanowić rekwizyt polityczny. Podobno tutejszy premier pójdzie w odstawkę na wiosnę. Przetrwa więc tyle, co wór marchwi w chłodnej piwnicy, o ile redakcja naszego opozycyjnego tabloidu zechciałaby taki test przeprowadzić. Prezes Polski wydaje się za to wieczny jak miód, lepiej nic nie testować i zjeść od razu. To znaczy miód, nie prezesa. ©℗

Goryczka w serze czy jogurcie to znak, że jest już niejadalny, ale znacie mnie – uwielbiam ją i szukam jej w warzywach. Ostatnio gospodarstwo Majlerta zrobiło warszawskim wege-łasuchom kochany prezent na koniec sezonu: zaczęli sprzedawać łodygi kardu. Szkoda, że zaraz zamykają, bo kard to prawdziwy król późnej jesieni. Część jadalna przypomina przerośnięty seler naciowy, a smakuje jak połączenie karczocha i selera. Obróbka jest prościutka: kroimy dla ułatwienia łodygi wzdłuż, ściągamy nożykiem grube włókna z wierzchu, podobnie jak się postępuje z selerem naciowym. Uwaga – brudzi ręce! Oskubane łodygi kroimy na krótsze kawałki, rzucamy na wrzątek na 10-15 minut, po czym możemy je poddusić krótko na oliwie z anchois albo zrobić zapiekankę. Prostokątną formę smarujemy masłem, obsypujemy bułką tartą, kładziemy równo obok siebie podłużne kawałki obgotowanego kardu, posypujemy garścią parmezanu i wylewamy cienką warstwę beszamelu. Na to kolejna warstwa kardu, sera i znów beszamel. Pieczemy w 180 stopniach około pół godziny albo do momentu, kiedy będzie pięknie zrumienione.

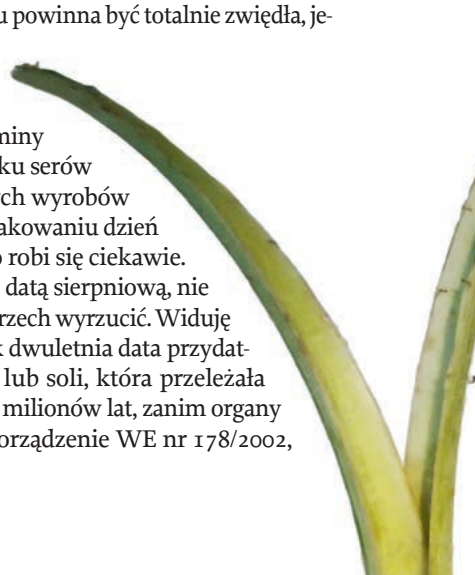

PAWEŁ BRAVO

DMITRY YAKUBOVICH / ADOBE STOCK

NA TROPIE KOGUTA

MICHAŁ ADAMOWICZ, ORNITOLOG:

Najlepiej jest w Karkonoszach i w Górach Izerskich. Cietrzewie żyją też na jednym z poligonów na Mazurach, w Kotlinie Orawsko-Nowotarskiej, nad Biebrzą. Są jakieś niedobitki w kilku izolowanych miejscach. No i w Tatrach.

ADAM ROBIŃSKI: Dobrze znasz Tatry?

MICHAŁ ADAMOWICZ: Tata zabrał mnie tam pierwszy raz, kiedy miałem osiem lat. Od tamtej pory jestem co roku. Przedeptałem większość szlaków. Przy czym tata nie patrzył na Tatry jak na listę szczytów do zdobycia.

Chcesz powiedzieć, że jechaliście z Warszawy w góry, żeby patrzeć na nie z dołu?

Tak, zabierał mnie raczej w doliny. Nie mówił o zdobywaniu, tylko o tatrzańskiej przyrodzie i krajobrazach. Ale potem zacząłem zazdrościć innym. Opowiadali o legendarnych przełęczach, graniach, szczytach. Każdego roku planowałem wycieczkę życia: Kozi Wierch, Zadni Granat, Zawrat, Szpiglasowy Wierch. Umawialiśmy się z tatą, że na tę jedną pójdziemy w górę razem, prześpimy się w schronisku, a resztę wakacji spędzimy po staremu, w dolinach. Więc zaciągałem na te szczyty tatę, potem, jak już się usamodzielniłem, żonę. Zacząłem się realizować w intensywnym chodzeniu po górach. I jak to zwykle z pasjami bywa, popadłem w jakąś formę rywalizacji. A potem pojawił się cietrzew. Jestem mu bardzo wdzięczny za ostatnie dwa lata, bo niemal całkowicie wyleczył mnie ze zdobywactwa.

Widziałeś go wcześniej w Tatrach?

Tak, raz. Przypadkowe obserwacje cietrzewia nie są czymś, co zdarza się regularnie. Być może właśnie ten przypadek popchnął mnie do badań? Uzmysłowił, że to jednak nie jest aż tak nierealne, jak by się mogło wydawać.

Zobaczyłeś góry oczami kuraka?

Jak się szuka w Tatrach cietrzewia, jego piór albo odchodów, to naprawdę nie ma znaczenia, czy się wejdzie na szczyt. Albo – ile ten szczyt ma metrów ponad poziom morza. W naszej kulturze góry są zwykle miejscem, w którym człowiek coś sobie udowadnia. Pokonuje własne słabości, rywalizuje z innymi. Nie ma w tym nic złego, pod warunkiem, że nikomu nie szkodzi. Ale przede wszystkim nie powinno szkodzić przyrodzie. Mnie takie podejście odbierało mnóstwo radości z samego przebywania w Tatrach. Przez te dwa lata badań zobaczyłem je więc jako miejsce zamieszkane przez różne formy życia.

To jakie są Tatry na początku przedwiośnia, przed świtem, poza szlakiem?

Kojarzą się z wysiłkiem i adrenaliną, a to bardzo ciche, spokojne miejsce. Nasz pierwszy wyjazd badawczy – mówię „nasz", bo towarzyszył mi Filip Chudziński, z którym wcześniej zrobiliśmy film „Pustać. Ostoja cietrzewia", o badaniu populacji cietrzewia w dolinie Biebrzy – zbiegł się w czasie z wybuchem pandemii. W styczniu zrobiłem kurs lawinowy i zaraz potem Tatrzański Park Narodowy został zamknięty. Bałem się, że przepadnie cała wiosna, a to najważniejszy czas z punktu widzenia ornitologa. Jedyny, kiedy cietrzewie się pokazują. Ale udało się, dostaliśmy pozwolenie, poszliśmy w góry. I na dodatek byliśmy w nich zupełnie sami. Tydzień pięknej pogody i zero ludzi. Kosmos.

Chodziliście na przełaj, ścieżkami jeleni?

Mieliśmy pozwolenie TPN na prowadzenie badań, które umożliwiało poruszanie się poza szlakami, bo inaczej się nie da. Jasne, niektóre miejsca występowania cietrzewia są lepiej dostępne, da się tam dojść szlakiem, i tylko na końcu trzeba odbić w bok. Ale są też takie, do których idzie się cztery godziny przez wiatrołomy, żleby, kosodrzewiny.

Wiedziałeś, gdzie szukać?

Rozmawiałem z pracownikiem parku, który wskazał mi kilka stanowisk cietrzewia. One są bardzo przyzwyczajone do miejsc, w których tokują. Trzymają się ich latami. Park co prawda nie prowadzi regularnych liczeń tych ptaków, ale jakiś ogólny pogląd miałem. Do tego przygodne relacje parkowców, którzy natykali się na cietrzewie w czasie codziennej pracy. Miałem też oczywiście wiedzę o cietrzewiu, którą wyniosłem znad Biebrzy.

Cietrzew lubi doliny? Otwarte przestrzenie?

To jest z definicji biologicznej gatunek terenów półotwartych, częściowo zalesionych. Potrzebuje mozaiki lasu, skupisk drzew, w tym przypadku kosodrzewiny, i terenów otwartych. W polskim krajobrazie coraz trudniej o takie przestrzenie, dawno zostały już przekształcone przez człowieka, choćby zabagnione doliny rzeczne, które osuszyliśmy, zmeliorowaliśmy. W górach sojusznikiem cietrzewia jest wysokość. Z uwagi na nią i związane z nią specyficzne warunki tylko niektóre zbiorowiska roślinne radzą sobie powyżej górnej granicy lasu. Świat cietrzewia zaczyna się od granicy kosodrzewiny i ciągnie do, powiedzmy, 1900 metrów ponad poziomem morza.

Dlaczego w ogóle zainteresowałeś się cietrzewiami?

Od dziecka byłem ptasiarzem, ornitologiem amatorem. Jeździłem nad Biebrzę, obserwowałem najróżniejsze gatunki, a jego nie widziałem nigdy. Jak dziesięć prób okazuje się bezowocnych, to się strasznie nakręcasz. Poza tym to niesamowite – bagna i torfowiska kojarzą nam się z całą masą lubiących wodę gatunków, choćby z wodniczką czy żurawiem. Dziki kurak, który siada na brzozie o świcie, gdy nikt go nie widzi, nijak nie pasuje do tej układanki. Prawdę mówiąc wcale nie było tak, że jako naukowiec wybrałem sobie cietrzewia na obiekt badań. Ja po to zostałem naukowcem, by się tym ptakiem zająć. Czegoś się o nim dowiedzieć.

To musiała być decyzja podparta świadomością, że możesz stać się świadkiem wyginięcia gatunku.

Badaczki i badacze ze starszych pokoleń poznali cietrzewia w warunkach, na jakie ja nie mam już szans. Przecież to był przez wieki ptak kojarzony przede wszystkim z gromadnymi tokami. Tak się go przedstawiało na rycinach, obrazach, w literaturze. I w opowieściach łowieckich, bo dopóki było wolno, strzelano do niego właśnie podczas toków. Kiedy w ramach pracy magisterskiej badałem populację biebrzańską, żyło tam już tylko kilkanaście kogutów, do tego samice, łącznie, powiedzmy, trzydzieści ptaków. Dziesięć razy mniej niż jeszcze kilkanaście lat wcześniej. Dziś samców jest kilka. Mógłbym zażartować, że niektóre znam po imieniu. Jestem więc przyzwyczajony do tropienia tej garstki. Ostoja, ↦

↦ w której żyje pięćdziesiąt ptaków, z mojego punktu widzenia byłaby rajem.

W kontekście filmu „Kohut" trzeba podać ponurą liczbę: w Polsce żyje nie więcej niż trzysta cietrzewi.

Najlepiej jest w Karkonoszach i w Górach Izerskich. Cietrzewie żyją też na jednym z poligonów na Mazurach, poza tym w Kotlinie Orawsko-Nowotarskiej, nad Biebrzą. Są jeszcze jakieś niedobitki w kilku izolowanych miejscach. No i w Tatrach.

Wcale nie było tak, że jako naukowiec wybrałem sobie cietrzewia na obiekt badań. Ja po to zostałem naukowcem, by się tym ptakiem zająć. Czegoś się o nim dowiedzieć.

Wytłumacz mi coś: trudno o bardziej odmienne siedliska niż Biebrza i Tatry...

Prawda? Przygotowuję właśnie prezentację na sympozjum młodych ornitologów, mam slajd, na którym porównuję satelitarne zdjęcia biotopów bagiennego i górskiego. Ten pierwszy to torfowisko i brzeziny, drugi – borówczyska i kosodrzewiny. Jedno i drugie wygląda niemal tak samo. Po prostu mozaika. I to cała tajemnica. Cietrzew potrzebuje terenów otwartych do toków i żerowania. Jeśli trawa jest za wysoka, będzie miał wąskie pole widzenia i w związku z tym będzie się czuł zagrożony. Z kolei jeśli widzi na dużą odległość, żaden drapieżnik go nie zaskoczy. Zadrzewienia i zakrzaczenia są mu potrzebne, bo po tokach samce się pierzą, wymieniają pióra, przez co stają się czasowo niezdolne do lotu. Muszą się ukrywać. Z kolei brzeziny i olszyny są cietrzewiom potrzebne jako zimowa baza żerowa. Kiedy na ziemi mamy śnieg i lód, to pożywieniem stają się pędy drzew. Zresztą śnieg, którego mamy w Polsce coraz mniej, też jest z punktu widzenia tego gatunku pożądany. Cietrzew się zaśnieża, wykopuje jamy, które stają się schronieniem.

Wspominałeś o drapieżnikach. O kim mowa?

O lisie, którzy ponad trzykrotnie zwiększył swoją liczebność od czasu, gdy zaczęliśmy go szczepić przeciwko wściekliźnie. O jenocie, który jest gatunkiem inwazyjnym. Orzeł przedni to margines, bo w Polsce jest ich jeszcze mniej niż cietrzewi, choć widziałem w Tatrach kurę upolowaną przez orła. Jastrząb czy kruk mogą wyjadać jajka. Dzik też da radę.

Wiosenne toki, choć już nie tak liczne jak dawniej, to wciąż dla badacza cietrzewi główny punkt programu?

Nad Biebrzą świetnie tropiło się je również zimą. W Tatrach bałem się, bo to jednak nie byłoby zbyt bezpieczne z uwagi choćby na zagrożenie lawinowe. Jak jesteś dużą kurą, to nic, tylko kombinujesz, gdzie się schować. Ale raz w roku, właśnie w trakcie wiosennych tokowisk, ptaki wychodzą na otwarte przestrzenie. Wtedy najłatwiej je zobaczyć. Potem następuje okres lęgowy, samica samotnie wysiaduje jaja, wyprowadza pisklęta, które zostaną z nią aż do usamodzielnienia się, czyli do jesieni. Czerwiec i lipiec to czas pierzenia. Można wtedy znaleźć pióra, ale ptaka raczej się nie zobaczy. Potem jest jesień i tak zwane pozorne toki, mniej intensywne, kiedy ustalana jest hierarchia między samcami. Wreszcie zima, desperackie poszukiwanie pokarmu, czyli tego, co jakimś cudem wystaje spod śniegu.

Reasumując: zawodowo zajmujesz się tropieniem duchów.

Przez dwa lata badań w Tatrach na 91 dni w terenie tylko 15 razy widziałem cietrzewie. Materiał, czyli pióra i odchody, zebrałem podczas połowy wyjść. Czasami to były parogodzinne kontrole, innym razem całodniowe eskapady. I jeśli chodzi o te razy, kiedy ptaki obserwowałem, to pamiętam każdy taki dzień, każdą datę. Wiedziałem zresztą, że to będzie trudne. Mnóstwo osób mnie ostrzegało. Nie byłem więc szczególnie rozczarowany.

W filmie „Kohut" z twoich ust pada nawet pełne pokory stwierdzenie: „Trzeba się nauczyć doceniać góry bez satysfakcji".

Gdybym zakładał, że tylko te wyjścia w teren były udane, podczas których widziałem cietrzewia, to musiałbym mnóstwo dni z mojego życia uznać za stracone. A to nieprawda. To też były dni, które zapamiętam do końca życia!

Bo Tatry poza szlakiem to nie tylko cietrzewie...

Tak, i wcale nie chodzi o wyskokowe gatunki, typu niedźwiedź, kozica, świstak czy orzeł przedni. Pamiętam ostatni dzień badań. Bardzo chciałem mieć obserwacje w jednym konkretnym miejscu, gdzie do tej pory mi się to nie udało. Ale odpuściłem. Zamiast tego poszedłem na polanę, gdzie nauczony doświadczeniem wiedziałem, że w godzinach wieczornych z kosodrzewiny wychodzi kogut i zaczyna żerować. Dzień zaczął się świetnie, bo rano natknąłem się na głuszca. Miałem ze sobą książkę, „W stronę Pysznej" Stanisława Zielińskiego, którą uwielbiam, ale po paru stronach ją odłożyłem, bo stwierdziłem, że w takim miejscu szkoda czasu na czytanie, trzeba patrzeć. Siedziałem na tej polanie dziewięć godzin, było spokojnie, dobrze, oglądałem porosty, owady, ciągle coś się działo, a na końcu pojawił się on, cietrzew.

Ale na niedźwiedzie też się pewnie natykałeś.

Tak, zwłaszcza jesienią. Choć tak naprawdę niedźwiedź był głównie w naszych głowach. Stukaliśmy kijkami, śpiewaliśmy, wszystko, byleby go tylko nie spotkać. Ale kiedy już się na niedźwiedzie natykaliśmy, to nic strasznego się nie działo. Raz z kolegą, który też mi pomagał, widzieliśmy, jak cietrzew zapada na grani. Poszliśmy w to miejsce dwa dni później, a tam trzy niedźwiedzie na naszej drodze. Trzeba było albo odpuścić, albo iść na spotkanie z nimi.

To ta scena z „Kohuta", w której widzicie niedźwiedzia i mówicie, że będzie trzeba tam pójść?

Tak, to ten dzień. W końcu poszliśmy naokoło, przez kosodrzewinę, żeby go ominąć, weszliśmy na grań, nic nie znaleźliśmy i wróciliśmy. Z niedźwiedziem trzeba oczywiście uważać, ale nie jest tak, że dzikie zwierzę nic, tylko szykuje się do napaści na człowieka. Wielu ludziom się tak wydaje, bo nie mają żadnego kontaktu z przyrodą, więc się jej boją. Ale – jasne – jak się niedźwiedzia zaskoczy, przestraszy albo wejdzie między matkę a młode, to może zaatakować.

W Tatrach zwierzęta są nauczone, że ludzie chodzą szlakami. Wy właziliście im w ostoje, więc mogło być różnie.

Dlatego w takich sytuacjach trzeba podchodzić do sprawy odpowiedzialnie. To nie jest spacer po lesie pod Warszawą. Trzeba być cały czas czujnym. Zachowywać się jak zwierzę, nasłuchiwać, patrzeć dookoła siebie, a nie w telefon.

Penetracja naukowa Tatr jest duża?

W Tatrach dużo osób prowadzi badania, ale wydaje mi się, że biologów, terenowców jest tam jak na lekarstwo, przynajmniej jeśli spojrzeć na ogólną liczbę ludzi w górach. Mam świadomość, że zezwolenie, które dostałem, dla wielu byłoby przyrodniczym graalem.

ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ ADAMOWICZ (ur. 1994) jest ornitologiem. Od 2017 r. bada polską populację cietrzewia. Współautor filmów „Pustać. Ostoja cietrzewia" (dostępny w serwisie YouTube) i „Kohut", który nie ma jeszcze szerokiej dystrybucji (informacje o pokazach publikowane są na stronie facebook.com/pustac).

I co się robi z takim graalem?

Między innymi dlatego zdecydowaliśmy się równolegle z badaniami nakręcić film dokumentalny. Wiesz, badacz przyrody ma nieustannie wrażenie, że wszystko, co ważne, dzieje się w terenie wtedy, gdy go tam nie ma. Zależało mi, żeby to w „Kohucie" mocno wybrzmiało. Ale chcieliśmy również, żeby to był film o Tatrach, jakich nie znamy. Bez schronisk, szlaków, kolejek. Zwróć uwagę, że na ekranie nie widać żadnej infrastruktury turystycznej. To celowy zabieg. Mówimy: zobacz, to jest prawdziwy tatrzański świat, który trwa równolegle do tego naszego – turystycznego, i o którym trzeba pamiętać. Niestety, od czasu do czasu i w tym świecie spotykałem łamiących przepisy turystów, którzy jakby nigdy nic chodzili poza szlakami.

Co im mówiłeś?

Prosiłem, żeby tego nie robili. Wyobraź sobie: jedna z najpiękniejszych obserwacji cietrzewia w moim życiu. Stoję u wylotu żlebu, na górskim grzbiecie tokuje kogut. Niedaleko drugi, do tego dwie kury, przez pięć godzin cały czas coś się dzieje. I nagle słyszę głosy ludzi. Cztery osoby. Chcą się wspinać tym żlebem na szczyt. Więc wstaję i tłumaczę: słuchajcie, trwają toki cietrzewia, to gatunek zagrożony wyginięciem, jesteście poza szlakiem, nielegalnie, proszę zawrócić. Zawrócili, ale powiedzieli jeszcze, że wrócą w zimie.

Innym razem, podczas kontroli w Tatrach Wysokich, spotkałem poza szlakiem łącznie dwanaście osób. I znowu mówię: „Od trzech godzin siedzę tu z lunetą, nasłuchuję, a wy idziecie, głośno gadacie, łamiecie przepisy". Facet tylko na mnie spojrzał i poszedł dalej. Ludzie się obrażają, jak im się zwraca uwagę, że źle robią. Jakim prawem krytykuję ich potrzebę wolności! Rozumiem, że to są wszystko piękne miejsca, ale kurczę, ja robię doktorat po to, żeby móc tak poznawać Tatry! A oni po prostu idą i wszystko mają w nosie. Tatry są małe, ludzi ogromna liczba, szlaków gęsta sieć, więc naprawdę jest gdzie chodzić.

Są miejsca, gdzie tokowiska odbywają się w bezpośrednim sąsiedztwie szlaku?

Tak. Sygnalizowałem już parkowi konieczność działań z tym związanych. Na przykład w Karkonoszach szlaki, w pobliżu których tokują cietrzewie, są okresowo zamykane. W Tatrach toki trwają zwykle od początku kwietnia do drugiej połowy maja, ale można by to zawęzić i wziąć pod uwagę tylko ten czas, gdy na tokowisku pojawiają się kury i może dojść do zapłodnienia. To krótka chwila, kilkanaście dni na przełomie kwietnia i maja.

Z punktu widzenia turystyki również krytyczny czas...

Słabo jeżdżę na nartach, nigdy nie zjechałem z Kasprowego, ale przecież to jest park narodowy! Tam się chroni przyrodę, a nie narciarstwo. Oczywiście nie można sprawiać wrażenia, że ta ochrona to wyłącznie niedogodności, bo wtedy nie zyska się sojuszników w słusznej sprawie. Ale jeśli mamy krytycznie zagrożony gatunek, konkretne miejsca tokowisk, jasne dane, i to wszystko w parku narodowym, to o czym my mówimy?

Tymczasem w Tatrach przybywa skiturowców, miłośników narciarstwa, do którego nie potrzeba wyciągów.

Dawniej w rejonie Kasprowego łatwiej można było spotkać cietrzewia. Mniej więcej w 2010 roku jego liczebność zaczęła spadać i ma to związek z rozwijającym się ruchem skiturowym. Skitury zrobiły się sportem masowym, a narciarze rozłażą się po całych Tatrach. Kilka miesięcy temu wrzuciłem na Facebooka zdjęcie stoku rozjechanego przez nielegalne zjazdy. Z komentarzem, żeby jednak zostawić wiosną trochę miejsca dla cietrzewi. Zostałem za to zmieszany z błotem. Ale zaraz potem, pod koniec kwietnia, Tatrzański Park Narodowy zamknął góry dla ruchu skiturowego. Zima się przedłużała, ciągle były warunki, tymczasem przyroda budziła się do życia, świstaki zaczynały się wykopywać spod ziemi. I zaraz potem jeden z fotografów przyrody opublikował w sieci zdjęcie koguta cietrzewia z dokładnie tego masywu, który pokazywałem wcześniej. Ptak się pojawił, bo przez jakiś czas miał ciszę i spokój. Nie wierzę, żeby to był przypadek. One tam są, ale presja ludzi jest tak duża, że muszą się chować i przeczekiwać. A stres obniża im kondycję i negatywnie wpływa na rozmnażanie.

Czy w historii cietrzewia jest w ogóle miejsce na nadzieję?

Nadzieja jest, wiele zależy od programów ochrony i zasilania dzikich populacji ptakami z hodowli. To oczywiście musi iść w parze z ochroną siedlisk. Na pewno na nizinach będzie to trudne. Nie wyobrażam sobie wiosny bez głosu tokujących cietrzewi na Bagnach Biebrzańskich, ale wiele wskazuje, że do tego zmierzamy. Jeżdżę tam od lat, a tylko raz widziałem nad Biebrzą młode cietrzewie. Nie wiem, czy te niedobitki, które się tam ostały, dają radę się rozmnażać. Obawiam się, że wkrótce, w polskich realiach, może być to ptak typowo górski. Tam warunki wciąż mu sprzyjają. Byle tylko ludzie zdawali sobie sprawę, co w tych górach żyje.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Nowinka*

Najważniejsi polscy politycy u władzy, w tym prezydent RP, zaczęli publicznie, zarówno w kraju, jak i za granicą, deklarować, że są mężczyznami. Nie półgębkiem, nie z przymrużeniem oka, ale serio i z namaszczeniem. Jest to – trzeba przyznać – kolejny mocny argument za tezą, że polityka polskiej prawicy jest w programowej, a tym samym intelektualnej awangardzie w skali globu.

Rzecz jasna, po tak eleganckim stylistycznie początku wypadałoby teraz Czytelnika polskiego zaskoczyć. Najlepiej elementem ludycznym, bo jest to – popatrzmy – zabieg w małych formach literackich popularny i lubiany. Wykwintna forma i elegancja myśli mieszająca się nieoczekiwanie z prostotą, pewną jajcarskością, ale nie wulgarnością to akcje w piśmiennictwie – wiadomo – pożądane. By zatem nie wylecieć z kanonu, powiemy tu żartem (w żadnym sensie prostackim), że po każdej z namaszczeniem wypowiedzianej tego typu deklaracji męskości wypada zawołać na wiecu staropolskie „sprawdzam". To by się zaiste naszym prawicowym politykom przydało. Sprawdzanie ich pod każdym względem, nie tylko, rzecz jasna, kontrwywiadowczym, co, jak widzimy i skądinąd już wiemy, staje się koniecznością i musi stać się żelaznym warunkiem kandydowania na stanowiska publiczne. Bo bycie mężczyzną jednak coś – do diaska – znaczy, nie może to być czcza wiecowa przechwałka, więc chcielibyśmy, by dowody na męskość były nam, wyborcom, prezentowane. Czy to skwar, czy mgła, czy mróz. Każdy obywatel ma prawo do wątpliwości, mówiąc najoględniej, i każdy ma prawo, by mu te wątpliwości polski polityk prawicowy rozwiał, choćby miało to być szokującą nowinką kampanijną.

Te śmichy-chichy z buńczucznych zapewnień prezydenta Dudy, ale i premiera Morawieckiego, który też dał ostatnio delikatnie (?) do zrozumienia, że jest mężczyzną, przysłaniają nam poważny kłopot, wobec którego stoi dziś jednak każdy obywatel – od obywatela prawicowego po lewicowego. Od obywatela szarego po jeszcze szarszego, od kobiety po mężczyznę, od osoby binarnej po niebinarną, a idzie nam tu jednak o poziom umysłowy ludzi naszej władzy.

Od dawna smutno wróżymy, że polityczna myśl polskiej prawicy czy – jak zwał – polski konserwatyzm po epoce Gospodarza, Dudy i ich kolegów nie podniesie się przez dziesięciolecia. Że to, co akurat widzimy i słyszymy – tak mówimy co jakiś czas – to już jednak jest absolutne dno dna, tymczasem zawsze, po jakimś czasie, okazuje się, że byliśmy pesymistami, że od dna prawdziwego wciąż dzielą polską prawicę pokłady mułu. No więc ktoś teraz rezolutnie powie, byśmy jednak nie labidzili, nie nudzili, żebyśmy raczej napisali coś fajnego o Gospodarzu i jego podróżach albo coś śmiesznego o Sasinie i inflacji, i niepalącym się węglu albo o ich koledze Gowinie i moralności w życiu publicznym, albo, wiadomo – coś o Jacku Kurskim, cóż on teraz porabia, bo każdego interesuje, kto rządzi, a nie każdego ciekawi, że polityk polski nie realizuje już od dawna najskromniejszego nawet marzenia o litościwie umiarkowanej normie intelektualnej.

Sumując: jedynymi rzucającymi się w oczy cechami polskiego polityka – jeśli to można tak ująć – jest zaskakująca wciąż nadczynność, chyba gruczołowa. Dodajmy koniecznie: jest to nadczynność wszystkich gruczołów. I to wszystko. Teraz jednak – na domiar tego wszystkiego – widać szokujący, ale pasujący politykowi polskiemu trend, wymyślony oczywiście w kazamatach firm zajmujących się kreacją wizerunku: komiczne opowiadanie o swojej męskości. I to na pewno zamieni teatr polityczny w odmianę lokalu z męskim striptizem. Rzec można, że już jest wstrętnie, ale na pewno będzie wstrętniej. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

SKORO ZBLIŻA SIĘ HALLOWEEN, TO CO POWIESZ NA HORROR O POLITYKU Z XIX WIEKU, KTÓREGO DUCH WĘDRUJE PO KRAJU I STRASZY LUDZI?
JAKI TYTUŁ?
„PREZES"

REKLAMA

25.

Międzynarodowe

TARGI KSIĄŻKI®

w Krakowie

27-30
października
2022

Targi w Krakowie

EXPO KRAKOW

Kraków
ul. Galicyjska 9

ksiazka.krakow.pl

REKLAMA

KOLEO

*Wybieram **pociąg, bilety** kupuję w **KOLEO***

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

100% miłości do kolei

Zakupiono w NEXTO: 3700952